ZBRODNIA NIEMIECKA W WARSZAWIE
1944 R.

DOCUMENTA OCCUPATIONIS TEUTONICAE

II

KOMITET REDAKCYJNY:

K. M. POSPIESZALSKI - K. SOSNOWSKI - Z. WOJCIECHOWSKI

ZBRODNIA NIEMIECKA W WARSZAWIE 1944 R.

ZEZNANIA - ZDJĘCIA

OPRACOWALI:
EDWARD SERWAŃSKI i IRENA TRAWIŃSKA

PRZEDMOWĄ POPRZEDZIŁ
ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU ZACHODNIEGO
POZNAŃ
1946

II 1200/2
INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA
BP/930/2

II. 46. 11000 – 464 K-12896

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA
POD ZARZĄDEM PAŃSTWOWYM W POZNANIU.

TREŚĆ

I
PRZEDMOWA STR. 7

II
WSTĘP STR. 13

III
RZEŹ WOLI STR. 27

IV
OCHOTA-ZIELENIAK STR. 77

V
MOKOTÓW-CZERNIAKÓW-ŻOLIBÓRZ STR. 121

VI
ŚRÓDMIEŚCIE STR. 134

VII
PRUSZKÓW STR. 207

VIII
ZDJĘCIA DOKUMENTARNE STR. 247
FOTOKOPIA PROTOKOŁU I 23 ZDJĘĆ

PRZEDMOWA

I

Motto: „Warszawa jedna twojej mocy się urąga".

W roku 1339 rozpoczął się w mazowieckiej Warszawie drugi z kolei wielki proces przeciw Krzyżakom o najazd i zabór Pomorza. W czasie procesu pilnie spisywano zeznania poszczególnych świadków. Po dziś dzień czytać je można w ogłoszonych w XIX wieku drukiem „Lites ac res gestae inter Polonos Ordinemque Cruciferorum".

W sześćset lat po rozpoczęciu procesu wytoczonego Krzyżakom przez Kazimierza Wielkiego znalazła się Warszawa w rękach niemieckich. „Lites ac res gestae" ożyły. Historia stawała się ponowną tragiczną rzeczywistością.

Publikowany poniżej materiał to jakby nowy tom „Lites ac res gestae". Gdy się czyta zeznania ludzi uchodzących z ognia i mordu w Warszawie, narzuca się porównanie z zeznaniami składanymi w r. 1339.

Ten nowy proces wytoczony został przez sumienie polskie obrażone nadmiarem bestialstwa i zbrodni. Nie było podówczas pod Warszawą sądu, do którego można by się było zwrócić. Ludzie dobrej woli, mający poczucie odpowiedzialności przed historią, zorganizowali akcję informacyjną przeprowadzoną wśród uchodźców z Warszawy. Podpisany zaaprobował przedstawioną mu w tej mierze przez p. Edw. Serwańskiego inicjatywę i następnie wespół z p. dr Marią Kiełczewską, obecnie prof. Uniw. Mik. Kopernika w Toruniu, objął kierownictwo nad tymi pracami. Podpisany bierze odpowiedzialność za wszelkie możliwe nieścisłości i niedokładności, zawarte w publikowanym poniżej materiale. Trzeba jednak — odsyłając do dalszych uwag zamieszczonych poniżej — zdać sobie sprawę z warunków, w jakich ta akcja mogła odbywać się pod Warszawą w tragicznej jesieni 1944 roku!

Z publikowanych materiałów wynika, że dzielnicą najciężej dotkniętą była historyczna Wola, w której w pierwszych dniach sierpnia zamordowano kilkadziesiąt tysięcy ludności cywilnej. Ten bezwzględny mord trwał do chwili, kiedy radiostacja nie-

miecka podała wiadomość o niepowodzeniu rokowań w Moskwie, prowadzonych przez ówczesnego premiera rządu londyńskiego, Stanisława Mikołajczyka. Niemcy sądzili, że na wypadek dojścia w Moskwie do porozumienia nastąpi atak wojsk radzieckich na Warszawę i przed tą chwilą za wszelką cenę chcieli stłumić powstanie.

Z chwilą ogłoszenia wiadomości o niepowodzeniu rokowań rozpoczęła się akcja ulotkowa (ulotki rzucano z samolotów), wzywająca ludność do poddawania się i gwarantująca za tę cenę życie. Ludność oczywiście nie poddawała się, ale od tego czasu rozpoczęła się w stosunku do zdobytych przez Niemców części miasta gehenna ewakuacji ludności cywilnej poprzez kościół św. Stanisława na Woli i słynny Pruszków.

Rozpoczął się w ten sposób zarazem okres próby flirtu politycznego inicjowanego przez Niemców, znajdujący punkt szczytowy w „wersalskich" warunkach kapitulacji.

Cała sprawa miała głębokie korzenie. Wybuch powstania był Niemcom politycznie niesłychanie nie na rękę; krzyżował ich plany, gdyż marzyli oni o konflikcie anglosasko-radzieckim, przy czym Polsce z dawna wyznaczyli rolę zwrotną w tym planie. Wybuch powstania w Warszawie był zawodem dla tych zamierzeń politycznych i stąd ta wściekłość, jaką okazano w stosunku do ludności cywilnej w pierwszych dniach powstania. Z chwilą jednak, gdy do uderzenia wojsk radzieckich nie doszło — a dziś wiemy, że w ówczesnych warunkach do ruszenia frontu dojść nie mogło — Niemcy usiłowali wyzyskać tę okoliczność dla odnowienia dawnego planu.

Właściwie jest to plan, który snuje się od objęcia władzy przez Hitlera w Niemczech, a dokładnie od zawarcia paktu polsko-niemieckiego w r. 1934. Niemcy systematycznie dążyli do tego, ażeby użyć Polski jako współdziałającej z nimi bazy wypadowej w stosunku do Związku Radzieckiego. Różne były kierunki polityki polskiej w latach 1934—1939, ale o jednym wiadomo, że Polska na współdziałanie z Niemcami nie poszła i że za to „ukarana" została najazdem niemieckim w r. 1939. Tego kuszenia i nadal nie brakło — za każdą zaś odmowę, za swoją postawę płaciła Polska łapankami, rozstrzeliwaniami, Oświęcimiami, Majdankami itd. Za wybuch powstania zapłaciła Warszawa rzezią Woli. Ale nie był to koniec „kar i sankcyj".

Ceną za „wersalską" kapitulację w początku października 1944 r. miało być oświadczenie się władz powstańczych po stronie Nie-

miec a przeciw Związkowi Radzieckiemu. Za odmowę, z jaką ta propozycja się spotkała, Warszawa zapłaciła spaleniem i wysadzeniem miasta w powietrze.

Wiemy to dzisiaj ze znalezionego w aktach Franka telegramu, wystosowanego w dniu 11 października 1944 r. przez gubernatora warszawskiego Fischera do gen. gubernatora Franka. Telegram, którego oryginał znajduje się w zbiorach Głównej Komisji dla Badań Zbrodni Niemieckich i który w Biuletynie tejże Komisji fotograficznie będzie ogłoszony, nosi tytuł „Neue Polenpolitik"; treść jego jest następująca:

„Auf Grund des Besuches des SS-Obergruppenführers von dem Bach beim Reichsführer SS teile ich folgendes mit:

1. General Bor hat erklärt, dass er für die Dauer des Krieges jede politische Tätigkeit einstellen wird und dass er sich lediglich als Kriegsgefangener betrachte.

Auf Grund dieser Erklärung ist es zu einem Empfang des Generals Bor beim Reichsführer SS nicht mehr gekommen.

2. Obergruppenführer von dem Bach hat den neuen Auftrag erhalten, Warschau zu pazifizieren, d. h. Warschau noch während des Krieges dem Erdboden gleich zu machen, soweit nicht militärische Belange des Festungsbaues entgegenstehen. Vor dem Abreisen sollen aus Warschau alle Rohstoffe, alle Textilien und alle Möbel geräumt werden. Die Hauptaufgabe fällt der Zivilverwaltung zu.

Ich gebe hiervon Kenntnis, da dieser neue Führerbefehl über die Niederlegung Warschaus für die weitere neue Polenpolitik von grösster Bedeutung ist.

Der Gouverneur
des Distr. Warschau z. Zt. Sochaczew
(—) gez. Dr. Fischer."

„Neue Polenpolitik"...:

„Ażeby zaś — czytamy u Długosza — mistrz pruski w krótkim czasie jak największe szkody społeczeństwu polskiemu mógł wyrządzić, powyznaczał nagrody podpalaczom: I tak za spalenie wioski jedną grzywnę, a za spalenie miasta trzy grzywny podpalacz ze skarbu publicznego miał pobierać. To było powodem, że jego ludzie

już to dla samej przysługi, już w nadziei otrzymania nagrody, rozbiegli się po ziemi dobrzyńskiej i kujawskiej i w przeciągu dni kilku wszystkie miasta, wsie i dwory w perzynę obrócili; nic nie ostało się przed ich srogością, nawet świątynie Pańskie. Paląc i burząc zarówno domy Boże i ludzkie prowadzili wojnę bezbożną i z ludźmi i z Bogiem."

To było w roku 1431.

Gdy po ostatnim rozbiorze Polski Warszawa dostała się pod panowanie pruskie i przestała być stolicą — miasto opustoszało i zamarło. Ceny zaś domów spadły bardzo nisko. Wówczas będący w pruskiej służbie Włoch Lucchesini, dawny powiernik Fryderyka Wielkiego, przedstawił rządowi pruskiemu plan, według którego wszystkie domy i place w Warszawie miały być wykupione, mieszkańcy rozproszeni — miasto zaś zrównane z ziemią. Bo Warszawa — uzasadniał Włoch — zawsze będzie ośrodkiem polskich aspiracyj politycznych i nigdy Prusacy nie dojdą z nią do ładu.

Taka tradycja nie mogła nie wydać owoców.

Ale w r. 1944 to była już robota na nową metę. Była już świadomość, że cały taniec wojenny skończyć się może dla Niemiec tragicznie, że Polska wysunie rękę po ziemie nad Odrą. Zapadła wtedy decyzja: Tę Polskę jak najwięcej osłabić. Dać jej zajęcie daleko od Odry i Nisy. Równocześnie z tym gadzinowa prasa, wydawana w Częstochowie „Gazeta Narodowa" i inne, rozpoczęła dużą akcję, mającą na celu skłócenie Polski z jej wschodnim sąsiadem. To była także robota na przyszłość, testament spisywany przez godnych następców mistrzów krzyżackich.

Osobny rozdział tej perfidnej polityki wyraził się w używaniu w Warszawie do pacyfikacji miasta m. i. „Własowców", czyli tych spośród jeńców rosyjskich, którzy zdradziwszy własną ojczyznę przeszli na służbę niemiecką. W terminologii warszawskiej określano ich przeważnie mianem „Ukraińców". Cała odpowiedzialność za użycie tych ludzi spada na Niemców, którzy w ten sposób chcieli upiec równocześnie dwie pieczenie. Pragnęli przeważną część odium za mord w Warszawie zrzucić na „Własowców" i zakłócić — w ich intencji — stosunki polsko-rosyjskie. Należy jednak stwierdzić, że społeczeństwo warszawskie od początku zdawało sobie sprawę z tych intencyj i z tej perfidii.

Prof. Zygmunt Wojciechowski

WSTĘP

II

W WARSZTACIE PRACY

Dokumenty zawarte w tym zbiorze dotyczą zbrodni niemieckich popełnionych w czasie powstania warszawskiego. Protokoły zostały spisane w miejscowościach podwarszawskich, głównie w toku powstania, przy odgłosach dalekich walk. Ich charakter był w czasie przygotowywania publikacji przedmiotem ożywionej dyskusji, w której starły się dwa poglądy: historyka i prawnika. Powodem różnicy zdań była sprawa oceny wartości dokumentów pod względem wymogów prawnych, gdyż zbiór przygotowany do publikacji ma szereg braków natury formalnej. Zarówno z punktu widzenia nauki jak i ze stanowiska interesów politycznych narodu i państwa polskiego zachodzi konieczność natychmiastowego zużytkowania zestawionych dokumentów w takim stanie, w jakim się w tej chwili znajdują. Jest rzeczą historyka uzasadnić, dlaczego dokumenty te mają taki a nie inny charakter. Zrozumienie położenia, które wytworzyło się w czasie trwania powstania i po jego likwidacji, pozwoli wyjaśnić, dlaczego prawnik, dla którego forma dużo znaczy, musiał skapitulować na rzecz historyka, dla którego istnieje głównie materiał.

Głównym ośrodkiem operacyjnym akcji dokumentacyjnej był okrąg warszawski. A teren ten w czasie od sierpnia do października co najmniej w promieniu 50 km od stolicy stanowił zamkniętą całość traktowaną przez Niemców jako zaplecze frontowe. Fakt zebrania materiału na miejscu — na peryferiach pola straszliwej bitwy — i to na gorąco, od ludzi, ofiar i świadków, w których oczach można było czytać jeszcze przeżyte tragedie, wycisnął charakterystyczne piętno na relacjach. Cechuje je ostrość widzenia, świeżość wspomnień i bezpośredniość przeżyć.

Zeznania mają wartość nie tylko dokumentacyjną w ścisłym słowa znaczeniu, ale również psychologiczną, gdyż oddają na świeżo

stan umysłów warszawian, są więc cennym materiałem i dla historyka-socjologa, który będzie badał reakcję mieszkańców Warszawy w stosunku do wroga.

Fakt przeprowadzenia akcji dokumentacyjnej w miejscowościach podwarszawskich miał ogromny wpływ na ilość zebranych relacyj, które wyławiano ze strumienia ewakuowanej ludności.

Prace dokumentacyjne „wybuchły" nagle, tak jak samo powstanie. Moment nieuświadamiania sobie w społeczeństwie zbrodni i zła popełnionego przez Niemców, zaskoczenie, płynąca rzeka straszliwych skarg i niezmiernego bólu zalewały serca i myśli nawet tych, którzy nie stracili głowy, lecz zabrali się do wykonania pracy dokumentacyjnej w takiej formie, w jakiej w danym wypadku było to możliwe — to wszystko wyznaczyło kierunek akcji i nadało jej specjalny charakter. Nikt nie podejrzewał, nikt nawet nie domyślał się, aby w zamkniętej pierścieniem wojsk niemieckich Warszawie mogły dziać się zbrodnie przekraczające miarę, do której przyzwyczaił nas okupant. Gdy się dowiedziano o wszystkim, okazało się, że wyobraźnia ludzka zawiodła zupełnie. Wystarczył przemarsz ewakuowanych przez palącą się Wolę w pierwszych dniach sierpniowych, aby wzbudzić zainteresowanie. Potem już wraz z rosnącym uczuciem przerażenia i grozy poczęły potęgować się podejrzenia.

Protokół własny prowadzącego dokumentację, pierwsza usłyszana skarga płaczącej staruszki z ulicy Spiskiej, druga relacja zapisana nad rowem przy torze koło stacji Rawka pod Skierniewicami, trzecia relacja z pociągu, wyciśnięta z ust pasażera, ofiary bestialstw niemieckich — to były początki.

Potem już runęła lawina...

W tym stanie rzeczy pomyśleć o wykształceniu organizacyjnym akcji dokumentacyjnej, o planie, koncepcji, o pracy zachowującej minimum wymogów formalnych dokumentu — było postulatem absurdalnym. Mnożyły się relacje, zapiski, zeznania ofiar, protokoły nieznanych ludzi, przypadkowo spotykanych, przechodniów, a w opowiadaniach tych ostrość i świeżość przeżyć wiązała się ściśle i bezpośrednio z głębią wrażenia słuchającego, który na chwilę nie wahał się uwierzyć prawdzie. Ta specyficzna atmosfera, która wytworzyła się w ciągu pierwszych prac, była kamieniem węgielnym zaufania do świadków. Kierownicy dokumentacji dostawali relacje,

których nie trzeba było sprawdzać, weryfikować, udowadniać. Prawda tkwiła w straszliwej grozie przeżyć. Zeznania przez swą zupełną zgodność wystawiały sobie wzajemnie certyfikat prawdziwości.

Pomimo ogromnych trudności uchwycenia tej płonącej lawy zbrodni, wszechogarniającej katastrofy żywiołowej, pomimo niesamowitej bezkształtności uczuć ofiar i świadków uginających się pod brzemieniem straszliwych ciosów, wszystkimi siłami poczęto w zespole prowadzącym dokumentację możliwie szybko precyzować wymogi pracy, założenia, zasady, ideę przewodnią akcji, ogarniać przedmiot badania, ustalać metody i środki raczej celem uchwycenia aniżeli porządkowania masy dokumentowanej i tworzenia na gwałt form organizacyjnych. Tak powstały pierwsze schematy informacyjne dla prowadzących akcję dokumentacyjną, tak powstała nad wyraz skromna hierarchia osób powołana według zasady „jak Bóg dał".

W pierwszych poczynaniach i później z największym wysiłkiem robiono wszystko, co tylko było można, aby tym pierwocinom akcji dokumentacyjnej nadać kształt organizacyjny odpowiadający zarówno wymogom nauki i prawa jak i powadze sprawy, do której się zabrano. Należy to stwierdzić, aby dać dowód starań kierownictwa, zwłaszcza, czy pomimo, że cały wysiłek nie osiągnął tego poziomu, do którego dążono.

Walka o organizację akcji dokumentacyjnej — taką, jaka była możliwa w ówczesnych warunkach — daje właściwe wyobrażenie o trudnościach, w jakich znaleźli się prowadzący dokumentację. W nad wyraz wątłą strukturę organizacyjną zaczęły walić gromy niemieckie, jeden po drugim, rozwalając raz po raz z uporem i zaciętością stale odnawiany aparat. I tak obławy, blokowania osiedli, rewizje, legitymowania, egzekucje chwytanych z dowodami warszawskimi mężczyzn, systematyczne penetracje terenów podwarszawskich, „korkowanie" E. K. D., pilnowanie dróg — uniemożliwiały ciągłość pracy, rozrywały powiązanie osobiste i organizacyjne, zmniejszały wydajność pracy komórek, jeśli wręcz nie niweczyły osiągnięć, dezorganizowały aparat techniczny, ujemnie oddziaływały na psychikę pracujących, wpływały na obniżenie poziomu relacyj.

System policyjny Niemców, system terroru, miał zapewnić okupantowi bezpieczeństwo na zapleczu frontowym — a nie miał oczywiście na celu... przeszkadzać dokumentującym, bo Niemiec nie sądził, by w strwożonym tłumie rodziły się takie zamierzenia. A przecież zarządzenia te godziły w całość przedsięwziętej akcji, w bezpieczeństwo osobiste dokumentujących. Wystarczy zwrócić uwagę na p r z e d m i o t p r a c, aby zdać sobie sprawę z ogromnego ryzyka. Bez emfazy powiedzieć można: jeden zły krok, jedna nieuwaga, nieostrożność — znaczyły tyle co ś m i e r ć.

To kluczenie między obławami, rewizjami, legitymowaniami ludzi wiecznie obciążonych kompromitującymi materiałami wymagało odwagi i poświęcenia. Znalezienie w takich warunkach ludzi odważnych, a przy tym posiadających pewne kwalifikacje, nie było rzeczą łatwą. Przełamywanie oporów psychicznych najbliżej kierownictwa akcji stojących jak i dalszych współpracowników — należało t a k ż e do zajęć... dokumentacyjnych.

A przecież nie chodziło tylko o bezpieczeństwo osobiste, ale też o całość aparatu z takim trudem i mozołem zbudowanego. Na pozór sprawa wydaje się prosta: członek komisji dokumentacyjnej przedstawia i dekonspiruje się, spisuje protokół z personaliami zeznającego, a świadek protokół podpisuje. A jednak zastosowanie takiej metody uniemożliwiałoby z miejsca całą pracę. Dlatego w niezliczonych wypadkach osoby opowiadające nie wiedziały, że z e z n a j ą, i wtedy drogą okrężną trzeba było dochodzić szczegółów personalnych. Ale dużo też było wypadków, kiedy nie dało się ukryć przed zeznającym czy opowiadającym celu pracy: waga zeznań, obszerność relacyj, a w związku z tym konieczność stworzenia minimum warunków i bezpieczeństwa dla przesłuchania — zmuszała do zdekonspirowania się. I wówczas albo zeznający udzielał potrzebnych personaliów, co się rzadko zdarzało, albo składając zeznania, stanowczo odmawiał podania nazwiska, jeśli zaś nazwisko było znane, zabraniał go nawet zaszyfrować. A mowa tu jest tylko o wypadkach pozytywnego załatwienia sprawy. Ileż to razy „kandydat" na wiadomość o co chodzi uchylał się stanowczo od podania zeznań. Była to niewątpliwa strata dla akcji dokumentacyjnej.

Były inne jeszcze trudności: system powiązań personalnych w tej nad wyraz wątłej hierarchii dokumentacyjnej był specjalny. Drogą

nieprawdopodobnego łańcuszkowego pośrednictwa właściwego tylko dla form konspiracyjnych włączały się w sieć osoby bliżej nie znane, które ochoczo pełnią funkcję, niemniej stanowczo odmówiły podania swych nazwisk jako protokołujących. A były wypadki, że prowadzący dokumentację otrzymali garść protokołów z podaniem personaliów od zupełnie nieznanej osoby. Powstały w ten sposób „protokoły" z personaliami zeznających, a bez podpisów, względnie bez podania nazwisk protokołujących, lub protokoły bez personaliów zeznających, lecz tylko z nazwiskami protokołujących. Są wreszcie relacje, w których nazwisko zeznającego jest w ogóle nieznane, a protokołujący odmówił podania swych personaliów. Nie wiadomo, w ilu wypadkach podane nazwiska są fikcyjne, względnie celowo zniekształcone. Mamy więc otwarty problem: czy to są dokumenty? Jak je traktować? Należało sobie zadać pytanie, czy w takich warunkach można było więcej wymagać. Wydaje się, że nie. Już samo poczucie zaszczutych niebezpieczeństwem życia ewakuantów warszawskich wystarczy za wytłumaczenie. Jedna tylko „wpadka" dokumentu z nazwiskami nawet zaszyfrowanymi „położyć" mogłaby całą akcję dokumentacyjną. Nazwiska zbierających, tzn. mgra Edwarda Serwańskiego i mgra Ireny Trawińskiej dają gwarancję, że wszystkie protokoły — bez względu na to, czy zawierają pełne, czy tylko szczątkowe personalia — pochodzą od osób, które unosząc życie z płonącej Warszawy przechodziły przez podwarszawskie miejscowości.

Słusznie zresztą ktoś zauważył, że cała praca dokumentacyjna w ogóle była niczym innym, jak ustawicznym prowokowaniem niebezpieczeństwa. Wyjątkowemu szczęściu przypisać należy, że nie było katastrofy. Prowadzący dokumentację, a pilnujący na każdym kroku poprawności każdego dokumentu, czynił to wbrew elementarnym zasadom bezpieczeństwa. Domaganie się od protokołujących pełnowartościowych protokołów było w tych warunkach postulatem nieżyciowym, wręcz niepoważnym, urągającym nawet zdrowemu rozsądkowi. Trzeba było nawet wydać zakaz sporządzania protokołów z prawdziwego zdarzenia, a mianowicie z podpisami zeznającego, świadków i protokołującego. Sprawa bezpieczeństwa to właściwie wszystko, co można powiedzieć i czym tłumaczyć taki a nie inny charakter dokumentów.

Ze względu na wymogi prawne dokumentów nie można było „kłaść“ całej akcji dokumentacyjnej i narażać na oczywiste niebezpieczeństwo życia tak zeznających jak i protokołujących. Komórka prowadząca prace dokumentacyjne nie była organem sądowym, lecz tylko zwyczajną akcją społeczną, której zadaniem było przede wszystkim zabezpieczyć ślady zbrodni. Ustalono wówczas, że raczej zadaniem przyszłych polskich sądów powszechnych albo specjalnych będzie weryfikowanie zgodnie z wymogami przepisów prawnych całej akcji dokumentacyjnej. I tak siłą rzeczy, pomimo chęci pilnowania akcji dokumentacyjnej o typie prawnym, cała ta praca zmierzała w nieodwracalnym procesie ówczesnego życia ku zbieraniu jedynie materiałów o typie historycznym.

Problem bezpieczeństwa — to jedna sprawa, nędza materialna i trudności techniczne — to sprawa druga. Skala codziennych, życiowych kłopotów miała ogromną rozpiętość, bo poczynała się od sprawy odzieży i zaopatrzenia, wyżywienia, kwater i braku pieniędzy poprzez zagadnienia czystej techniki organizacyjnej aż do najpoważniejszych rozważań nad problematyką dokumentacji. Rozważania nad naukową i prawną stroną pracy na tle osobistej nędzy były wynikiem odwrócenia normalnej hierarchii potrzeb, w której na czele stoi zapewnienie bytu. Pokonywanie trudności technicznych kosztowało niemało wysiłków. Rękopisy trzeba było natychmiast przepisywać. Wiele bowiem osób żądało bezwzględnie zniszczenia protokołów. W tym czasie pod Warszawą brak było materiałów piśmiennych i kalki; trzeba było wysyłać ekspedycje do Częstochowy. Nie było pod ręką maszyn do pisania; nie było na miejscu zaufanych maszynistek. Kłopoty z lokalami pracy urastały wprost do fantastyki. O melinach, o schowkach nie było wówczas mowy. Rower był rzadkością. Pomijając pomoc E. K. D. przemierzać trzeba było rozległe tereny podwarszawskich skupisk pieszo. Kto zna letniskowe miejscowości podwarszawskie, ten najlepiej wie, jak trudno zorientować się w labiryncie ulic, dróg i alei. W tych warunkach, w których szukanie chleba i kalki maszynowej splatało się z dyskusją nad charakterem dokumentów w pełną sprzeczności całość, niemało trzeba było mieć hartu ducha, aby utrzymać równowagę wewnętrzną, nie zrażać się trudnościami i pracy nie rzucić.

Niebezpieczeństwo pracy, trudności materialne i techniczne godziły w jedną z najpoważniejszych zasad akcji, a mianowicie w szybkość. Chodziło o rozwiązanie problemu tzw. „p r z e c i e k a n i a“ przez teren ewakuantów celem uchwycenia jak największej ilości osób w sieć organizacyjną. Przyjęła się wówczas teza: „tylko to, co się n a t y c h m i a s t zrobi, będzie naprawdę zrobione, a potem nie wiadomo, co będzie“. Patrząc na tę sprawę z perspektywy więcej niż roku, wydaje się, że teza była słuszna. Zacieranie się szczegółów, zapominanie fragmentów, zatracanie ostrości widzenia przeżyć było rzeczą zrozumiałą. A krótki dystans czasu dawał najlepsze szanse rekonstrukcji przeżyć. Z tych też względów robiono wszystko, aby tempo prac było jak najszybsze. Celowi temu służyć miała sieć organizacyjna rozbudowana — jak na ówczesne możliwości — dosyć szeroko. W czasie od sierpnia do października uruchomiono komórki dokumentacyjne w Pruszkowie, Brwinowie, Milanówku, w Podkowie Leśnej, Grodzisku, we Włochach, Józefowie, Nadarzynie, Komorowie, następnie zorganizowano Piaseczno, Skolimów i Konstancin, wreszcie Skierniewice, Łowicz — a już w ostatniej fazie Piotrków, Częstochowę i Kraków. Nie wszystkie jednak ośrodki rozwinęły działalność.

Dzięki tak pomyślanemu aparatowi przeważającą większość pracy wykonano właściwie w czasie sierpień-październik, tak że kiedy w pierwszej dekadzie października uzyskano kontakt z opuszczającymi Warszawę mieszkańcami, zdumionym, a i niemniej przerażonym można było pokazać już około 250 protokołów.

Jak już wspomniano, jedną z pierwszych pomocy w akcji dokumentacyjnej były schematy informacyjne dla protokołujących, opracowane przez kierownictwo. Schematów tych opracowano 5 w miarę rozrastania się przedmiotu badań. Napływające stale nowe wiadomości o charakterze i typach zbrodni jak i o masowości niemieckiej zbrodniczej akcji narzucały stale konieczność korygowania schematów, rozszerzania zakresu akcji dokumentacyjnej. Dosłownie z dnia na dzień trzeba było pilnować pulsu pracy, precyzować natychmiast nowe wymogi pracy i coraz to nowymi schematami podążać dokumentującym z pomocą. W samej komórce dokumentacyjnej (kierownictwie) było tylko 2 pracowników, tak że potrzeba instruktywnego oddziaływania na protokołujących w terenie była bardzo wielka.

Usilne dążenia tej komórki, zmierzające do uzyskania pewnych systematycznych opracowań, w zasadzie się nie powiodły. Materiały, jakimi w ostateczności dysponowała komórka dokumentacyjna, przedstawiały dużą różnolitość. Obok zeznań i protokołów z prawdziwego zdarzenia sieć dostarczała opracowania literackie, ogólne sprawozdania, zapiski, notatki, ogólne wiadomości itp.

Technika akcji dokumentacyjnej, przepisywanie materiałów i zabezpieczenie przedstawiało się następująco: na pierwszym planie było zwyczajne podsłuchanie względnie opowiadanie ofiar czy świadków, a materiał zebrany ustnie natychmiast spisywano. Nieraz po spisaniu zeznań odczytywało się je w obecności świadka, po czym odsyłano materiał do komórki. W szeregu innych wypadków ofiary czy świadkowie zbrodni sami spisywali zeznania i dostarczali je do miejsc właściwych. Ilekroć protokoły miały rażące braki, zwłaszcza dotyczące personaliów, względnie samej treści, odsyłano je z początku dla uzupełnienia z powrotem w teren. Ponieważ jednak praktyka wykazała, że protokoły te już nie wracały, względnie ginęły w skomplikowanym systemie pośrednictwa, zaniechano tego. Zginęły w ten sposób: zeznania o zniszczeniu Galerii Luksemburga, o gwałtach seksualnych na staruszkach, bombardowaniu jednego ze szpitali, względnie punktów sanitarnych na Mokotowie.

Wszystkie zebrane materiały były natychmiast przepisywane w osobnym sekretariacie, rejestrowane i sygnowane, wreszcie zaopatrywane w szyfr, o ile już z terenu nie dostarczono zaszyfrowanych nazwisk. Każdą większą ilość protokołów zabezpieczano w ziemi. W pierwszym okresie pracy zabezpieczano je tzw. „systemem wiewiórki", to znaczy przez zwyczajne zagrzebywanie dokumentów w ziemi i później przez zakopywanie słojów z protokołami.

W zasadzie prace sekretariatu odbywały się bez gwarancji jakiegokolwiek bezpieczeństwa. W tego rodzaju pracy nie można było inaczej postąpić. Stosunek osób w zespole protokołujących i w technice wynosił: 1 : 2, tzn. na 10 osób głównego i stałego zespołu protokołujących wypadało 5 „techników", stale zajętych zarówno zagadnieniami bezpieczeństwa, jak i samej strony technicznej pracy. Miarą wysiłku protokołujących niech będą drobne szczegóły: protokół ze znanej już powszechnie zbrodni w fabryce „Ursus" spisywano kilka dni w szpitalu tak, aby nikt tego nie mógł widzieć,

a przepracowanie go i ustalenie ostatecznej relacji zajęło kilkadziesiąt godzin pracy; protokoły przepracowywano i spisywano częstokroć ukradkiem w domach, w których protokołujący byli tylko gośćmi często zabranymi z ulicy po szczęśliwej ucieczce z pochodów ewakuacyjnych. Fakt, że nikt z gospodarzy nie wiedział o zajęciach protokołującego, specjalnie utrudniał pracę. Spisanie protokołu o zbrodniach popełnionych przez Niemców w ruinach Giszu wymagało kilkudziesięciu dni zabiegów i pośrednictwa szeregu osób, aby uzyskać adres, trzech dłuższych posiedzeń, aby po spisaniu relacyj — ze względu na doniosłość i charakter zeznań — ostatecznie ustalić tekst.

To jest ogólna charakterystyka dokumentów i samej akcji dokumentacyjnej. Na zakończenie kilka szczegółów personalnych. Ostoją akcji dokumentacyjnej był mgr praw Edward Serwański i mgr praw oraz egzaminowany aplikant sądowy Irena Trawińska, współpracowniczka P. C. K. Obydwoje zaczęli pracę niezależnie od siebie. Inicjatywie prof. dr Z. Wojciechowskiego, któremu przedstawiono zebrany przez mgra Edwarda Serwańskiego materiał, zawdzięcza się właściwą organizację akcji. On też objął przewodnictwo prac dokumentacyjnych. Dzięki szczęśliwym kontaktom, a przede wszystkim dzięki kulturze społecznej mgra Ireny Trawińskiej połączono rozpoczęte z osobna prace.

Prace dokumentacyjne zakończono na skutek błyskawicznej, szczęśliwej ofensywy Armii Czerwonej. Wyzwolenie ziem Polski spowodowało ogromne ruchy ludności, co w skutkach rozsypało aparat, a odbudowa legalnego życia narodowego umożliwiła kontynuowanie prac po dłuższej przerwie w ramach Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

CHARAKTERYSTYKA ZBRODNI

Pozornie wydać się może, że sam zestaw protokołów — zwłaszcza przy ogromnej sile ekspresji, jaka cechuje zeznania — wystarczy, aby w całej pełni unaocznić charakter właściwy dokonanego przez Niemców zbrodniczego dzieła. Tymczasem charakterystyka eksterminacji warszawskiej nie jest prosta. W żadnym wypadku nie można poprzestać na dotychczasowym wyniku prac dokumentacyjnych i materiał przepracowany do publikacji uznać

za wszystko, co by o warszawskiej zbrodni można powiedzieć. Eksterminacja, ściśle mówiąc — skutki dalsze zbrodni niemieckich, popełnionych w Warszawie, rozciągają się czasowo poza ramy sierpień-październik, a terytorialnie sięgają aż po najdalej na zachód wysunięte obozy koncentracyjne, dokąd ewakuowano ludność cywilną Warszawy.

Rzeczą najbardziej interesującą zarówno dla polityka jak i dla nauki polskiej jest ustalenie, jakie były właściwe zamiary sztabu niemieckiego, względnie rządu hitlerowskiego pod adresem milionowej rzeszy mieszkańców Warszawy. O ile dzisiaj w rękach polskich znajdują się niezbite dowody nakazujące zupełne zniszczenie Warszawy jako miasta w znaczeniu czysto urbanistycznym, o tyle trudniej wykazać, że z góry polecono taki czy inny kontyngent ludności warszawskiej wymordować. Nie wiadomo, jaki byłby los mieszkańców śródmieścia, gdyby nie doszło do październikowej kapitulacji. Cytujemy tylko jedną relację: „...jeden z Kałmuków, zdaje się wyższy szarżą, mówiący trochę po polsku, trochę po niemiecku, wziął mnie na bok i powiedział, że ponieważ przypominam mu jego matkę, czuje dla mnie współczucie i radzi, abyśmy uciekali z Warszawy, o ile chcę ratować życie męża i swoje. Otrzymaliśmy rozkaz — powiedział — by Warszawę znieść z powierzchni ziemi, a ludzi mieszczących się nawet wśród gruzów bez miłosierdzia wyrżnąć. Wiem, że ten rozkaz będzie wykonany..." (Relacja z Filtrowej, Opaczewskiej, poz. (63). Sprawa dotarcia do źródeł niemieckich i stwierdzenia przyczyn, które powstrzymały Niemców od potraktowania całej Warszawy — pomijając Śródmieście — tak jak potraktowali Wolę i inne przedmieścia, jest rzeczą otwartą.

W programie dalszych badań należałoby przede wszystkim uwzględnić cały proces ewakuacji ludności warszawskiej do Rzeszy, jej pobyt w obozach pracy, obozach koncentracyjnych, szczególnie zaś należy dużo miejsca poświęcić losowi kombatantów. W pewnej mierze zadanie to spełnia ostatnia część zbioru dokumentów o Pruszkowie.

REDAKCJA ZBIORU

Publikowane dokumenty — to zbiór obejmujący przeszło sto protokołów. Protokoły w czasie akcji dokumentacyjnej nie otrzy-

mywały bieżących numerów. W zależności od miejsca otrzymania protokołu dawano im numery od — 1, 100, 200 itd. wzwyż. Podzielono je na kilka części, z których każdą zaopatrzono krótkim wstępem. Przed naszymi oczyma przewija się Wola, Ochota i Zieleniak, Śródmieście Warszawy z Powiślem, Starym Miastem i Centrum, Mokotów, Czerniaków, Żoliborz, Praga, a wreszcie ostatni obraz — Pruszków. Wstępy umieszczone na początku każdego protokołu nie stanowią części składowej protokołów, lecz zostały opracowane ex pòst głównie na podstawie szyfrów i ustnych oświadczeń kierowników akcji dokumentacyjnej mgra Edwarda Serwańskiego i mgra Ireny Trawińskiej. Wszystkie protokoły — jak wynika z opisanej już organizacji akcji dokumentacyjnej — przyjmował w zasadzie Edward Serwański, który z tego względu miał pogląd na całość akcji dokumentacyjnej. Brak wzmianki, kto protokół przyjął, oznacza, że przyjął go mgr Edward Serwański. Słowo „protokołował" oznacza zawsze: przesłuchiwał daną osobę i spisał jej zeznania. Brak dokładnych danych przy personaliach świadków w niektórych protokołach oznacza, że świadkowie odmówili odnośnych informacyj, względnie że protokołujący ze względów bezpieczeństwa uważali umieszczenie tych szczegółów za niewskazane. W szeregu protokołów nawet protokołujący wzbraniali się umieszczać swe personalia. Osoby te były kierownictwu akcji dokumentacyjnej osobiście znane. Dotyczy to przede wszystkim protokołującego imieniem Jerzy, używającego pseudonimu „Zbigniew", lat ok. 30, magistra praw, protokołującej o pseudonimie „Ż", lat ponad 30, z wyższym wykształceniem, oraz protokołującej o pseudonimie Maria Małaszek, lat 35, mgr fil. Jeśli świadek sam spisał swe zeznanie, określano protokół jako własny.

Nie można było ustalić, które protokoły zostały świadkom po napisaniu przeczytane. Starano się uwidocznić wypadki, w których świadek nie wiedział, że jego zeznanie zostało zapisane. Poczynione w tym kierunku ustalenia redakcji nie są niestety wyczerpujące. Czasem protokołujący nie podał daty i miejsca sporządzenia protokołu. W takich przypadkach protokoły te pochodzą z okresu sierpień-październik 1944, a zostały sporządzone w miejscowościach podwarszawskich. Adresy warszawskie oznaczają zawsze miejsce zamieszkania przed powstaniem. Klamry [] w tekście protokołów oznaczają uzupełnienia redakcji.

RZEŹ WOLI

III

Pierwsza padła Wola. Położona na zachodnim skraju stolicy, była główną linią frontu. Wojska niemieckie idące od zachodu do walki z powstańcami tutaj napotykały na specjalny opór. Zamiarem Niemców było przedarcie się przez Wolę, opanowanie przynajmniej części Starego Miasta i Powiśla, by tak dotrzeć do Wisły, głównie do Mostu Kierbedzia. Cel ten został w ciągu pierwszych ośmiu dni sierpnia osiągnięty.

Rzeź Woli nie była konsekwencją owych działań wojennych. Świadczy o tym choćby podpalenie domu z wszystkimi mieszkańcami na ul. Młynarskiej 43 w dniu 30 lipca 1944 r. przez lotników niemieckich (poz. 1), to znaczy 2 dni przed powstaniem. Rzeź ta była wynikiem rozkazu, wydanego zgodnie z ogólnymi zasadami traktowania mieszkańców stolicy. Dlatego to w pierwszych dniach sierpnia mordowali Niemcy niemal wszystkich mieszkańców Woli, których ogarnęli.

Ilości ofiar nie podobna dzisiaj stwierdzić. Zeznania świadków stanowią zbyt ogólną podstawę, by można oprzeć na nich obliczenia. To tylko pewne, że ofiary sięgają dziesiątków tysięcy. Szereg zbrodni okryła na zawsze tajemnica, gdyż z wielu egzekucyj nie uratował się nikt. Dopiero dokładna rejestracja mieszkańców Woli i założenie kartoteki ofiar umożliwiłyby cyfrowe uchwycenie strat.

Zeznania świadków umieszczone w tym rozdziale można podzielić na dwie grupy: na zeznania mieszkańców Woli, którzy byli świadkami zbrodni, i na zeznania osób z innych dzielnic, które w toku ewakuacji Warszawy przechodziły przez Wolę i ślady rzezi widziały albo w usunięciu ich musiały pomagać.

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

(1) Protokół nr 89:

świadek Wanda Lurie, wykształcenie średnie,
protokołowała Irena Trawińska dn. 2. IX. 44 w ambulatorium P. C. K.
w Podkowie Leśnej.

„Dnia 30 lipca, w dzień, do domu przy ul. Młynarskiej nr 43 wpadło 30 lotników niemieckich, którzy otoczyli dom, obrzucili go granatami, paląc i zabijając ludzi wewnątrz.

Cały dom spalono. Podobno miało to związek z zabiciem Niemca gdzieś w pobliżu.

(2) Protokół nr 227:

świadek Czesława Szczerbińska, lat 28, absolwentka U. W.,
zamieszkała w Warszawie, ul. Wolska 25;
protokołowała Maria Małaszek 4. IX. 44 r. w Brwinowie.

„O powstaniu dowiedziałam się o godz. 3.30 ...Już w niedzielę 29. VII paliły się baraki, gdzie dotychczas stacjonowało wojsko (pożar wzniecony przez Niemców). Tegoż dnia w gmachu Ubezpieczalni Społecznej na ul. Działdowskiej palą papiery i pospiesznie wyjeżdżają. W nocy z 29 na 30 lipca szalenie dużo przejeżdża samochodów wzdłuż Wolskiej — trudno spać...

Od rana 1. VIII Niemcy uzbrojeni rozjeżdżają po peryferiach miasta, jakby oczekując na powstanie. Dużo samochodów było od rana na ul. Skierniewickiej, Sławińskiej. Na Sławińskiej oficer pewnej grupy pancernej, widząc ludzi grupujących się przy samochodach, które tu nigdy się nie zatrzymywały, powiedział: „Jeżeli chociaż jeden strzał padnie, nie zostanie tu ani jeden dom". Mówiło to kilka osób z ul. Sławińskiej. O godz. 4, min. 30 Niemcy szykowali granaty na ul. Wolskiej. O godz. 5 dały się słyszeć pierwsze strzały do Niemców przejeżdżających samochodami, ci jednak szybko

przejeżdżają, nie zatrzymując się. Pierwszego dnia żadnych ważniejszych wydarzeń nie było.

W nocy z 1. na2. VIII Polacy ...zbudowali dużą barykadę, sięgającą pierwszego piętra, wszerz ul. Wolskiej do Młynarskiej z wagonów tramwajowych, belek. Ludność zaniepokojona była tym, co się dzieje, bo już 1 sierpnia o godz. 6 przez megafony wzywano Polaków do zawrócenia z obranej drogi, bo inaczej Niemcy zrównają Warszawę z ziemią. W ciągu 2. VIII Niemcy starają się przebić barykady, podjeżdżając do nich czołgami. Dnia 3. VIII pojawiają się pierwsze samoloty; pierwsze strzały padły na kościół Redemptorystów raniąc ludzi. W ciągu 4. VIII sytuacja się nie zmienia.

Od tej pory Niemcy usuwają ludność i palą domy od Woli, tj. od cmentarza katolickiego do Młynarskiej. Reszta ludzi nie wyniszczonych z tych ulic brana była do kościoła św. Wojciecha na Wolskiej poprzez palące się domy i stosy trupów — niekiedy zwęglone — około Michlera (piekarza na ul. Wolskiej), gdzie palono ciała.

Już trzeciego dnia po wybuchu powstania przeniosłam się ze swoimi manatkami na ul. Wolską nr 25, tj. na drugą stronę ulicy do posesji ss. Karmelitanek Bosych (dawny pałac Biernackich), ponieważ pobyt w naszej kamienicy stał się niemożliwy z powodu stałego ostrzeliwania z tanków naszego domu i częściowego jego zniszczenia (z okien tego domu rzucone były na tanki bomby benzynowe).

U sióstr przeważnie przebywałyśmy w schronie. Dnia 5. VIII fala pożarów doszła i do nas. Początkowo nie bardzo orientowałyśmy się, co się dzieje na ulicy, ponieważ dom, w którym przebywałyśmy, stał w ogrodzie z dala od ulicy. Siostry po 8 wieczorem zostały uprzedzone, że Niemcy są na terenie ich posesji i że dom jest podpalony. Rzeczywiście wrzucili granat do jednej z piwnic, nie czyniąc żadnych szkód. Siostry proszą zebranych o zachowanie spokoju. Jedna z sióstr wejściem ukrytym wydostała się na zewnątrz. Zastała tam kilkunastu żołnierzy z ręcznymi karabinami maszynowymi... Jedna lufa karabinu maszynowego skierowana była wprost na siostrę, która jednak nie straciła zupełnie zimnej krwi (znała dobrze język niemiecki i metody, jakimi należy do nich się odnosić), przeto chwytając za lufę karabinu powiedziała: „Na śmierć mamy jeszcze czas, możemy porozmawiać". Sprowadziła zaraz matkę przełożoną. Przełożona, starsza już kobieta, wyszła z krzyżem i puszką komunikantów i w ten sposób odezwała się: „Strzelajcie, jeżeli chcecie". Roz-

kazano wszystkim wyjść ze schronu. Około 40 osób znalazło się w ogrodzie obok domu. Mężczyznom kazano oddzielić się — było ich około 15. Scena okropna: niektórzy mężczyźni mieli dzieci na rękach, Niemcy wydzierają je, powstał okropny krzyk, płacz przeraźliwy. Kobiety stoją zbite w gromadkę, którą otaczają Niemcy z bronią. W tej samej chwili mężczyznom każą iść naprzód. Następnie kobietom każą położyć się twarzą do ziemi; o kilka kroków przed nami odbywa się egzekucja: do mężczyzn strzelają w tył głowy. Spodziewamy się, że lada chwila podzielimy los mężczyzn. Siostra przełożona, wykorzystując sytuację, że znajdujemy się w zwartej grupie, rozdaje komunikanty po kilka każdej z kobiet — tak, żeby się nic nie pozostało, aby profanacji Hostia nie uległa. Obok leżą zabici mężczyźni — my klęczymy i komunikujemy — cisza zapanowała, nie słychać płaczu ani krzyku dzieci. Ja byłam na końcu, bezpośrednio przy lufie „rozpylacza", spodziewałam się, że to są moje ostatnie chwile; byłam zrezygnowana zupełnie, ale i spokojna. Spojrzałam na twarze kobiet skupione, opanowane, następnie zwróciłam wzrok na Niemców za nami stojących. Lecz o dziwo, cóż się dzieje? Karabiny pospuszczane, odwracają twarze od siostry „kapłanki", zwyczajnie: konsternacja. Chwila przedłużała się. Następnie jeden z Niemców kazał nam wstać i iść do bramy. Zdawało nam się, że widocznie Niemcy uznali to miejsce za nieodpowiednie do egzekucji i dlatego każą nam iść dalej. Później jednak okazało się, że jesteśmy wolne, a życie zawdzięczamy jednemu z Niemców, który miał siostrę, zakonnicę w Wirtembergii; on zdecydował o naszym losie (sam o tym powiedział nam później). Poprowadzono nas (była wtedy godz. 9,15 wiecz.) do szpitala zakaźnego na ulicę Wolską. Tutaj przybyłyśmy akurat po „oczyszczeniu" szpitala z mężczyzn (nie wiadomo, co z nimi zrobiono — wypędzono ze szpitala). Tutaj spędziłyśmy półtorej doby. 7. VIII około godziny czwartej SS kazało nam opuścić szpital.

Mężczyźni, którzy napłynęli do szpitala w ciągu ostatnich dni, zostali najpierw wyprowadzeni w stronę miasta (nie wiem, co się z nimi stało), z rękami podniesionymi do góry. Nam zaś kazano kierować się w stronę Woli poza miasto (ulicą Wolską). Szłyśmy szeregami, ja prowadziłam 2 swoje staruszki. Doprowadzono nas do Szpitala Wolskiego pod eskortą, dalej już szłyśmy same. Dotarłyśmy do Jelonek, zbliżała się godzina policyjna, z trudem dostałyśmy nocleg".

(3) Protokół nr 80:

świadek Jan Bęcwałek, zamieszkały w Garwolinie;
protokołowała Irena Trawińska dnia 10. IX. 44 w szpitalu w Grodzisku.

„Przez 3 i pół lat byłem na robotach w Niemczech. W 1940 r. wraz z rodziną zostałem wysiedlony z Poznańskiego do Garwolina; w r. 1941 byłem złapany w Garwolinie i wywieziony na roboty do Niemiec. W lecie rb. przesłano mnie jako chorego do Warszawy, do Szpitala Wolskiego, gdzie zastała mnie wojna; byłem chory na zapalenie opłucnej z wysiękiem. W dniu 3 sierpnia o godzinie 1 przybyli do szpitala Niemcy. Leżałem w schronie, w piwnicy razem z wieloma rannymi i chorymi. Wpadając do nas do piwnicy, tuż przy samej sali, „pociągnęli" z karabinu maszynowego i kilku rannych, stojących przy wyjściu, zostało od razu zabitych. W kilka minut potem wydano rozkaz opuszczenia szpitala. Wszyscy ranni i chorzy mogący chodzić, z personelem i kilkoma rannymi na noszach, opuścili szpital. Pochód był okropny. Ja czułem się bardzo źle — miałem założone dreny w boku. Popędzono nas do szop — kilkadziesiąt metrów za tunelem — na ul. Górczewskiej. W szopie było już dużo ludzi. Po przejrzeniu dokumentów podzielili nas na grupy i potem zaczęli wyprowadzać. Wkrótce grupa, do której i ja należałem, została wyprowadzona na egzekucję. Podprowadzono nas do palącego się już wielkiego domu, również niedaleko od tunelu, i tam ustawiając nas w dwunastki, wpędzono do bramy tego domu; w bramie Ukraińcy w liczbie 6 strzałem z bliska zabijali wchodzących, w ten sposób zabici padali w płomienie palącego się domu. Widziałem z bliska, czekając na moją kolej, jak w pierwszej dwunastce rozstrzelano doktorów, asystentów w białych fartuchach oraz — zdaje się — księży. Wśród doktorów był prof. Grzybowski; w dalszych dwunastkach podpędzano rannych, chorych, a gdy przypędzono rannych na noszach, następnie tych, którzy nieśli nosze. Ja cudem uniknąłem śmierci. Podprowadzony w dwunastce tuż pod bramę, zwróciłem się do jakiegoś oficera i powiedziałem, że ja i moi dwaj towarzysze jesteśmy Volksdeutschami (mówię dobrze po niemiecku). Niemiec kazał nam odejść i iść ze sobą, zaprowadził nas do sanitarnego punktu niemieckiego, który znajdował się w pobliżu. Przy mnie rozstrzelano około 500 osób, w tym masę ludzi ze Szpitala Wolskiego; byli z nami ludzie spędzeni z innych ulic na Woli. Salwy

trwały do późnej nocy. Wieczorem na stosy trupów rzucano granaty, a rano następnego dnia przyjechał czołg. Gruzował dom, pokrywając rumowiskiem zabitych (a już częściowo popalonych) i miejsce egzekucji. Zaduch palących się ciał był okropny. Widziałem to wszystko dobrze, bo byłem do następnego dnia rano w niemieckim punkcie sanitarnym, znajdującym się w pobliżu".

(4) Protokół nr 95:

świadek Jan Bęcwałek, zamieszkały w Garwolinie;
protokołowała Irena Trawińska dnia 10. IX. 44 w szpitalu w Podkowie Leśnej.

„Dnia 5 sierpnia 1944 r. przy ul. Staszica nr. 4 wraz z mieszkańcami domu siedziałem w piwnicach. W pewnym momencie wpadli Niemcy i wypędzono nas. Przy wyjściu wydzierano rzeczy, które mieliśmy ze sobą. Oddzielano kobiety i mężczyzn. Kobiety pędzono w kierunku ul. Działdowskiej. W grupie mężczyzn zostałem przeprowadzony na podwórze domu ul. Staszica nr. 15. Spędzono tam kilkuset mężczyzn i wkrótce rozpoczęto egzekucję. Strzelano z karabinów maszynowych do zbitej gromady. Od pierwszej chwili wycofałem się do tyłu, tak że zanim padły pierwsze szeregi — zdołałem się położyć i ukryć. Strzały nie dosięgały mnie. Po jakimś czasie wydostałem się spod masy trupów. Gdy na podwórzu w jakiś czas potem zjawił się oficer niemiecki — nie kazał kilku żywych, ocalałych, dobijać, lecz pozwolił nam wyjść i dołączyć się do pędzonych ulicą ludzi. Tak wydostałem się na ulicę Górczewską, a stamtąd na Moczydło. W tym czasie przechodziłem koło domu Staszica nr. 26; z podwórza dochodziły odgłosy strzałów — odbywała się tam egzekucja".

(5) Protokół nr 78:

świadek Jan Bęcwałek, zamieszkały w Garwolinie;
protokołowała Irena Trawińska dnia 10. IX. 44 w szpitalu w Grodzisku.

„Staliśmy przed bramą budynku szpitalnego od ul. Górczewskiej. Dochodziły odgłosy dalszych egzekucyj z miejsca, skąd wyratowaliśmy się przed chwilą. W podwórzu szpitala znajdowały się budynki-szopy, z których w pewnym momencie Niemcy zaczęli

wypędzać zgromadzonych tam ludzi. Byli to sami mężczyźni, przeważnie młodzi, nawet mali chłopcy 10—12 lat, większość ubrana jak powstańcy, w różne mundury i bluzy z opaskami — tak jak latali po ulicach „za rozkazem". Musieli być długo zamknięci, bo wychodzili jakby pijani i błędni. Niemcy dali im łopaty i kazali kopać po przeciwnej stronie ulicy Górczewskiej — naprzeciw bramy szpitala, przy której stałem — w ogrodzie na kartoflisku, dół głęboki pewnie na 5 m. Słyszałem i rozumiałem rozkazy; obok mnie przechodzili. Po wykopaniu dołu przeprowadzono ich po 25 bez koszul, tylko w spodniach, z podniesionymi rękami, ustawiono dokoła twarzą do dołu i Ukraińcy z rewolwerów strzałem z tyłu w kark zabijali ich. Trupy padały do dołu — przyprowadzano następnych. Nikt nie krzyczał, nie błagał, nie opierał się. Tak rozstrzelano kilkaset ludzi. Ostatnia niewielka grupa pozostałych zasypała dół ziemią. Była to druga egzekucja, którą tego dnia widziałem".

(6) Protokół nr 53:

świadek Aleksandra Kreczkiewicz, zamieszkała w Warszawie, Górczewska 45; protokołowała Irena Trawińska dnia 8. IX. 44 w szpitalu w Podkowie Leśnej.

„Mieszkałam na Woli przy ul. Górczewskiej nr. 45; 2 sierpnia SS-owcy wydali rozkaz przeniesienia się do kamienicy po przeciwnej stronie; dom nasz i sąsiednie zostały podpalone; dnia 3 sierpnia otrzymaliśmy wiadomość, że z nami będzie źle, że zostaniemy rozstrzelani; w kamienicy zgromadziło się kilkaset osób; 4 sierpnia godz. 11: Niemcy otaczają kamienicę, wydają rozkaz opuszczenia mieszkań; straszny krzyk dzieci, kobiet, u wyjścia padają strzały — kilka osób zabitych i rannych już przy wyjściu na ulicę; wypędzają na kartoflisko, każą się kłaść w bruzdy — wokoło pilnują — nie ma mowy o ucieczce; po kilku minutach każą wstać — prowadzą pod pobliski most: nie ma wątpliwości, co z nami będzie; na pytanie jakiejś pani, gdzie nas prowadzą — odpowiadają: „Z waszej winy giną niemieckie kobiety i dzieci, dlatego wy wszyscy musicie ginąć". Ustawiają nas; odłączają grupę 70 ludzi i każą jej iść za most na wzgórze; pozostałych (wśród nich ja) ustawiają przy

murze między drutami; w różnych punktach w pobliżu słychać serie strzałów; giną ofiary niemieckich katów; jesteśmy zbici w gromadkę, ja stoję na brzegu; w odległości 5 m przed nami jeden z oprawców z największym spokojem przygotowuje do strzału karabin maszynowy; drugi z nich nastawia aparat fotograficzny — chcą utrwalić egzekucję — kilku Niemców pilnuje nas; pada seria strzałów — wrzask, jęki — padam zraniona, tracąc przytomność. Po pewnym czasie ocknęłam się; słyszę, jak dobijają rannych — nie poruszam się i udaję zabitą; pozostawiają na straży jednego Niemca — reszta odchodzi. Oprawcy podpalają pobliskie domki i kamienice; żar piecze, dymy duszą, suknia na mnie się tli; Niemiec pilnuje dalej; gaszę ogień na sobie dyskretnie — nogi mam poparzone, myślę o wydostaniu się z tego piekła. Od przodu zasłania mnie kosz od kartofli; gdy Niemiec odwraca się, przesuwam kosz, czołgając się za nim — tak oddaliłam się o kilka metrów; wtem wiatr rzucił kłąb dymu w naszym kierunku i wartownik nie mógł mnie widzieć; zerwałam się wtedy i pobiegłam do piwnicy w palącym się domu; tam spotkałam kilka osób mniej rannych — szczęśliwców, którym się udało wydostać spod stosu trupów. Pracujemy nad podkopem; ciężka praca wśród żaru i dymu — niebezpieczeństwo uduszenia się; wreszcie po wielu godzinach nadludzkich wysiłków — podkop wyprowadził nas na podwórze sąsiedniego domu, nie objętego pożarem; jest godz. 12 min. 30 w nocy: ktoś wyprowadza nas w pole z obrębu walk i pożogi; upadam z wysiłku; do dziś leżę w szpitalu; rozstrzelana przy mnie grupa liczyć mogła około 500 osób — uratowały się 3 czy 4 osoby. Oprawcami byli SS-owcy".

(7) Protokół nr 94:

świadek ksiądz, który nie podał swego nazwiska,
ze Szpitala Wolskiego przy ul. Płockiej;
nazwisko protokolującego nieznane.

„Dnia 5 sierpnia 1944 r. około godz. 14 do Szpitala Wolskiego przy ulicy Płockiej wpadli Niemcy. Rozpoczęły się rabunki, rewidowano personel i rannych, wyrywając pieniądze, zegarki, kosztowności; około godz. 15 wpadli do gabinetu dyrektora szpitala i po chwili

padły tam strzały: zastrzelono dyrektora Mariana Józefa Piaseckiego, prof. Zeylanda i ks. kapelana Kazimierza Ciecierskiego (tego ostatniego zawezwano specjalnie do gabinetu). Wkrótce potem nakazano ewakuację szpitala personelowi i chodzącym rannym. Pochód był straszny: na czele lekarze, asystenci, dalej szli chorzy, słaniający się na nogach, podtrzymywani przez silniejszych, z rękami na szynach, na kulach, wszyscy prawie w bieliźnie często niekompletnej, poruszający się z największym wysiłkiem. Popędzono nas za przejazd kolejowy do szopy, a raczej hali fabrycznej, na tzw. Moczydło, gdzie zastaliśmy już kilkaset osób. Wśród krzyków i gróźb posegregowano nas. Po pewnym czasie zażądano 4 osób, następnie 25 — przy wyjściu zażądano od nich zegarków. Wkrótce usłyszeliśmy strzały. Ponieważ żadnych działań w pobliżu nie było, wiedzieliśmy, że w pobliżu odbywają się egzekucje; słychać było typowe strzały seryjne z karabinów maszynowych i w jakiś czas po nich strzały pojedyncze — dobijające.

Nie było wątpliwości, że wyprowadzeni poszli na rozstrzał. Jako kapłan, objaśniłem obecnym, co ich może czekać, i udzieliłem absolucji pozostałym. Po chwili Niemcy wywołali 50 mężczyzn. W szopie unosiła się już atmosfera śmierci — wezwani ociągali się. Dalej wezwano 70 mężczyzn — i znowu słychać było strzały; wreszcie wyprowadzono ostatnią grupę — w tej lekarzy, asystentów, sanitariuszy, obsługę męską — do tej grupy należałem i ja, i drugi ksiądz, Antoni Branszweig (alumn); w ostatniej chwili zdołałem się wycofać z wychodzącej grupy, odłączyć się i ukryć w grupie sióstr zakonnych; grupa z lekarzami w moich oczach została wyprowadzona na rozstrzelanie; samej egzekucji nie widziałem, słyszałem tylko serie strzałów egzekucyjnych. Mówiono mi później, że egzekucja odbywała się w palących się domach i w podwórzach palących się domów — w kilku miejscach przy ulicy Górczewskiej. Widziałem, jak w ostatniej grupie prowadzono prof. Grzybowskiego, dra Drozdowskiego, prof. Sokołowskiego i dra Łempickiego.

Na drugi dzień, przebrany za zakonnicę, wydostałem się z masą pozostałych kobiet do Fortu Wolskiego, a następnie w czasie transportu zbiegłem.

Ze Szpitala Wolskiego rozstrzelano wtedy ponad 200 osób.

Oprawcy rekrutowali się z oddziałów SS i Ukraińców".

(8) Protokół nr 276:

świadek ks. Marian Chwilczyński, lat 28, kapelan;
protokołowała Irena Trawińska.

„Należałem do personelu Szpitala Wolskiego i przez cały czas powstania byłem w tymże szpitalu na hali. Miałem możność obserwowania wielu tragedyj tej dzielnicy.

Między innymi zwróciło moją uwagę to, że do szpitala znoszono rannych z bardzo odległych ulic — podobno nigdzie żaden punkt sanitarny (przynajmniej ja nie słyszałem) pomocy nie udzielał. Zastanawiało mnie to, dlaczego — co się stało z punktami w tej dzielnicy? Powstaje przypuszczenie, że Niemcy zlikwidowali te placówki sanitarne, mordując rannych i personel. Twierdzić na pewno nie mogę — jest to moje przypuszczenie".

(9) Protokół nr 74:

świadek ks. Marian Chwilczyński, lat 28, kapelan;
protokołowała Irena Trawińska.

„Dnia 3 sierpnia 1944 roku w Warszawie idąc ulicą Górczewską jakieś 300—400 m za Płocką w godz. 4—6 pp. widziałem na ziemi trupy kobiet z dziećmi na rękach, leżące w kałużach świeżej krwi — widocznie przed chwilą były zastrzelone, prawdopodobnie strzałami w głowę".

(10) Protokół nr 73:

świadek ks. Marian Chwilczyński, lat 28, kapelan;
protokołowała Irena Trawińska w październiku 1944, w Podkowie Leśnej.

„Dnia 5 sierpnia 1944 r. między godz. 12 a 14, widziałem przez okno Szpitala Wolskiego na I piętrze, jak z piwnic domu przy ulicy Płockiej nr 28 Niemcy wyciągali kobiety i na podwórzu rozstrzeliwali z karabinu maszynowego. W tym samym prawie czasie na podwórzu domu nr 30 przy ulicy Płockiej widziałem zza płotu wzniesione ręce kilkunastu osób (samych postaci nie było widać),

które po seryjnym strzale opadły z postaciami — była to jedna z wielu egzekucyj na Woli".

(11) Protokół nr 175:

poniższy dokument wręczono za pośrednictwem R. G. O. w Pruszkowie Edwardowi Serwańskiemu od rodziny prof. Grzybowskiego. Treść karteczki przytoczona dosłownie.

„Dnia 5. VIII. 1944 r. wszedł do szpitala oddział SS i zastrzelił na miejscu w gabinecie lekarskim dyrektora szpitala dra Piaseckiego, ordynatora dra prof. Zeylanda i kapelana.

W parę godzin potem wyprowadzono cały szpital, zarówno personel jak i rannych, którzy tam przebywali, razem kilkaset osób. Zaprowadzono ich do jakiejś szopy na Woli. Po upływie paru godzin wywołano wszystkich lekarzy-mężczyzn. Wystąpili oni w liczbie 12. Uprowadzono ich na jakieś zgliszcza i postawiono wobec karabinów maszynowych, które zaczął repetować oddział Gestapo.

Do tej chwili opowiadania wszystkich świadków są zgodne, a dalej wszelkie ślady znikają.

Żaden z tych 12 lekarzy dotychczas się nie odnalazł.

Wśród nich byli: dr Olgierd Sokołowski, prof. Grzybowski, dr Drozdowski".

(12) Protokół nr 183:

świadek Tadeusz Manteufel; nazwisko protokolującego nieznane.

„Dr X mówił mi o swym bracie lekarzu ze Szpitala Wolskiego, że w pierwszych dniach sierpnia przy zajmowaniu Woli przez pomocnicze oddziały niemieckie — cała ludność była wybijana co do nogi; domy palone. Z personelu lekarskiego Szpitala Wolskiego ocalało tylko 3 lekarzy (razem z drem X), przypadkowo zajmowali się oni wtedy opatrunkami rannych żołnierzy niemieckich. W pewnym momencie przed szpitalem dr N. widział taką scenę: płonące domy dokoła, pod nimi stosy trupów dochodzące do 1 i ½ metra wysokości".

(13) Protokół nr 105:

świadek p. K., nauczycielka w Warszawie, ul. Wolska 53; nazwisko protokołującego nieznane.

„Około południa 5. VIII wpadli do szpitala żołnierze. ...Najpierw skierowali się do gabinetu naczelnego lekarza, którego zastrzelono na miejscu wraz z prof. X. i kapelanem szpitala. Kazano nam wszystkim wyjść na zewnątrz. Około 800 osób opuściło szpital, chorzy też, ciężko ranni w liczbie 80 osób i kilka pielęgniarek pozostało. Oddzielono mężczyzn. Prowadzono przez Górczewską za przejazd do hali na Moczydle. Tu przestaliśmy całe popołudnie, noc i część niedzieli (6. VIII). Tłok, zaduch, brak wody".

(14) Protokół nr 229:

świadek Laskowska, lat 55, trykociarka, zamieszkała w Warszawie, ul. Staszica 6; nazwisko protokołującego nieznane.

„Już 1. VIII usłyszeliśmy strzały na ulicy Wolskiej i Górczewskiej. Tego też dnia (wieczorem i nocą) ludność z naszej ulicy wzięta była do wybijania przejść między piwnicami i do dwu barykad; jedna od strony ulicy Wolskiej, druga od Górczewskiej. W nocy z pierwszego na drugi stanęły zatem barykady do wysokości mniej więcej połowy 1 piętra, zbudowane z desek, kamieni, płyt trotuarowych. Od tej pory znaleźliśmy się jakby w kotle i życie nasze ogniskowało się na tej niewielkiej uliczce.

Do tych prac ludność garnęła się chętnie, szczególnie w pierwszych dniach, gdy wierzyliśmy, że wszystko prędko się skończy i że lada schwila Niemców nie będzie.

Naszych żołnierzy i sanitariuszek stale widziałam dużo, ponieważ w naszym domu skupiały się władze wojskowe. W ciągu środy i czwartku (2—3) na ul. Staszica właściwie był spokój, strzały słychać było, ale dalej, nie na naszą ulicę skierowane—tj. na Wolską. W ciągu czwartku i piątku (3—4) słyszeliśmy odgłosy boju, toczącego się na cmentarzu ewangelickim przy ulicy Młynarskiej. Od 4. VIII ataki od ulicy Wolskiej i Górczewskiej (głównie od Wol-

skiej) skierowane były na ul. Staszica. Ogień z „tygrysów“ rozpoczyna się około 8 rano i trwał do wieczora. Trudno było usiedzieć w mieszkaniu na I piętrze, trzeba było przenosić się do piwnic. Rozpoczęły się pożary już nie tylko na ulicy Wolskiej, ale i na Staszica. Sąsiedni dom zaczął się palić od pocisków, ogień zaczął przedostawać się i na naszą posesję, dlatego też w sobotę rano (5. VIII) udaliśmy się na ul. Staszica nr 10. Chwile bardzo przykre, wszędzie pożary. Tego dnia pod wieczór Niemcy przedostali się przez barykady na naszą ulicę. Rozpoczęło się usuwanie ludzi z domów. Do nas też przybyło wojsko niemieckie (nasze podziemiami usunęło się już dalej), kazało przejść na podwórze domu Staszica nr. 15. Byli tu już ludzie z innych kamienic tej ulicy. Nastąpiła segregacja ludzi. Oddzielono mężczyzn od kobiet. Nam kazano odejść z rękami podniesionymi do góry. Mężczyzn pozostawiono na tym podwórku, gdzie według orzeczenia jednego z mężczyzn z tej ulicy — później spotkanego — odbyła się egzekucja: około 100 mężczyzn zostało rozstrzelanych z karabinu maszynowego“.

Opowiadającej udało się uciec — początkowo udała zastrzeloną, a zbiegła po egzekucji.

(15) Protokół nr 141:

świadek Jadwiga Tomaszewska, nauczycielka, zamieszkała w Warszawie, Waliców, róg Chłodnej;
nazwisko protokolującego nieznane.

„Przy ul. Chłodnej dom p. Kwiatkowskiego został spalony wraz z ludźmi. Widziałam domy palące się od ulicy Chłodnej do Towarowej, ludzi wystrzelano. Przy ul. Skierniewickiej róg Wolskiej cały dom wraz z ludźmi spalony. Przy ul. Towarowej 60 również wystrzelano wszystkich mieszkańców, dom spalono. Pani X opowiada jeszcze o domu przy rogu ulicy Waliców i Chłodnej, że o godzinie 10 wieczór nastąpił wybuch, na skutek czego dom parafialny zasypał wielu księży. Opowiada również o wielkim bohaterstwie chłopców od 8 do 15 lat, którzy ochotniczo pełnili najcięższą służbę wojskową: z butelkami benzyny podsuwali się pod czołgi i niszczyli je. Dziewczęta, również od 8 do 16 lat, nosiły amunicję, pracowały jako łączniczki i sanitariuszki.

Ukraińcy rabowali kosztowności i pieniądze, zabierali uchodźcom nieliczne bagaże. Przy wyjściu z Warszawy dnia 6. VIII oddzielono kobiety od mężczyzn, których zabrano do kościoła św. Stanisława na Woli i z którymi nie wiadomo, co zrobiono".

(16) Protokół nr 57:

świadek Henryk Haboszewski, zamieszkały w Warszawie, Elekcyjna 8; protokołowała Irena Trawińska dnia 19. IX. 44 w Podkowie Leśnej.

„Mieszkałem na Woli przy ul. Elekcyjnej nr 8. Dnia 5. VIII o godz. 10 rano wpadł oddział SS i Ukraińców. Wypędzono nas z piwnic i pognano pod park Sobieskiego na Ulrychowie; do przechodzących strzelano; żonę zabito na miejscu, dziecko nasze ranne wołało matkę; wkrótce podszedł Ukrainiec i zabił moje dwuletnie dziecko jak psa, następnie razem z Niemcami zbliżył się do mnie, stanął mi na piersiach, patrząc, czy żyję. Udawałem trupa, bojąc się, by mnie nie zabito — nie otwierałem oczu. Jeden z oprawców zabiera mi zegarek, słyszę, że repetuje broń — myślałem, że dobije; poszli jednak dalej, biorąc mnie za nieżywego. Tak od godz. 10 rano do godz. 9 wieczorem leżałem udając zabitego i przeżywając te okropności. Widziałem w tym czasie, jak przyprowadzono dalsze partie i rozstrzeliwano w pobliżu mnie. Tworzył się zwał niezliczonych trupów. Tych, co jeszcze dawali oznaki życia — dobijano. Zostałem przywalony jakimiś ciałami, tak że się prawie dusiłem. Egzekucje trwały do godz. 5 po południu.

O godz. 9 wieczór przyszli Polacy, uprzątający trupy. Dałem im znak, że żyję, i dopomogli mi wstać, i odzyskałem siły o tyle, by odnieść z nimi zwłoki mojej żony i dziecka tam, gdzie zanoszono wszystkich, tj. do parku Sowińskiego. Po skończonej smutnej tej pracy zaprowadzono nas do kościoła św. Wawrzyńca na Woli, gdzie przebyłem następną dobę. Liczby ofiar nie mogę dokładnie podać, ale tych, wśród których leżałem, obliczam na 3.000 (trzy tysiące). W kościele spotkałem mego kolegę, który przeżył to samo co ja — również stracił ośmioletniego syna; dziecko otrzymawszy ranę, wołając, skonało. Dotychczas jestem w szpitalu, obraz śmierci wciąż mając przed oczami".

(17) Protokół nr 63:

świadek Wanda Lurie, wykształcenie średnie;
protokołowała Irena Trawińska dnia 2. IX. 44 w ambulatorium P. C. K.
w Podkowie Leśnej.

„Mieszkałam na Woli przy ul. Działdowskiej nr 18. Powstańcy w pobliżu naszego domu na rogu Wolskiej i Górczewskiej wybudowali 2 zapory przy pomocy ludności, nawet dzieci; w sąsiednim domu stały karabiny maszynowe, amunicja, granaty; 1 sierpnia o godz. 3 po południu rozpoczęły się w naszym punkcie zacięte walki; sytuacja od początku była ciężka, tym bardziej, że licznie zamieszkujący tu Volksdeutsche strzelali z ukrycia do powstańców i zdradzali; sprowadzono czołgi-tygrysy, rozbijano domy, masa ludzi ginęła; dom nasz był kilka razy uszkodzony — czołgi atakowały od ul. Górczewskiej i od Wolskiej. W pewnym momencie wtargnęli Niemcy; wyciągnęli mężczyzn, kazali rozbierać barykady i rozpoczęli palenie mieszkań. Widziałam, jak podpalone zostały na naszej ulicy domy nr 3, 5 i 8, podpalili te domy, rzucając z ulicy do mieszkań butelki z benzyną, nie wzywając przedtem ludności do opuszczania domów, przez co uniemożliwili im wyjście na ulicę. Do 5 sierpnia przebyłam w piwnicy domu nr 18. Tego dnia o godz. 11—12 kazano wszystkim wyjść, pchając nas na ul. Wolską. Był straszny pośpiech i popłoch. Mąż mój był nieobecny i nie powrócił z miasta; zostałam z trojgiem dzieci w wieku 4, 6 i 12 lat, sama będąc w ostatnim miesiącu ciąży. Ociągałam się z wyjściem, mając nadzieję, że pozwolą mi zostać, i wyszłam z piwnicy ostatnia. Wszyscy mieszkańcy naszego domu byli już przeprowadzeni pod fabrykę „Ursus“ na ulicy Wolskiej przy Skierniewickiej, mnie też kazano tam iść; szłam już sama tylko z dziećmi; trudno było iść, pełno kabli, drutów, resztki z zapór, trupy, gruzy, domy paliły się z dwóch stron ulic, z trudem doszłam do fabryki „Ursus“. Z podwórza fabryki słychać było strzały, krzyki, błagania, jęki... nie mieliśmy wątpliwości, że tam jest miejsce masowych egzekucyj; stojących przy wejściu ludzi wpuszczano, a raczej wpychano do środka grupami po 20 osób. 12-letni chłopiec, ujrzawszy przez uchyloną bramę zabitych swoich rodziców i braciszka, dostał wprost szału, zaczął krzyczeć; Niemcy i Ukraińcy bili go i odpychali, gdy usiłował wedrzeć się do środka;

wzywał matkę, ojca. Wiedzieliśmy więc, co nas tam czeka; o ratunku wykupienia się nie było mowy, pełno było wokoło Niemców, Ukraińców, samochodów. Ja przyszłam ostatnia i trzymałam się z tyłu, stale się wycofując, w nadziei, że kobiet w ciąży nie zabijają. Zostałam jednak wprowadzona w ostatniej grupie. Na podwórzu fabryki zobaczyłam zwały trupów do wysokości 1 metra. Zwały były w kilku miejscach; cała lewa i prawa strona dużego podwórza (pierwszego) była zasłana masą trupów, zauważyłam zabitych sąsiadów i znajomych (zeznająca robi szkic podwórza fabryki „Ursus"). Prowadzono nas środkiem podwórza w głąb do przejścia wąskiego na drugie podwórze. W naszej grupie było też około 20 osób, w tym najwięcej dzieci od 10—12 lat; były dzieci bez rodziców, była też jakaś staruszka bezwładna, którą przez całą drogę niósł na plecach zięć, obok szła jej córka z dwojgiem dzieci 4 i 7 lat; wszyscy zostali zabici; staruszkę dosłownie zabito na plecach zięcia razem z tymże. Wybierano nas i ustawiano czwórkami i czwórkami prowadzono w głąb drugiego podwórza, do leżącego tam stosu trupów; gdy czwórka dochodziła do stosu, strzelali z rewolwerów z tyłu w kark; zabici padali na stos; podchodzili następni. Przy ustawianiu ludzie wyrywali się, krzyczeli, błagali, modlili się. Ja byłam w ostatniej czwórce. Błagałam otaczających nas Ukraińców, aby mnie i dzieci ocalili. Pytali, czy ja mam się czym wykupić. Miałam przy sobie znaczną ilość złota i to im dałam; wzięli wszystko, chcąc mnie wyprowadzić, jednak kierujący egzekucją Niemiec, który to widział, nie pozwolił im na to. A gdy błagałam, całowałam go po rękach — odpychał mnie i wołał „prędzej"; popchnięta przez niego przewróciłam się, uderzył też i pchnął mojego starszego synka, wołając: „prędzej, prędzej, ty polski bandyto". W ostatniej czwórce razem z trojgiem dzieci podeszłam do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą rączkę starszego synka. Dzieci szły płacząc i modląc się; starszy widząc zabitych wołał, że nas zabiją, i wzywał ojca. Pierwszy strzał położył starszego synka, drugi ugodził mnie, następny zabił młodsze dzieci. Przewróciłam się na prawy bok; strzał oddany do mnie nie był śmiertelny; kula trafiła w kark z lewej strony i przeszła przez dolną część czaszki i wyszła przez policzek; dostałam krwotok ciążowy. Przy krwotoku ustnym wyplułam kilka zębów pewnie naruszonych kulą; czułam odrętwienie lewej części głowy

i ciała, byłam jednak przytomna i widziałam wszystko, co się dzieje dookoła; obserwowałam dalsze egzekucje, leżąc wśród zabitych; wprowadzono dalsze partie mężczyzn; słychać było krzyki, błagania, jęki, strzały; trupy tych mężczyzn waliły się na mnie: leżało na mnie 4 mężczyzn; po tej grupie widziałam jeszcze partię kobiet i dzieci — tak grupa za grupą aż do późnego wieczora; było już dobrze, dobrze ciemno, gdy egzekucje ustały. W przerwach oprawcy chodzili po trupach, kopali, przewracali, dobijając żywych i rabując kosztowności (mnie zdjęli z ręki zegarek; bojąc się nie dawałam znaku życia; a oni ciał nie dotykali rękami, tylko przez jakieś specjalne szmatki). W czasie tych okropnych czynności śpiewali i pili wódkę. Obok mnie leżał jakiś tęgi, wysoki mężczyzna w skórzanej kurcie brązowej, w średnim wieku, długo rzęził; oddali 5 strzałów, zanim skonał. W czasie tego dobijania strzały raniły mi nogi. Przez długi czas leżałam odrętwiała, przyciśnięta trupami, w kałuży krwi; byłam jednak przytomna i zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje; myślałam tylko o tym, jak długo będę tak konać i męczyć się. Pod wieczór udało mi się zepchnąć martwe ciała leżące na mnie. Straszne, ile było dokoła krwi. Następnego dnia egzekucje ustały — w ciągu dnia Niemcy wpadali 2—3 razy dziennie z psami, „biegali" po trupach, sprawdzając, czy kto nie wstał. Na trzeci dzień poczułam ruchy dziecka w łonie, wtedy myśl, że nie mogę zabijać tego dziecka, sprawiła, że zaczęłam się rozglądać, badając sytuację i możliwości ocalenia się. Kilka razy, próbując wstać, dostałam torsyj i zawrotów głowy; wreszcie na czworakach przeczołgałam się po trupach do muru, rozglądałam się, szukając wyjścia. Widziałam, że droga przejścia przez pierwsze podwórze, którym nas wprowadzono, była zawalona trupami. Za bramą słychać było głosy Niemców, trzeba było szukać innego wyjścia. Przeczołgałam się na trzecie podwórze i tu znalazłam kryjówkę w hali, dokąd weszłam przez otwarty lufcik po drabinie. Ukryłam się tam w obawie, że Niemcy przyjdą na kontrolę, i przebyłam tam przez całą noc. Noc była straszna. W pobliżu, na ulicy Płockiej, stał tzw. „tygrys", wyjąc bezustannie, a samoloty ciągle bombardowały. Wszystko drgało, spodziewałam się, że lada chwila fabryka z trupami spłonie. Nad ranem wszystko umilkło. Weszłam wtedy na okno i badałam podwórze, czy nie ma nikogo. Zobaczyłam jakąś kobietę; jak się okazało, była to cudem również ocalona

mieszkanka naszego domu (zeznaje również), następnie przyczołgał się jeszcze jakiś niedobity mężczyzna w wieku około 60 lat z wypłyniętym okiem. Oboje te trzy dni przesiedzieli w jakiejś kryjówce. Zaczęliśmy razem obchodzić podwórze, szukając wyjścia. Po długim szukaniu i wielu próbach wydostania się odkryliśmy wyjście od ulicy Skierniewickiej i tamtędy opuściłyśmy fabrykę (mężczyzna został, usłyszawszy głosy Ukraińców). Ukraińcy stali na rogu Wolskiej i nie zauważyli, skąd idziemy. Szłyśmy po gruzach, gdy pewnej chwili zeszłyśmy na środek jezdni, zauważyli nas i zagarnęli, choć błagałyśmy ich, aby pozwolili nam iść do szpitala; byłyśmy ranne, widocznie unurzane we krwi. W utworzonej z przechodniów grupie byłyśmy pędzone w kierunku Woli. Przyłączano coraz to nowe osoby. W pewnym miejscu rozdzielono grupę na młodszych i starszych: odłączono młode kobiety i młodych mężczyzn, zaprowadzono do jakiegoś domu, skąd dochodziły strzały. Prawdopodobnie było to też miejsce egzekucji — było to już za ulicą Płocką w kierunku kościoła św. Stanisława. Resztę, w tym mnie i moją towarzyszkę, popędzono do kościoła św. Stanisława. Po drodze widziałam masy trupów, części ciał, widywałam Polaków uprzątających trupy pod strażą. Stojący przed kościołem oficerowie niemieccy śmieli się z nas, kopali ludzi, bili. Kościół był przepełniony; wprowadzano i wyprowadzano masy ludzi. Ja byłam już tak wyczerpana, że leżałam razem z chorymi przy głównym ołtarzu. Pomocy żadnej nie było. Dostałam tylko odrobinę wody. Po 2 dniach zostałam furmanką przewieziona z ciężko chorymi do Pruszkowa, a stąd do Komorowa i dalej do Podkowy Leśnej. Tu dopiero, tzn. 11 sierpnia otrzymałam pomoc, opiekę lekarską itd. 20 sierpnia urodziłam synka. Przypuszczam, że straciłam nie tylko troje dzieci, ale i męża, gdyż mówił on, że do ostatka nie opuści Warszawy; nie mam nadziei, że on żyje, po tym, co się stało.

Niemcy palili, wyrzucali, pędzili, bili; na podwórzu fabryki „Ursus" Ukraińcy pod dowództwem Niemca w kasku rozstrzeliwali ludzi, mówiono, że dowódca był z formacji SS. Jak mogłam się zorientować i obecnie ocenić, na podwórzu fabryki „Ursus" mogło być 5—7 tys. trupów. Z samego naszego domu przyprowadzono tu około 200 osób (czterdzieści kilka mieszkań licząc po 4 osoby) i wszystkich stracono".

(18) Protokół nr 27:

świadek: nazwisko nieznane, malarka Ak. Szt. Piękn., zam. w Warszawie, ul. Wolska; nazwisko protokołującego nieznane.

„Dnia 1. VIII byłam na ulicy Granicznej 12, w RGO na obiedzie; między 4 a 5 godziną usłyszeliśmy strzelaninę. Chcąc przeczekać, siedzieliśmy w parę osób. Zjawiły się gromadki AK i kobiety, które zajęły salę w RGO. Ja z synem w wieku lat 13 postanowiłam wrócić do domu. Jednak musieliśmy się zatrzymać w schronach obcych przez 2 noce na ul. Rynkowej 3 i na Ceglanej. Na Ceglanej ciągle byliśmy ostrzeliwani z dachów, nie można było wyjść. Wreszcie przybyliśmy na ulicę Wolską 7. Tam żałowano, że przybyliśmy, przeżyto bowiem wiele niepokoju. Wehrmacht chciał zabrać mężczyzn na jakąś robotę, ale prośby kobiet i lament dzieci pomogły. Do rana 5. VIII trwały walki i bombardowanie. W nocy 6. (przed pół godziną wyszli młodzi mężczyźni), poprzedzając wejście ogniem, do naszej bramy wtargnęli żołnierze. Słyszeliśmy (były same kobiety, dzieci i starzec 77 lat), jak chodzili po podwórzu, wreszcie weszli do schronu, porozmawiali z nami trochę po niemiecku, wtrącając słowa polskie, między innymi „Pan Bóg“ — wezwanie imienia Boga; dzikie, nieprzyjemne twarze. Były dwa schrony. Do naszego przychodzili co kilkanaście minut, brali kobiety do swoich potrzeb. Postanowiliśmy przedostać się do drugiego schronu, gdzie był i mój ojciec, i rodzina. Po wahaniach pozwolili przejść przez podwórze. W drugim schronie zastałam zdeterminowanych ludzi. Ojciec mi dał wiadomość: „Musimy wyjść rano, dom będzie spalony, trudno, mam 77 lat, ale muszę“. Naszykował składany stołek. Przyszedł potem jakiś starszy żołnierz, gładził dzieci po głowach; podobno dostały już po jajku. Przyszedł drugi, jakiś starszy, bardzo piękny, ostre rysy, typ nie-Niemca. Rozmawiał z dr. J. Gackowskim, pełen nonszalancji, pogwizdując, z miną drwiącą. Potem przyszedł typowy Niemiec (czapka okrągła z trupią główką), rozmawiał z drem i p. Majorunasem Kowalskisem (pracował w RGO). Nam kazano spokojnie spać, rano mamy wyruszyć wszyscy. Za chwilę jednak przyszedł żołnierz z karabinem maszynowym (syst. okrągły bęben), spacerował z pewną miną i powiedział „sle“. W pewnym momencie, wiedziona instynktem,

zostawiam paczki, ciągnę synka i mówię: „Krzysiu, chodź", wysuwam się pierwsza. Krzyś mówi: „Mamusiu, a plecaki" i zatrzymuje się. W tej chwili już za framugą następnej piwnicy słyszę strzały, okrzyki, jęki. Zdrętwiałam — syn mój został po tamtej stronie. Słyszę odgłosy konania wszystkich. W jakiś czas ucichło, tylko światło jakieś miga. Czekam, że żołnierz jakiś do mnie przyjdzie, minuty ciągną się. Naraz ktoś mnie woła po nazwisku. Wychodzą trzy kobiety, jedna z nich, ranna, pod sobą schowała dziecko, które miało 3 lata i nie umiało być cicho, rzucił w nie granat, zabił matkę, wyszarpane kolana, kości na szczęście nie uszkodzone. Piwnice są w amfiladzie, w pierwszej od wejścia rozniecili pożar, w drugiej zabici*). Niesiemy z dalszych piwnic wodę, która wkrótce się kończy. Szukamy innego ratunku. Przebita dziura w ścianie, idziemy do bocznych piwnic pod sklepem — drzwi żelazne — z piwnicy do sklepu w górę po drabinie. W oknach kraty, na szczęście kłódka w jednym oknie. Rozbijamy nit w kłódce, okno otwarte, płomienie objęły całą kamienicę, szkło sypie się, słychać trzask walących się głowni. Nie myślimy o zabieraniu pożytecznych paczek, palt lub butów. Ja bez jesionki, a ranne bez butów, które zdjęły przy gaszeniu. Skaczemy przez okno. Wolność. Akurat dom przechodni. Wybiegamy na drugą ulicę — Krochmalną. Od Wolskiej pracują żołnierze nad rozebraniem barykady. W niektórych miejscach czołgamy się pod parkanami. Krochmalna pusta, przedostajemy się przez place i posesje na Grzybowską, Karolkową, Kolejową, w drodze robimy opatrunek i idziemy na Jelonki. Tam gościnni gospodarze proponują nam kilka dni pobytu. Jednak na drugi dzień idziemy dalej, gdyż są już „oni". W domu, w którym jesteśmy, przepatrują kąty i zabierają najładniejszą dziewczynę. Znowu idziemy na Babice. Doktór, wszędzie gościnni gospodarze. Potem Ożarów, RGO pracuje. Kwatera. Trzeba uciekać. Wybierają warszawiaków, „Banditen". Moja ranna zostaje pod opieką, jako ranna — bezpieczna. Idę pod Leszno przez Płochocin, w którym za parę dni „łapanki". Pod Lesznem „Ukraińcy" mają palić wsie i lasy z powodu „Banditen". Odezwy. Strzały, pożary. Jadę furą do Grodziska. Względny spokój — kontyngent ludzi na okopy i nagroda: wódka, cukier, sól. Ogonki,

*) Niejasności relacji zachowano ściśle według tekstu protokółu.

rozdawanie, filmowanie. Idę do rodziny. Milanówek. Systematyczne łapanki, akurat przy mnie wraca kuzyn z obozu po ciężkich tarapatach, jako chory. Ale czekają, kiedy znowu nas będą ruszać. Tropione zwierzęta. W gazetach czytam: „Żołnierze niemieccy pomagają dzieciom i kobietom, ludność oddaje się pod ich opiekę". Ciągle płaczę za synem. Nogi mnie gnają przed siebie.

W odpowiednim czasie zgłoszę się do dalszych wyjaśnień. Świadkowie żyją.

W mojej obecności zostali zabici: ojciec lat 77, syn lat 13, bratowa w 9 miesiącu ciąży i jej dzieci: dziewczynka lat 7, chłopiec 10, poza tym dozorczyni 55 lat, jej synowa lat 20 i ośmiomiesięczne niemowlę, jej synek. Poza tym wiele kobiet, razem 16 osób zastrzelonych lub zamordowanych na Wolskiej 7".

(19) Protokół nr 251:

świadek Maria Irecka z centrali P. C. K.;
dokument ten przyjęła dnia 2. XI. 44 Irena Trawińska.

„W dniu 2. VIII. 1944 roku zgłosiła się do biura Informacyjnego p. X, zamieszkała w Pruszkowie, i zawiadomiła, że Zofia Kędzierska, zam. w Warszawie, ul. Płocka 73, lat 46, oraz matka, Rusin Julianna, zamieszkała tamże, w dniu 5 sierpnia 1944 r. zostały wyprowadzone z grupą osób z tego domu przez Ukraińców i rozstrzelane na ulicy Górczewskiej — Moczydło. Oprócz wyżej wymienionych rozstrzelano wiele innych osób, między innymi również i lekarzy ze Szpitala Wolskiego, ustawiając ich szóstkami".

(20) Protokół nr 61:

nazwisko świadka, zamieszkałego w Warszawie, ul. Gostyńska 17, nieznane;
protokołujący nie podał nazwiska.

„Ulica Gostyńska 17 na Woli; noc z 5 na 6 sierpnia 1944 roku. Siedzieliśmy w piwnicy. Dom otacza wojsko niemieckie; podchodzi kilku żołnierzy — rzucają granaty zapalające do mieszkań na parterze i na I piętrze. Dom w płomieniach. Trzeba uciekać, inaczej

spalimy się żywcem; ktoś wygląda szczeliną na dwór — karabiny maszynowe skierowane na wyjście z naszej kamienicy. Tymczasem ogień przedostaje się przez przepaloną podłogę parteru do piwnic. Dym staje się coraz bardziej nieznośny. Jeśli pozostaniemy — zginiemy wszyscy — uciekając, może się kto uratuje. Uciekamy. Pierwsze kobiety i dzieci, może ich oszczędzą. Niestety, Niemcy przyjmują wychodzących ogniem z karabinów maszynowych — padają trupy, rzadko kto zdoła przebiec bez szwanku. Nie ma innego wyjścia — szybko uciekają jedni za drugimi. Piwnica opróżniona, podwórze zasłane trupami i ciężko rannymi, lekko ranni uciekli; z mojej licznej rodziny tylko ojciec wyszedł cało, lecz go później złapano i wywieziono do obozu. Ja zostałem ranny w obie nogi i dotąd leżę w szpitalu."

(21) Protokół nr 146:

Świadek Leszek Trojak, lat 6—7, zamieszkały w Warszawie, ul. Skierniewicka 34; protokołował Edward Serwański dnia 7. X. 44 w Święcicach pod Józefowem (Sochaczewskie).

„W dniu 7 października byłem w szpitalu w Święcicach, dokąd przyprowadzono chłopca, będącego świadkiem egzekucji na Skierniewickiej. Chłopiec drobny, niedorozwinięty. Blada anemiczna twarz, małe okrągłe oczy. Widać jeszcze ślady wyczerpania fizycznego. Siostra przełożona pokazała mi ślady z odniesionych ran podczas egzekucji: na szyi i na karku. Chłopiec miał rękę na temblaku, jeszcze nie wyleczoną z ran odniesionych w ramię. Opowiadanie chłopca można zrekonstruować w następujący sposób: „Niemcy kazali nam wszystkim zejść z mieszkania na dół (daty tego chłopiec nie pamięta, było to w pierwszych dniach wybuchu powstania). Na podwórzu byli już zgromadzeni inni mieszkańcy naszego domu i z domów pobliskich. Potem wyprowadzili nas wszystkich „na Płockie" (ul. Płocka) i tam nas wszystkich rozstrzelili. Zabili mamę, ojca, babcię i moją siostrę. Miała lat 6. Zabili wszystkich innych ludzi. I potem sobie poszli. Byłem ranny i leżałem na ziemi. Ruszałem się i zobaczył mnie przechodzący żołnierz niemiecki. Zostałem odprowadzony do kościoła i tam leżałem wraz z innymi rannymi. Potem zostałem przewieziony do Pruszkowa, a z Pruszkowa tu dotąd".

(22) Protokół nr 215:

świadek Stefan Staszewski, intendent szpitala Św. Łazarza; nazwisko protokołującego nieznane.

„Z 5 na 6 sierpnia, w nocy zdobyto szpital Św. Łazarza. Wobec bardzo silnego bombardowania przez artylerię i bombowce personel i ranni schronili się do schronu. Niemcy rzucili tam granaty i miny, nalali benzyny i podpalili. Spłonęło około 600 osób. Cały budynek szpitalny też spalili, usunąwszy poprzednio wszystkich Niemców, którzy pielęgnowani byli tam z taką troskliwością, jak żołnierze AK. Gdy jedna z zakonnic zaczęła wstawiać się za rannymi, Niemcy rzucili na nią granat".

(23) Protokół nr 15:

świadek Stefan Staszewski, intendent szpitala,) zamieszkały w Warszawie, ul. Leszno 156, Szpital Karola i Marii; nazwisko protokołującego nieznane.*

„1. VIII... szpital był przygotowany; usunięto wszystkie dzieci lżej chore, pozostało tylko 44... Obsługa łącznikowa składała się z młodych dziewcząt, które zbierały rannych pod największym obstrzałem, bez żadnych zewnętrznych oznak strachu lub zdenerwowania. Po zdobyciu magazynu niemieckiego żołnierze AK przebrali się w mundury niemieckie. Dla odróżnienia się nosili białe opaski na lewym ramieniu, a gdy Niemcy zaczęli i tę oznakę stosować dla swoich szpiegów, opaskę przełożono na prawe ramię. Od 1. VIII szpital był ostrzeliwany przez ciężką artylerię, pociąg pancerny i samoloty. Brak łóżek dla rannych — personel oddał swoje. Żywiono około 1000 osób. Szpital przygotował dobre zespoły chirurgiczne, toteż ciężko ranni pozostawali, lżej zaś rannych przenoszono do szpitala Św. Łazarza, który mieścił się po drugiej stronie ulicy. Zmarło 80 rannych, pochowani na terenie szpitala, każdy ma przywiązaną do nogi butelkę z dokumentami. Trumny robili Żydzi węgierscy, którzy uciekli z getta. Gdy drzewa brakło, chowano bez trumien.

Rano 6. VIII do Szpitala Karola i Marii przybyło 3 Niemców na wywiad; w parę godzin potem szpital został otoczony przez Ukraińców, którzy po dokładnym ograbieniu personelu popędzili wszystkich na Dworzec Zachodni. Pawilon główny z rannymi spalono".

*) Świadek był prawdopodobnie intendentem Szpitala św. Łazarza i Szpitala Karola i Marii (patrz prot. nr 215).

(24) Protokół nr 189:

świadkowie: Janusz Regulski, lat 45, zamieszkały w Podkowie Leśnej;
Anna Chomiczowa, lat 30, siostra obozu pruszkowskiego;
wspólne zeznanie;
protokołowała Irena Trawińska w październiku 1944 r. w Pruszkowie.

„Szpital Św. Łazarza. Dnia 6. VIII. Wyprowadzono ze szpitala lżej chorych i personel w liczbie około 200 osób. Wszyscy zostali rozstrzelani, w tym 28 osób personelu wyższego. Dr Barczowa z mężem — również lekarzem — w trakcie rozstrzeliwania padła ranna i drugiego dnia była znaleziona i wraz z kilku żywymi jeszcze pielęgniarzami przeniesiona do szpitala Św. Stanisława. Dr Barcz nie został odnaleziony, prawdopodobnie zginął. Jedna z tych wyratowanych pielęgniarek, pani Maciejewska, stwierdza, że uprzednio przeniesieni pod jej kierownictwem ciężej ranni i starcy do schronów zostali w trakcie zajmowania szpitala wymordowani granatami w schronach i nikt żywy spośród nich nie wyszedł.

(25) Protokół nr 100:

świadek P. Stachowska, lat około 25,
urzędniczka, wykształcenie średnie, zamieszkała w Warszawie, ul. Wronia 57;
protokołowała Maria Małaszek pod koniec sierpnia lub września 1944 r. we Włochach.

(W dniu 1. VIII. 44 wracała świadek z matką do domu tramwajem.) „Na ulicy panował paniczny niepokój. Konduktor chciał od Towarowej skręcić wprost do remizy. Niemcy, znajdujący się w wagonie, zmusili go do przejazdu ulicą Wolską. Na tej też ulicy po wyjściu z tramwaju zobaczyłyśmy żołnierzy niemieckich ze skrzynkami broni (fakt przygotowania do powstania i niezaskoczenia ich przez powstańców). Dały się słyszeć strzały. Nastrój panował podniosły. Trzeba było udać się do piwnicy. Młodzież męska i żeńska — nawet dzieci — wszyscy gotowi do zakładania opasek biało-czerwonych i do wyjścia na ulicę, tam gdzie wróg. Młodzież z zapałem szuka butelek, wypełnia je benzyną i naftą. Zdawało się, że zdobywamy świat. Dało się widzieć momenty komiczne. Oto Wronią przed naszą bramą kroczy szewc z ul. Leszno: wysoki, chudy, krok

długi, posuwisty, a za nim jego pomocnicy, malcy najwyżej do 10 lat. Każdy z nich miał butelkę w ręku. Wszyscy za swym wodzem kroczą gęsiego. Wódz zaś co chwila odwraca się i nakazuje im iść „wolno i gęsiego". Skręcają na ulicę Wolską na podbój tanków. Gdyśmy co jakiś czas wyglądali na ulicę, widać było żołnierzy niemieckich na rogu Leszna i Ogrodowej, tanki przejeżdżające i naszą młodzież AK, grupującą się około sąsiednich bram. Noc przeszła na czuwaniu, nie przynosząc nic nowego. Entuzjazm ogarniał nie tylko młodzież, ale i dzieci, które na gwałt dopominały się opasek biało-czerwonych. Nic dziwnego, naprzeciw w żandarmerii wywieszona została biało-czerwona chorągiew. Według zeznań, toczyły się pertraktacje, które nie dały pozytywnych wyników; AK nie zgodziła się na przemarsz żandarmerii z bronią. Wywieszenie białej chorągwi było nowym podniesieniem na duchu, a jako skutek ukazały się we wszystkich sąsiednich domach sztandary biało-czerwone. Sytuacja zaczęła się zmieniać na niekorzyść Polaków od czwartku 3. VIII. 44, gdy pojawiły się pierwsze samoloty niemieckie i rozpoczęło się bombardowanie. Znikła biała chorągiew przy żandarmerii, ale znikły i biało-czerwone sztandary. Wokół widzieliśmy pożary, dziwiliśmy się, dlaczego ludzie nie ratują. Trudno było wyjść dalej, aby dowiedzieć się dokładnie, co się dzieje. Tak przetrwaliśmy przez piątek, sobotę, niedzielę (6. 8.). Od czasu do czasu wchodziło się na chwilę do mieszkania, przeważnie siedzieliśmy w piwnicy. W nocy z niedzieli na poniedziałek (6/7. VIII) przybyło z bronią 2 żołnierzy (Wehrmacht) z obsługi tanku i kazali wszystkim mieszkańcom opuścić piwnice i mieszkania, gromadząc się na podwórzu. Szybko trzeba było zebrać się i wyjść. Gdy powstał krzyk i płacz dzieci, żołnierze zastraszyli nas, że będą rzucać granatami, a jednocześnie dla postrachu strzelili parę razy w górę. Na podwórku oddzielono od razu mężczyzn i ich pierwszych wyprowadzono, następnie kobiety. Prowadzono nas w grupie kilkuset osób Wronią, Wolską w stronę kościoła św. Stanisława na Woli. Robiło się już szaro. Kroczyliśmy już między częściowo spalonymi domami. Byłyśmy przekonane, że idziemy już na śmierć. Zrobiło się zupełnie widno, gdy dochodziłyśmy do kościoła Wolskiego. Wtem huknęły strzały karabinu maszynowego. Niektóre kobiety wpadły w rozpacz. Jedne szlochały, inne błagały o życie. Jedna z matek prosiła o życie nie dla siebie, lecz dla

swej 17-letniej córki. Żołnierz uspokajał ją twierdząc, że w Rzeszy nie ma zwyczaju zabijania kobiet bezbronnych i dzieci. Gdyśmy zbliżały się do kościoła, mężczyźni cywilni usuwali ciała rozstrzelonych na drugą stronę, za kościół (tam podobno przygotowany był stos na spalenie), następnie przychodzili z wiadrami z piaskiem i usuwali ślady krwi, spływającej aż do jezdni. Teraz byłyśmy przekonane, że za chwilę i nas postawią przed kościołem, gdzie przed chwilą była egzekucja, i nas rozstrzelają."

(Matka opowiadającej nie chciała nieść worka z żywnością: „po cóż? i tak za chwilę zginiemy").

„Po oczyszczeniu placu drzwi kościoła otwarto i kazano wszystkim wchodzić do środka. Tam już zastałyśmy ludzi; przed głównym ołtarzem ranni, doglądani przez siostry Cz. K. Miejsca było dość, tak iż można było nie tylko usiąść, ale i położyć się. W pierwszej chwili wszczął się krzyk i płacz w kościele. Kobiety rzucały się ze szlochem na stopnie ołtarza, dzieci płakały. Zdawało się, że człowiek nie przeżyje tego, że serce pęknie. Wtedy na ambonie ukazał się SS-wiec z tłumaczką i w te odezwał się słowa: „Proszę się uspokoić, tutaj śmierć nikomu nie grozi. Egzekucja, jakiej ślady widzicie przed kościołem, dokonana była na bandytach, którzy rzucali się na żołnierzy niemieckich. Was czeka los inny. Pojedziecie stąd tam, gdzie możliwe będzie żyć. Jak widzicie, w Warszawie żyć nie podobna, gdyż nic po niej nie pozostanie. Zatrudnimy was w obozach pracy przy kopaniu kartofli czy też innych robotach rolnych; otrzymacie karty pracy. Teraz zorganizujemy kuchnię polową, macie zapewne ze sobą żywność, złóżcie ją, przygotujemy pożywienie".

Niedługo nowe partie zaczęły dopływać do kościoła. Robiło się coraz ciaśniej, już były tylko miejsca stojące. Obok nas znalazł się ksiądz z parafii św. Anny, pokaleczony. Matka moja podała mu chusteczkę, aby otarł zroszoną twarz. Opowiadał, że od Krakowskiego Przedmieścia w czterech miejscach pracował przy rozbieraniu barykad, nim się dostał do kościoła św. Stanisława. Bito go, poszturchiwano, przechodził przez grad kul. Wierzy, że uratowała go Hostia, którą miał ze sobą na sercu. Co pewien czas siostry pielęgniarki wchodziły na ambonę [prosząc] o różne potrzebne rzeczy dla chorych. W pewnej chwili proszono, aby zgłosiła się akuszerka, o ile jest wśród ludzi. Około 1 w południe obwieszczono nam, że niedługo wyruszy pierwsza partia do pociągu. Jeżeli kto czuje się na siłach,

niech przygotuje się do drogi. Zaczęły się narady, co robić. Po zastanowieniu obie z matką postanowiłyśmy wyruszyć dalej. Może taka zmiana będzie zmianą na lepsze. Żołnierze uszykowali nas do wyjścia i prowadzili ulicą Wolską wśród palących się domów. Okazało się, że niedługo żołnierze opuścili nas, przykazując iść w stronę rogatek. Szliśmy grupą kilkutysięczną. Skoro okazało się, że nikt nas nie pilnuje, wyszłyśmy z matką z grupy, kierując się w stronę Włoch.

Tutaj też dotarłyśmy szczęśliwie, doznając serdecznego przyjęcia u naszych znajomych".

(26) Protokół nr 62:

świadek Jan Brodwicz, lat 38, urzędnik, zamieszkały w Warszawie, ul. Senatorska 36; nazwisko protokołującego nieznane.

„Dostałem się w ręce Niemców na ul. Senatorskiej. Nie zważając na to, że mam strzaskaną kość lewej ręki, zrzucam temblak i usztywnienie, wkładam płaszcz i posuwam się w kierunku Woli wraz z innymi (kierunek wskazują Niemcy). Nie chcę, aby widzieli, że jestem rannym, bo ranny to bandyta, a los jego jest przesądzony. Trasa obstawiona przez SS i żandarmów. Były to najstraszniejsze chwile w życiu, jakie kiedykolwiek przeżywałem. Od Senatorskiej ciągnie nieprzebrana kolumna wypędzonej ludności; idą wszyscy: starcy, dzieci, mężczyźni, kobiety, chorzy, ranni; ciągle rewizje i rabunki, poganianie, bicie, rozstrzeliwanie tych, którzy im się nie podobają. Wszystko dookoła w płomieniach, walą się kamienice, ulice zasypane gruzami, a po bokach trupy, masa trupów; nad całą trasą panuje śmierć i zniszczenie".

(27) Protokół nr 97:

świadek Jakubowska, zamieszkała w Podkowie Leśnej; protokołowała Irena Trawińska, dnia 18. IX. 1944 w Podkowie Leśnej.

„Warszawa, dnia 6 sierpnia, godz. 13, na Woli, ul. Młynarska 10. Gdy powstańcy opuścili nasz dom (był u nas punkt oporu AK, na balkonie stały karabiny maszynowe, ludność pomagała, jak tylko

mogła — nawet mali chłopcy w wieku 10—12 lat podczołgiwali się pod tanki i rzucali butelki z benzyną) — przybyli SS, otoczyli cały dom. Mężczyźni wyszli z domu wcześniej, kobiety pozostały i dzieci. Dom otoczony ze wszystkich stron; nakazują wyjść ze schronów. Na zgromadzony tłum mieszkańców — kierownik oddziału, zdaje się oficer, rzuca dwa granaty i odbezpiecza trzeci. Na ziemi 30 trupów i szereg rannych. W tym momencie podbiega młoda kobieta, mieszkanka tego domu, rzuca się (sama skrwawiona i ranna) na szyję oficerowi, zaczyna go całować w twarz, w oczy, błaga go, by ocalił życie reszty: „Patrz, coś zrobił, ile zabitych kobiet i dzieci". Oficer, zdetonowany, odłożył trzeci granat, sam zbladł i zachwiał się, zażądał dla siebie wody z kroplami, a dla kobiety bandaży do opatrunku; wyszedł potem z bramy, kazał żołnierzom dom nasz opuścić, rannych opatrzyć i przenieść do szpitala.

Żołdacy rzucili się dalej na dom nr 18, który zapalili, jeśli kto uciekał — zabijali. W ten sposób ocaliłam się".

(28) Protokół nr 58:

świadek Jakubowska, zamieszkała w Podkowie Leśnej;
protokołowała Irena Trawińska.

„Przedzierając się z Woli poza miasto przechodziłam ulicą Górczewską. Było to 7 sierpnia 1944 r. Gdy przechodziliśmy koło domu Górczewska nr 9 (był to dom zakonnic), wezwano nas do tego domu w celu przenoszenia i zakopywania znajdujących się tam trupów. Podwórze przedstawiało straszny widok: było to miejsce egzekucji — masy trupów, zdaje się z kilku dni, bo były i ciała popuchnięte, i świeżo zabite, ciała mężczyzn, kobiet i dzieci, wszyscy zabijani strzałem w tył głowy; trudno mi określić ilość: mogło być z 1000 (tysiąc) zabitych, a może i więcej; stosy leżały po kilka warstw bezładnie rzucanych. Mężczyznom kazano przenosić ciała, nam kobietom zakopywać; układałyśmy ciała w dołach przeciwczołgowych i zasypywałyśmy te doły; w ten sposób zapełniłyśmy szereg dołów przeciwczołgowych na ul. Górczewskiej. Mam wrażenie, że w ciągu pierwszych trzech dni powstania to w ogóle wszyst-

kich zabijano, później czasem ocalały kobiety i dzieci, a mężczyźni byli w dalszym ciągu zabijani. Obserwowałam to do dnia 7 sierpnia. Potem wydostałam się z tego piekła, cudem ocalona".

(29) Protokół nr 59:

świadek Jakubowska, zamieszkała w Podkowie Leśnej;
protokołowała Irena Trawińska dnia 18. IX. 1944 w Podkowie Leśnej.

„Warszawa, dnia 5 sierpnia 1944 r. około 4—5 po poł., ul. Wolska nr 105, 107 i 109 zaraz za wiaduktem, tzw. domy Hankiewicza. Wszystkie trzy bloki otaczają zewsząd Niemcy; rzucają granaty i podpalają dom, sypiąc z toreb jakiś biały proszek. Była tam masa mieszkańców i bardzo dużo ludzi z miasta; rozkazu wyjścia nie było; gdy Niemcy dom otoczyli, nikt potem już nie wyszedł; wszyscy spalili się żywcem, bądź zostali zabici granatami, nikt nie wyszedł stamtąd, ocaleć mogli ci, którzy wyszli wcześniej. Jak mówiono, palono żywcem wszystkich w domach tych, w których byli powstańcy. W domach Hankiewicza zginęło podobno 2.000 (dwa tysiące) ludzi, czy nawet więcej".

(30) Protokół nr 60:

świadek Jakubowska, zamieszkała w Podkowie Leśnej;
protokołowała Irena Trawińska.

„Dnia 7. VIII. 1944 r., godz. 9 rano, ul. Górczewska nr 15. Trzy czteropiętrowe bloki Wawelberga otaczają Niemcy z SS. Wrzucają do wewnątrz granaty, wokoło ustawiono karabiny maszynowe; nikogo nie wypuszczają; dom podpalony ze wszystkich stron; kto wychodzi, jest zabijany; poparzeni rzucają się z okien, nikt nie może wyjść z płomieni; palą się żywcem; cudem tylko mógł się kto stamtąd wydostać; wiem o jednej kobiecie, która z 2 piętra wyskoczyła oknem i ocaliła się potem; przy wyjściu pełno trupów tych, którzy chcieli uciec z płomieni; widziałam wśród tych kobiety z dzieckiem przy piersi. Domy były otoczone ze wszystkich stron.

Jak przypuszczam, mogło być w tych blokach do 2.000 (dwa tysiące) ludzi. Nikt żywy stamtąd nie wyszedł, chyba cudownym wprost sposobem, jak wspomniana wyżej kobieta".

(31) Protokół nr 1:

świadek Edward Serwański, pseudonim Karol Szymański, lat 31, prawnik, zamieszkały w Warszawie, ul. Elektoralna 9;
protokół własny, spisany w sierpniu 1944 r. w Brwinowie.

[Ewakuacja z Elektoralnej przez Wolę; fragment dotyczący Woli.]

„Przemarsz przez Elektoralną był utrudniony z powodu zawalenia ulicy gruzami, szczątkami palących się głowni itp. Od Chłodnej maszerowaliśmy w niesamowitej grozie nieprawdopodobnego zniszczenia. Po prawej stronie ulicy wszystkie domy były wypalone; natomiast cała lewa paliła się jak jedna ogromna pochodnia. Zdawało się w pewnych chwilach, że to była jedna wielka ściana ognia. Przeżycia własne każdego z nas, pędzonych jak bydło, zaszczutych strachem, w obliczu ciągłego niebezpieczeństwa, w czasie trwania strzelaniny, na tle ruin i potwornego pożaru, urastały do miary czegoś nieziemskiego. Fantastyczny był kontrast pomiędzy widokiem ludności cywilnej, kobiet z tobołami, dzieci, chorych, idących kalek a atmosferą walki, która unosiła się wokół. Nie było wypadku, aby Niemcy liczyli się z przesuwającymi się kolumnami ludności. Nie przerywali walki. Od czasu do czasu zatrzymywano nas przy trudniejszych przejściach. W takich wypadkach Niemcy dobierali się do nas, zabierając nam kosztowności. W ten sposób straciłem zegarek. Oficerowie i żołnierze wybierali spośród nas ludzi, którzy im się nie podobali, i przeprowadzali gruntowną, a w sposób bardzo brutalny, rewizję osobistą, niejednokrotnie popychając i lżąc. Na niektórych trasach ustawiali się tyralierą żołnierze po lewej i prawej stronie pochodu i lżyli nas, obrzucając klątwami i wyzwiskami od złodziejów i bandytów.

Pochód, przesuwając się od kościoła Karola Boromeusza aż po Żelazną, stanowił jedno pasmo udręki, szykan i tortury. Przedzierałem się wśród tych ulic, pomagając nieść toboły, worki. Przez pewien czas na ręku niosłem jakąś 2—3 letnią Basię. Rodzina pogubiła matkę i ojca. Do głębi wzruszyła mnie postawa kobiet.

Z zacięciem, w jakimś dogłębnym skupieniu, zwracając wyłączną uwagę na dzieci i toboły, maszerowały jak żołnierze naprzód, pilnując specjalnie, aby się nie narazić. W czasie całej tej drogi, to znaczy aż do Żelaznej, gdzie kobiety od nas odłączono, nie było wypadku, abym usłyszał lamenty, gorzkie płacze, prośby o pomoc. Kobiety uginały się pod tobołami, walizami, niosąc często na ręku niemowlęta i dzieci. Były chwile, gdzie żar ognia od palących się domów uniemożliwiał przejścia przez trudne miejsca. Wiatr spychał wprost na ulicę tumany gryzącego dymu, zasłaniając zupełnie widoczność. W pewnej chwili, wśród właśnie najtrudniejszego przejścia a wobec bezpośredniej grozy ognia i ciągłej kanonady, nastąpił nalot. Panika, chaos, bieganie rozwścieczonych Niemców, wszystko to zmieszało się w tumult straszny, napełniając każdego z nas uzasadnioną obawą o życie.

Za sobą pozostawiliśmy na ulicach chorych, starych, kaleki. Widziałem w wielu wypadkach, jakby zepchnięte dosłownie z trasy naszego marszu, siedzące na zwaliskach czy gruzach zwęglonych resztek domów, trzęsące się staruszki, zgrzybiałych starców czy skamieniałych zupełnie i na nic już nie reagujących chorych. Nikt się o nich nie zatroszczył. Widok tych ludzi na tle niesamowitej grozy umocnił się w moich wspomnieniach jako wyobrażenie zupełnego osamotnienia.

W kilku też wypadkach na Żelaznej widziałem grupy leżących pomordowanych ludzi. Nie mogły to być ofiary bombardowania ani strzelaniny, ponieważ zawsze trupy leżały po kilku w jednym miejscu.

Przy Żelaznej nastąpił rozdział kobiet z dziećmi od mężczyzn. Kobiety zabierały przeważnie cały bagaż ze sobą. Była to chwila bardzo ciężka. Raz z powodu zupełnego fizycznego wyczerpania kobiet, które jeszcze brały bagaż ze sobą, a po drugie, dla niewiadomej losu najbliższych — ojców, mężów, braci i synów.

Od tej chwili Niemcy, zepchnąwszy nas, mężczyzn, na prawą stronę Chłodnej i prowadząc Wolską pod ścianami spalonych domów, traktowali dosłownie jak bandytów, morderców czy podpalaczy. Przede wszystkim kazano nam podnieść ręce. Co chwila dopadali do nas z bronią w ręku, gotowi do strzału, jak oprawcy, lżąc, bijąc, porykując zupełnie bez powodu. Najstraszliwszą rzeczą było to, że w każdej chwili spodziewaliśmy się rozstrzelania. Co pewien czas wymie-

rzano przeciwko nam broń maszynową, napędzając albo do pośpiechu, albo też każąc tak czy inaczej formować się w pochodzie. Ile razy widzieliśmy tuż przed nami wyloty luf broni długiej czy rewolwerów, broni maszynowej, pochód wyginał się, obracaliśmy się tyłem do żołnierzy, pchając się pod ściany domów, jak gdyby w ten sposób można było uniknąć śmierci. Pomiędzy nami a śmiercią nie było dosłownie żadnego dystansu. Tak samo jak nie czuliśmy żadnego dystansu pomiędzy kulą znajdującą się w karabinie Niemca a nami. Ten stan uczuciowy towarzyszył nam już aż do końca. Były takie chwile bezpośredniego zagrożenia w czasie marszu, że nie tylko nie pamiętam szczegółów przesuwającego się obrazu, ale nawet nie pamiętam całych części trasy Wolska — kościół św. Stanisława.

Od Żelaznej zaczęto też nas gruntownie okradać. Odbywało się to etapami, przeważnie przy zatorach albo na barykadach. Zabierano wszystko. Pomijając już zegarek, straciłem najdrobniejsze rzeczy z kieszeni, nie wyłączając nożyczek, baterii i zapałek. Ze specjalną pasją wyrzucano nam klucze od mieszkań. Widziałem w grupie moich najbliższych współtowarzyszy, jak Niemcy zabierali pugilaresy, pieniądze, a dokumenty i papiery wyrzucali ostentacyjnie na bruk. Osobom, które z wyglądu Niemcom nie podobały się, nakazywano specjalnie wysoko trzymać ręce do góry, oczywiście musiały rzucać najdrobniejsze bagaże nawet. Zrzucano nam z głów nakrycia, kapelusze, czapki.

Kilkakrotnie próbowałem „nawiązać łączność“ z rozwścieczonymi Niemcami celem dowiedzenia się, jaki nas czeka los. Próbowałem także kilkakrotnie ratować moje rzeczy i nie pamiętam innej odpowiedzi, jak głośny ryk krowi: „Waaas? Looos“ itd. Były to po prostu zwierzęce, nieartykułowane głosy.

Imponująca była postawa mężczyzn. Była to kupa zmasowana, jedno wielkie ciało, jak lawa przelewana przez ulicę, skamieniała w milczeniu, zwarta w zaciętości, bez próśb, bez krzyków, bez jakiejkolwiek manifestacji strachu czy lęku.

Grupę naszą kilkuset mężczyzn zepchnięto wreszcie między kościół św. Stanisława na Woli a jakiś nieotynkowany dom; jak się okazało, była to placówka żandarmerii. Tutaj odbyła się ostatnia grabież. Musieliśmy tu dosłownie zostawić wszystko, cokolwiek mieliśmy w rękach. Tuż przede mną zdarto po prostu z ramion

jakiemuś staruszkowi płaszcz. I przy tej funkcji dwóch „obrabiających“ go żołnierzy, tocząc między sobą rozmowę, powiedziało: „I tak im to już nie będzie potrzebne“. Tuż przy nas z boku piętrzył się stos waliz, tobołów, rzeczy najróżnorodniejszego rodzaju.

Pognano nas przez bramę wejściową na wyższe piętro gmachu, Była to prawdopodobnie nie ukończona szkoła polska.

Znalazłem się w grupie około 100 ludzi w pustym zupełnie pokoju mniej więcej 5 × 5 m. Było około godziny 15. Współtowarzysze doli z dumą pokazywali uratowane rzeczy. Ktoś z buta wyciągnął zegarek, innemu udało się uratować nawet scyzoryk. Jakiś starzec wyciągnął zza pazuchy kawał chleba. Dzieliliśmy się nim na najdrobniejsze kawałki, a te dosłownie na okruszyny. Gdy dostałem odrobinę chleba i tym podzieliłem się jeszcze z moimi najbliższymi towarzyszami, byłem głęboko wzruszony. Był to bowiem rodzaj zbiorowej komunii, przy czym sugestia jak i kojarzenie tej rzeczy było tak silne, że aż się porównanie narzucało. Ogromnie dokuczał brak wody. Znaleziono gdzieś na korytarzu jakiś kubeł do przechowywania wody przeciwpożarowej. Kubeł był pusty; prawdopodobnie wodę już wypito.

Zabraniano nam wychodzić z pokoju. Co pewien czas napędzano nowe grupy. Wiedzieliśmy, że w sąsiednich pokojach, na korytarzach i na klatce schodowej rozkwaterowali się inni.

Byliśmy jeszcze wszyscy pod bardzo silnym wrażeniem przeżyć, a przede wszystkim pełni obawy co do naszego losu. Kiedy nas wpędzono schodami do góry, do pustego pokoju, byliśmy przekonani, że nastąpi kres naszego życia, że zabarykadują dom, obrzucą granatami albo wystrzelają i chałupę podpalą.

Na dobitkę co pewien czas po zamknięciu nas w pokoju przychodził do nas jeden z pijanych żandarmów i rozpoczynał mniej więcej w ten sposób przemówienie: „Jesteście wszyscy komunistami, jutro rano będziecie rozstrzelani“. Po szeregu klątw, wyzwisk, obelg pod adresem „buntowszczyków“ i powstańców, wychodził. Człowiek ten paraliżował nas zupełnie. Wlókł się poprzez klatkę schodową na dół i zaledwie zdążyliśmy odetchnąć, drapał się znowu po schodach, i wykład rozpoczynał się od początku.

Jeden z żandarmów pozwolił wreszcie przynieść wody.

Tak dotrwaliśmy do wieczora. W pobliżu nas paliły się domy. Żar ognia i dymy waliły się wprost na nasz pokój, uniemożliwiając

po prostu oddychanie. Huki dolatujące do nas z miasta i potworna łuna dopełniały grozy sytuacji. Noc przespaliśmy, względnie przeleżeliśmy pokotem. Jeden na drugim.

Rano 8. VIII o godz. 6 wypędzono nas z domu, gnając znowu jak bydło, z podniesionymi rękami. Dowiedzieliśmy się, że pędzą nas na Dworzec Zachodni, a stamtąd wywiozą do Rzeszy na roboty".

(32) Protokół nr 159:

świadek Wiśniewska, lat 40, żona magazyniera, zamieszkała w Warszawie, ul. Żelazna róg Leszna;
protokołował Edward Serwański w sierpniu 1944 r. w Brwinowie.

[Ewakuacja z Leszna; fragment dotyczący Woli.]

„7. VIII opuściliśmy nowe mieszkanie z powodu zbliżenia się Niemców i ogromnej akcji niszczycielskiej. Niemcy wchodzili do domu, obrzucali granatami piwnice i parterowe mieszkania i domy podpalali. Trzeba było uciekać. Przekopami posuwaliśmy się w kierunku Wroniej. W schronach widzieliśmy trupy starszych osób i dzieci, szczególnie w piwnicach domów róg Ogrodowej i Wroniej. Dostaliśmy się na Plac Karcelego i Ogrodową, na teren, który już był w rękach niemieckich. Było nas około 30 osób. Rozdzielono nas z miejsca od mężczyzn i zaczęło się ograbianie przez Niemców i tzw. Ukraińców. Wszystkich mężczyzn okradli zupełnie. Pana R. na miejscu zastrzelono za posiadanie przepaski OPL, natomiast pana Z. w straszny sposób pobito.

Z tego miejsca prowadzono nas grupą około 80 kobiet do Wolskiej w towarzystwie uzbrojonego samochodu, który umieścił się w środku naszej grupy, tak że otaczałyśmy go naokoło. Posuwaliśmy się w czasie trwania ciężkich walk ulicznych.

Przy „Franaszku" widziałam, jak w czasie rozdzielania mężczyzn od kobiet pewien mężczyzna zmuszony został do pozostawienia w grupie kobiet dwuletniego dziecka. W pewnej chwili po pożegnaniu się i odejściu o kilka kroków został popchnięty kolbą żołnierza i zastrzelony na miejscu.

W tym samym mniej więcej czasie widziałam, jak do grupy kobiet przyprowadzono 2 chłopców w wieku lat 16 i 18 od strony ulicy Górczewskiej, skrwawionych, z ranami na ciele i na twarzy, bitych przez Niemców i obrzucanych klątwami i wymyślaniem.

Widziałam, jak ich wreszcie odprowadzono na drugą stronę ulicy, i po chwili usłyszałam strzały.

Przy „Franaszku" widziałam także naszych mężczyzn, obnażonych do pasa, wywożących z domów na rikszach, wozach i wózkach stosy trupów, po 10 do 30 na każdym. Tych wózków mogło być około 30. SS-mani biegali wokoło ze szpicrutami i napędzali do pośpiechu. Wśród trupów widziałam dużo kobiet i dzieci, prawie zupełnie obnażonych. Jestem przekonana, że wszyscy zostali rozstrzelani.

W czasie całej drogi byłyśmy popychane i szykanowane. Kiedy w pewnej chwili zapytałam Niemców, dokąd nas prowadzą, ze śmiechem odpowiedział nam, że idziemy do Pana Boga.

Na drodze naszej od Karolkowej widziałam leżące na ulicy trupy, a w niektórych miejscach prawdziwe stosy spalonych ciał.

Za mostem prosiliśmy grupę żołnierzy o wodę. Jeden z nich zbliżył się do nas z kubłem, ale kolega jego kubeł ten przewrócił i tuż przed nami wodę rozlał.

Także za mostem widziałam, jak Niemcy podpalali domy, wrzucając do wnętrza jakieś paczki. Przed grupą podpalającą domy szli Niemcy w żółtych mundurach SA, otwierali sklepy i stamtąd wynosili rzeczy na wozy.

Wolską poprowadzono nas następnie wprost do Pruszkowa".

(33) Protokół nr 117:

świadek Aleksandra Bajtasiuk, studentka, Leszno 4;
świadek Aleksandra Bajtasiuk, studentka, zamieszkała w Warszawie, ul. Leszno 4:

„Dnia 7. VIII o godz. 9 wieczór wypędzono nas z ul. Elektoralnej nr 2, z Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Było nas kilkaset osób, spędzonych z różnych płonących domów. Pędzono nas przez podziemia Ministerstwa. W korytarzu jakiś Niemiec odłączył mnie i usiłował zgwałcić, z nadchodzącej grupy wyciągnął sobie po chwili inną ofiarę. Chcąc się mnie pozbyć, wyjął rewolwer i celował w czoło. W tym momencie zjawiła się jakaś trzecia osoba,

za którą pogonił strzelając. Korzystając z zamieszania, uciekłam do Ministerstwa. Pędzono nas dalej przez ogród Ministerstwa Skarbu i przez płonące ulice do Solnej nr. 5, gdzie przetrzymano nas przez całą noc do godz. 11 w dzień. Ograbiono nas wtedy z zegarków i kosztowności. Dalej pędzono nas przez Plac Mirowski, Elektoralną, w kierunku Woli. Na placu były olbrzymie doły od bomb, płonęły trupy, ulice wokoło w ogniu. Skwar słońca, żar od palących się domów był nie do zniesienia. Na skrzyżowaniu ulic: Chłodna — Wolska — Towarowa — Plac Kercelego przystanęliśmy bezradni. Od Placu Kercelego nasi strzelali w stronę Towarowej. Niemcy, idący do akcji, zatrzymali nas i utworzyli z nas żywą barykadę. Pod groźbą rozstrzelania kazali nam rozciągnąć się od krańca do krańca jezdni. Tyłem odwróceni do naszych, klęczeliśmy, względnie kucaliśmy, a Niemcy ułożyli się na ziemi przed nami, albo przyklęknąwszy na jedno kolano strzelali przez nas w stronę Placu Kercelego. Było nas 23 osób (w tym 2 dzieci), przeważnie młode kobiety. Byli tam p. Wikler, woźny w Urzędzie Miar, z żoną i córką; Wrzosek Mikołaj, mechanik-ślusarz, jego żona Magdalena i bratanek Jurek, dziewięcioletni chłopak; Zydanowiczowa z córką, żona inżyniera, i inni. Trudno opisać, cośmy przeżyli przez całe dwie godziny trwania akcji. Wszyscy byliśmy przygotowani na śmierć i głośno odmawialiśmy różaniec. Kule świstały nad głowami, koło uszu, przelatywały między głowami, huk karabinów niemieckich zupełnie nas ogłuszył. Cudownie wprost kule naszych trafiały tylko Niemców; padło przy nas 8 Niemców; w każdej chwili spodziewaliśmy się śmierci; gdy padł pierwszy Niemiec, myśmy zastygli w strachu; matka powiedziała do mnie: „Jeżeli mnie trafi kula, pamiętaj, żebyś ani jednej łzy nie uroniła, nie lamentuj i zachowaj się spokojnie, zachowaj godność Polki i nie okazuj słabości wobec nich". Dzieci tylko bardzo płakały i bardzo się bały.

Niemcy byli wprost oszołomieni tym, że oni tylko padają. Kazali mężczyznom odnieść trupy na bok. Myśleliśmy, że zemszczą się na nas. Oniemieni i ogłupieni, patrzyli w stronę pozycji powstańców i na nasz kamienny, zrezygnowany spokój, na drżące i tulące się do matek dzieci.

Na koniec zwolniono nas".

(34) Protokół nr 282:

świadek Aniela Osiadacz, lat ok. 37, żona robotnika, zam. w Warszawie, ul. Wolska 105; protokołowała Maria Małaszek w listopadzie lub grudniu 1944 r. w Brwinowie.

„Dnia 8 sierpnia 1944 r. przybyli Mongołowie do naszej kamienicy. Rozwścieczeni od razu chcieli dom podpalić, szybko wypędzili nas z mieszkań na dziedziniec. Oddzielono mężczyzn od kobiet i od razu na podwórku ustawiono po prawej stronie mężczyzn, po lewej kobiety. Krzyk wszczął się przeraźliwy, dzieci i kobiet. W tym czasie, gdy rozstrzeliwano z karabinu maszynowego mężczyzn, mały mój dwuletni synek podszedł do jednego z pilnujących nas Mongołów i pocałował go w rękę, a starszy, 10-letni syn prosił, aby nas uratował od śmierci. Mongoł pozwolił nam odejść, ale zbił mnie w okropny sposób kolbą karabinu, tak że krew rzuciła mi się ustami. Opuszczając podwórko, widziałam stos mężczyzn leżących — tam też został zabity i mój mąż — i rozpoczętą egzekucję kobiet. Wśród palących się domów na ul. Wolskiej szłam z dwojgiem swych dzieci aż do krańców miasta, a stamtąd dalej drogą w stronę Włoch".

(35) Protokół nr 247:

świadek Maria Bukowska, lat 40, zamieszkała w Łowiczu; protokołowała Irena Zgrychowa, nauczycielka, siostra P. C. K., dnia 26. IX. 1944 r.

[Ewakuacja z Powiśla; fragment dotyczący Woli.]

„... W kościele na Woli [7. VIII. 1944] okradają nas do reszty. Wszystkie młode dziewczęta zostają, nieraz 12—14 letnie; my starsze z dziećmi idziemy do Dworca Zachodniego, a potem koleją do Pruszkowa.

Duża, ciemna hala fabryczna, wilgotna. Na podłodze błoto po kostki. Zamykają nas. Wśród ciemności rozlegają się jęki; to jakaś kobieta rodzi dziecko — bez pomocy, bez kropli wody. Jest z nami lekarz kobieta, ale co poradzi bez narzędzi, wody, światła? ma tylko zapałki; dziecko rodzi się nieżywe.

W innym końcu sali umiera staruszka. Kilka osób odmawia modlitwy za konających, inni siedzą bezmyślnie, a jeszcze inni radzą, jak się stąd wydostać.

Ranek. Wypuszczają nas z hali. Idziemy... jest nas parę tysięcy kobiet i dzieci. SS-mani strzelają nad naszymi głowami. Wprowadzają nas na dworzec i jedziemy głodni, spragnieni w nieznane. Na stacjach dają nam kawę, chleb, pomidory".

(36) Protokół nr 6:

świadek Aleksandra Hilperowa, lat 20, mężatka, zamieszkała w Warszawie, ul. Karowa 4; protokołował Edward Serwański w sierpniu 1944 r. w Brwinowie.

[8. VIII. 1944 r. ewakuacja z Powiśla, z Karowej; fragment dotyczący Woli.]

„...Po krótkiej przerwie popędzono nas Chłodną w kierunku Woli. W drodze widziałam mnóstwo zwęglonych trupów, ułożonych w kupy około 10, kobiet i mężczyzn, poza tym droga była usłana zwęglonymi, leżącymi ciałami. Koło kościoła na Woli widziałam, jak zwożono od Skierniewickiej na rikszach trupy zamordowanych. Od Woli pochodem naszym zajęli się Ukraińcy. Szykanowano nas, a na postojach podbiegano i okradano; zabierano nam torebki, pierścionki, zegarki, biżuterię, wyrywano walizy, względnie zaglądano do ich wnętrza. Osoby lepiej zaopatrzone odciągano od kolumny i dokładnie rewidowano. Zaczepiano ustawicznie kobiety, a młodsze wyciągano z szeregów, przy czym dochodziło do b. dramatycznych scen. Gwałcenia kobiet i wprowadzania ich do bram nie zburzonych czy nie spalonych domów nie widziałam, jakkolwiek opowiadano w szeregach, że te rzeczy się dzieją. W pewnej chwili, widząc na uboczu studnię, podbiegam do niej, wołając do żołnierza „mein Kind", dając mu do zrozumienia, że dziecko chce wody. Zostałam odpędzona karabinem. Podobnie odpędzano wszystkie kobiety, zbliżające się do studni i wołające o wodę. Liczby kobiet maszerujących z dziećmi i bagażem nie mogę ustalić. Nie widziałam ani początku, ani końca. Około 17 doszliśmy do Dworca Zachodniego, gdzie uzyskaliśmy pierwszą pomoc od naszych kolejarzy i ich rodzin. Zatroszczono się o nas z ogromną serdecznością. Dawano nam mleko, chleb z marmeladą, kawę i pierniki. Obecni przy tym Niemcy, jacyś zawstydzeni, częstowali dzieci czekoladą i cukierkami. W naszej obecności odszedł jeden transport mężczyzn. Korzystając z uprzejmości

pewnej kobiety zatrzymałam się na krótko w jej mieszkaniu, gdzie mogłam zająć się dzieckiem. Od niej dowiedziałam się, że przy próbie ucieczki kobiet dwie z nich zostały zastrzelone na miejscu. Około 10 wieczorem nastąpił odjazd. W drodze wśród zupełnych ciemności kobiety zeskakiwały z pędzącego pociągu i uciekały w pole. W Pruszkowie byliśmy o godz. 1 w nocy".

(37) Protokół nr 221:

świadek Zula Kwiatkowska, lat około 30, nauczycielka, siostra P. C. K., zamieszkała w Warszawie, Szpital Maltański; protokół własny.

„7. VIII o godz. 15 przeszłam z głównego budynku Szpitala Maltańskiego pod nr. 36 na ul. Senatorskiej, by w pokoju jednej z sióstr przespać się przed dyżurem nocnym. Upłynęło około 10 minut zaledwie, gdy usłyszałam warkot samolotów; posypały się na nasz dom bomby zapalające, z dołu dochodził odgłos broni ręcznej i dział. Te ostatnie odgłosy skłoniły mnie do zejścia. Zdążyłam zejść kilkanaście stopni z II piętra, a już spotkałam się z pędzącymi na górę z nastawionymi karabinami żołnierzami niemieckimi. Po tygodniowym oddychaniu wolnym polskim powietrzem spotkanie to było uderzeniem ciężkiego obucha w głowę.

Po wylegitymowaniu musiałam zaprowadzić Niemców na I piętro, gdzie mieścił się oddział naszego szpitala. Nie poznałam wzorowo urządzonych sal: siostry z pośpiechem odsuwały łóżka i nosze z chorymi w jak najdalszy od okien kąt sali, na podłodze masa szkła. Niemcy obrzucali chorych tak nienawistnymi spojrzeniami, że mimo prawie pięcioletniego przyzwyczajenia się do tych „przyjacielskich" spojrzeń dziwnie mi się zrobiło na duszy, bo zdawało mi się, że postać ludzką mieli osobnicy spotkani. I tu pierwszy raz na własne uszy usłyszałam z pasją wypowiadane przezwisko „polscy bandyci".

Jeden z żołnierzy niemieckich ogłosił, że dom ten zaraz zostanie spalony, więc jeśli mamy ochotę, możemy wynosić chorych. Przerażone rzuciłyśmy się bez słowa do pracy. Nosze z chorymi kazano nam ustawiać przed domem. Który z rannych mógł choć z trudem utrzymać się na nogach, zwlóczył się sam na ulicę. Może

po 15 minutach kazano mi z kilku innymi siostrami iść w kierunku ulicy Elektoralnej i Przechodniej. „Waszych bandytów zniesie kto inny".

Na rogu ul. Elektoralnej i Przechodniej stała już kochana nasza siostra przełożona z dwiema siostrami. Stanęłyśmy razem, nie potrafiąc słowa ze sobą zamienić. Co chwila przyłączała się do nas jakaś z trudem posuwająca się postać, zawinięta w koc. I znów nie zamieniłyśmy słowa z sobą, pomagając naszym chorym ubrać się w schwycone przez nich w pośpiechu różne części garderoby.

A przed oczyma naszymi przesuwał się tłum kobiet, mężczyzn, dzieci, wypędzonych z domów przy ul. Senatorskiej, Placu Teatralnym, Placu Bankowym. Co się dzieje z naszymi chorymi? Co z nimi zrobią? Postanowiłyśmy popróbować przekonać naszych „opiekunów", że miejsce nasze jest tam, w szpitalu, przy naszych chorych.

„Chcecie pielęgnować waszych bandytów — im to nie jest potrzebne", „co z wami zrobimy, jeszcze się dowiecie". Tak odpowiedział, pieniąc się ze złości, obszyty wielu srebrnymi sznurami „pan z trupią główką". Długie minuty czekania przed Ogrodem Saskim. Coraz więcej ludzi spędzają tu. Oddzielają mężów od żon, ojców od dzieci. Co dalej? Chłopcy nasi nie zaprzestali walki. Poukrywani po różnych domach ślą kule ze swoich karabinów w stronę wroga. Odpowiada im wściekłą salwą Niemiec i „tygrys" ryczy ciągle.

Do naszej gromadki podszedł „opiekun", mamy iść do Szpitala Wolskiego pielęgnować niemieckich żołnierzy. Zdawało mi się wtedy, że mam młyński kamień zamiast serca. Ciężko oddychać, ciężko podnieść się z miejsca.

Idziemy 7. VIII w stronę Placu Żelaznej Bramy. Za nami oddział żołnierzy niemieckich, strzelających do poukrywanych za murami po sieniach naszych chłopców, którzy nie pozostają dłużni. „Tygrys" posuwa się też, „porykując". Rozumiemy, nasze białe fartuchy mają zatrzymać polskie kule. Naiwni. Idziemy. Kule świszczą, zlatują z palących się domów cegły, ramy okienne. Idziemy wolno, ostrożnie, omijając leżące trupy kobiet, dzieci, mężczyzn. Plac Mirowski. Żar trudny do opisania. Żołnierze niemieccy w okularach, z tamponami na nos i usta lub z całymi twa-

rzami zasłoniętymi mokrymi płatami, żartują sobie z nas, że upieczemy się. Wleczemy się dalej. Płomienie, gruzy, trupy — i te z nienawiścią patrzące na nas oczy niemieckie. W pewnej chwili chwycił mnie za rękę jeden z żołnierzy niemieckich; czułam, że wszystka krew spływa mi do stóp. Na szczęście chodziło tylko o zegarek. Oddaję mego wieloletniego, miłego towarzysza do wrogich rąk.

Ulica Wolska. Szpital jeden, drugi, trzeci. Niemieccy lekarze naczelni spoglądają na nasze wcale nie zachęcające miny i odpowiadają naszym „opiekunom", że nie chcą pomocy polskich sióstr. Bardzo głęboko, z ulgą odetchnęłyśmy. Nie na długo. Zakomunikowano nam, że mamy jechać do obozu w Pruszkowie, a stamtąd do Rzeszy, gdzie czeka nas praca też w szpitalach".

(38) Protokół nr 142:

świadek Tadeusz Kraszewski, lat 40, dziennikarz, zamieszkały w Warszawie, ul. Brylowska 16—18, firma „Okocim";
protokół własny spisany w sierpniu 1944 r. w Brwinowie.

[Przez Brylowską uciekali z Woli uratowani z egzekucji mieszkańcy. Przebywający jeszcze nadal w swych domach na ul. Brylowskiej mieszkańcy mieli okazję niejednokrotnie rozmawiać z uciekającymi. Spośród wielu relacyj wymieniony podał następującą wiadomość.]

„...opowiadano nam, że z 4. na 6. VIII Niemcy wyciągnęli spośród tysięcy internowanych w kościele na Woli 70 osób, po czym karabinami maszynowymi, ostrzeliwując zgrupowane w pewnym miejscu ofiary, dokonali egzekucji..."

„...Przechodzi troje ludzi: kobieta, mężczyzna i 15-letni chłopiec. W nocy wyciągnięto ludzi z domów przy ul. Młynarskiej, urządzono masakrę w pobliżu remizy tramwajowej. Owe trzy osoby ocalały pod trupami, których krew i mózgi obficie ich spryskały. Mężczyzna stracił żonę i troje dzieci, kobieta — męża i matkę, chłopiec — rodziców..."

(39) Protokół nr 29:

zeznanie dwóch kobiet, które nie podały swego nazwiska, zamieszkałych w Warszawie, ul. Ogrodowa; nazwisko protokołującego nieznane.

„W dniu 6 sierpnia udały się na ul. Ogrodową do schronu „Kwarantanny", budynek żelazobetonowy. Stamtąd zostały ewakuowane między 6—8 sierpnia. Pędzono tłum ulicą Wolską pod kościół. Tu kazano wszystkim usiąść twarzą ku kościołowi, a z tyłu ustawili się żołnierze z bronią. Ponieważ ludzie sądzili, że w tej pozycji będą zastrzeleni, więc kobiety wzięły dzieci na kolana przed siebie, zasłaniając je, a same wyprostowały plecy, aby śmierć nastąpiła szybko, trafnym strzałem. Nikt nie płakał ani nie jęczał, panowało powszechne milczenie. Owo oczekiwanie na rozstrzał trwało długo, nie wiadomo jak długo, potem, gdy noc już zapadła, rozkazano wszystkim ułożyć się obok siebie w gęstym szeregu. Nie było wolno się poruszyć. Gdy ktoś na skutek naturalnej potrzeby musiał się podnieść, prosił o pozwolenie odstąpienia na bok. Z tego momentu korzystali inni, aby prędko ułożyć się nieco wygodniej na ziemi. Zaraz bowiem przykazywano znów leżeć wyprostowanym, bez najmniejszego ruchu.

Rankiem oddzielono mężczyzn od kobiet i kobiety wywieziono do Pruszkowa. Tu obie wykupiły się za cenę 2 tysięcy złotych.

Wspominały ponadto, że w pierwszych dniach na Woli, gdziekolwiek napotykano po domach mężczyzn, wyrzynano ich i wrzucano do płonących mieszkań".

(40) Protokół nr 56:

świadek Laskoczyński, lat 60, zamieszkały w Warszawie, ul. Miodowa 3; protokołowała Tortini dnia 23. VIII. 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„Zabrano nas z ulicy Senatorskiej we wtorek, dnia 8 sierpnia 1944 roku około godziny 12, nakazując opuszczenie domu w ciągu 10 minut. Konwojowali nas SS; po drodze musieliśmy porzucać paczki, gdyż kazano nam maszerować z rękami podniesionymi do góry. Było nas około 500 kobiet. Prowadzono nas przez ulicę Leszno do kościoła św. Stanisława na Woli. Na 1/2 km przed kościołem pędzono nas biegiem i tak zmęczonych

wpędzono do kościoła. Pozostawaliśmy tak do południa dnia następnego, bez pożywienia i bez wody. Potrzeby fizjologiczne wszyscy załatwiali na miejscu w kościele, nie mogąc wyjść. W pewnej chwili na ambonę wszedł gestapowiec w czapce, z rozpylaczem, i oświadczył, że zostaniemy skierowani do obozu a następnie do ciężkiej pracy, natomiast w tej chwili ma wyjść z kościoła 250 młodych mężczyzn. Mężczyźni ci byli zabrani z kościoła. Po kilku godzinach wróciło ich tylko 102. Opowiadali, że Niemcy zrobili z nich żywą zasłonę, za którą szło SS z rozpylaczami i strzelali do powstańców. Nadto kazali zabranym rozbierać barykady pod gradem kul padających ze strony Niemców i powstańców. Wskutek tego zginęło z grupy 148 osób. Jeden z młodych mężczyzn wrócił z tej wyprawy zupełnie siwy".

(41) Protokół nr 71:

Świadek Krystyna Świętochowska, lat 24, studentka, zam. w Warszawie, Langiewicza 5; protokołowała Irena Trawińska, dnia 28. VIII. 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„Gdy będąc ranną leżałam w szpitalu w połowie sierpnia (dokładnie nie pamiętam), przypędzono do szpitala grupę 20—30 mężczyzn i kobiet poparzonych w okropny sposób. Opowiadali mi, że wypędzono ich ze schronu domów przy ul. Wolskiej. Gdy wyszli na ulicę, Ukraińcy pryskali na nich jakąś cieczą i wpędzali w ulice między płonące domy; płomienie natychmiast przerzucały się na nich, zwłaszcza ubranie kobiet — bardziej przewiewne — paliło się natychmiast. Kilka osób, objętych płomieniami, nie wyszło. Reszta ciężko poparzona przeszła. Ponieważ nie nadawali się do dalszego transportu, doprowadzono ich do szpitala. Cierpienia ich były straszne: wypalone oczy, twarze, otwarte rany, tylko 1/3 tych ofiar przeżyła, reszta zmarła wśród nieludzkich mąk".

(42) Protokół nr 70:

Świadek Krystyna Świętochowska, lat 24, studentka, zam. w Warszawie, Langiewicza 5; protokołowała Irena Trawińska w Podkowie Leśnej.

(Ul. Płocka, Szpital Wolski na Woli).

„Byłam tam, jako ranna, w dniu 18—20 sierpnia. Szpital był w rękach niemieckich, personel był polski, wśród rannych wielu

z AK; opowiadano mi, że 6—8 sierpnia do szpitala wpadli Niemcy i rozstrzelali wielu rannych, był to jeden z niewielu szpitali, gdzie nie wymordowano personelu. Ilu rannych rozstrzelano, nie potrafię powiedzieć.

Dnia 18—20 (dokładnie nie pamiętam) sierpnia, gdy byłam w szpitalu, wpadli Niemcy. Kazano chorym (którzy chodzili) zejść na dół, na podwórze. Ustawiono ich tu, trzech młodych Niemców z oddziałów „Hitlerjugend" wskazywało na niektórych rannych mówiąc: „Ten był na barykadzie". „Tego widziałem". Wybranych w ten sposób wyprowadzono do budynku w podwórzu i tam rozstrzelano. Resztę spędzonych, w tym część personelu (posługacze), wyprowadzono rzekomo do pracy. Podobno popędzono ich do kościoła św. Stanisława na Woli".

(43) Protokół nr 506:

świadek Kazimierz Nec, lat 21, zamieszkały w Warszawie, ul. Okopowa; protokołował Jan Grajkowski, lat 26, stud. med., dnia 15. XI. 1944 r. w Szpitalu Wolskim, ewakuowanym do Olszanki pod Skierniewicami.

[Protokół niniejszy powstał niezależnie od prowadzonej w miejscowościach podwarszawskich ogólnej akcji dokumentacyjnej i został złożony Instytutowi Zachodniemu w ciągu przygotowania niniejszego wydawnictwa.]

„Dnia 6. VIII. 1944 r. o godz. 6 zostałem wzięty z ulicy Długosza (jako cywil) i zaprowadzony na ul. Sokołowską do kwatery tzw. „Arbeitskommando". Dnia 7 zgłosiłem się wraz z 50 towarzyszami do pracy myśląc, że tym polepszę swój byt. Stąd udaliśmy się na posesję naprzeciw kościoła św. Wojciecha przy ul. Wolskiej, gdzie znajdowało się około 600 (sześćset) trupów kobiet, mężczyzn i dzieci ułożonych w stos; w pobliżu stosu znajdowało się kilkadziesiąt trupów, które dołożyliśmy do stosu. Następnie udaliśmy się do domu przy ul. Wolskiej 60, gdzie po dwu stronach podwórka leżały zwłoki przeszło 100 mężczyzn z oznakami masowej egzekucji. Na terenie tej samej posesji w krzakach znaleźliśmy kilkanaście trupów kobiet, dzieci i niemowląt zamordowanych strzałem w tył głowy. Na to samo miejsce przenieśliśmy z domu róg Płockiej i Wolskiej (duża żółta kamienica) kilkadziesiąt trupów mężczyzn, kobiet i dzieci częściowo spalonych, zamordowanych strza-

łem w kark. Z domu przy ul. Płockiej — w odcinku od Płockiej do Górczewskiej — przynieśliśmy około 100 trupów. W jednym z tych domów znaleźliśmy trupa na pół spalonego mężczyzny, obejmującego za szyję dwoje dzieci. Po powrocie na ul. Wolską 60 ułożyliśmy podkład z drzewa, na nim stos trupów i dokładnie oczyściliśmy teren ze śladów niemieckiej zbrodni (dokumenty, ubranie, bielizna itp.), którymi obłożono stos i po podlaniu benzyną podpalono. W trakcie palenia się stosu przyjechał samochodem pijany podoficer SD, który z przechodzącej kolumny uchodźców wybrał trzech mężczyzn w wieku 20—30 lat. Zamordował ich strzałem w kark w trakcie pseudoprzyjacielskiej rozmowy. Po zamordowaniu pierwszego z nich kazał nam w oczach pozostałych wrzucić go na płonący stos.

Dnia 8. VIII zaprowadzono nas na podwórko fabryki „Ursus" przy ulicy Wolskiej. Cały dziedziniec fabryczny o wymiarach ca 50×50 m zasłany był trupami tak gęsto, że niemożliwe było przejść nie depcząc ich. Wśród trupów była połowa kobiet z dziećmi, często niemowlętami. Wszystkie zwłoki nosiły ślady uprzedniego rabunku. Pozycja zwłok wskazywała na to, że ludzie ci byli mordowani pojedynczo, w szczególnie bestialski sposób. Po ułożeniu podkładu z drzewa stos podpaliliśmy. Przy układaniu stosu pracowało 50 ludzi około 6 godzin. Ilość zwłok spalonych tam przekraczała, według mnie, sześćset. Ubiór i walizki wskazywały na to, że byli to uchodźcy. W czasie wywożenia trupów z okolicznych domów natknąłem się w domu na rogu ul. Skierniewickiej i Wolskiej na większą ilość trupów, znajdujących się w piwnicy zalanej wodą. Z powodu zbyt wysokiego poziomu wody wyciągnęliśmy tylko kilkadziesiąt trupów. Sądzę, że ludzie ci zostali tam wrzuceni po zamordowaniu ich na podwórku, gdzie znajdowało się jeszcze kilkanaście trupów. Następnie zaprowadzono nas do fabryki „Franaszek" przy ulicy Wolskiej, gdzie spaliliśmy, jak poprzednio, trupy w ilości mniej więcej takiej samej jak w fabryce „Ursus". Zauważyłem, jak zwykle, kobiety i dzieci. Jednego z następnych dni zaprowadzono nas do pracy do Parku Sowińskiego, gdzie wśród trupów przeważały kobiety i dzieci, a nawet spotykałem trupy kobiet w ciąży. Szeregowe ułożenie trupów wskazywało na egzekucję masową. W dwóch stosach spaliliśmy przeszło tysiąc zwłok. Zmuszono nas do prze-

szukiwania zwłok i do składania kosztowności w ręce SD-manów, a papierowe pieniądze kazano spalić wraz z innymi dowodami zbrodni. Pracowaliśmy tam cały dzień. Następnego dnia zaprowadzono nas na ul. Wolską 24 (plac zabaw „Wenecja"). Na to miejsce zwoziliśmy zwłoki z odcinka ul. Wolskiej od ul. Młynarskiej do Karolkowej. Spaliliśmy tam przeszło dwieście osób. Tego samego dnia spaliliśmy w domu przy ul. Wolskiej 4 około dwustu osób. W domu na rogu ulic Wroniej i Chłodnej spaliliśmy około pięćdziesięciu trupów, leżących tam i już częściowo spalonych. W tym czasie widziałem, jak podoficer SD zamordował idącą ulicą Chłodną staruszkę około 80 lat, której trupa dorzuciliśmy do palącego się stosu. W domu firmy Machlejd rzucaliśmy trupy zwiezione z pobliskich domów do płonącej piwnicy. W ciągu następnego dnia pracowaliśmy przy paleniu trupów na terenie szpitala Św. Łazarza przy ul. Wolskiej. Ciała pomordowanych chorych i personelu znajdowaliśmy na salach szpitalnych w łóżkach, klatkach schodowych, korytarzach i piwnicach. Z tego, co widziałem, sądzę, że wszyscy chorzy i służba zostali pomordowani. Zwłoki w większości wypadków spalono w piwnicach. Po częściowym spaleniu trupów na terenie szpitala Św. Łazarza paliliśmy trupy w domach, których adresów nie pamiętam. Po powrocie na teren szpitala zastaliśmy trupy 40 (czterdziestu) świeżo zamordowanych mężczyzn. Jednego z następnych dni spaliliśmy około 100 (stu) zwłok z ul. Młynarskiej na odcinku ul. Wolskiej do Górczewskiej, na podwórku fabryki Michlera również około stu i na ul. Ptasiej w tej samej liczbie. Wieczorem oczyściliśmy teren szpitala Św. Łazarza ze śladów zbrodni. Następnie z powodu choroby przestałem pracować przy paleniu zwłok. Z relacji kolegów z innych kolumn wnioskuję, że prace przy zacieraniu śladów masowych morderstw trwały do połowy września 1944 r. Organizacja pracy wyglądała następująco: oddział do palenia zwłok składał się ze stu ludzi podzielonych na dwie samodzielne grupy robocze po 50 ludzi, odseparowanych ściśle od reszty „Arbeitskommando". Praca odbywała się pod nadzorem 15 SD-manów pod dowództwem oficera SD. Przy pracy część robotników układała stos, część zwoziła zwłoki z pobliskich domów. W tym czasie dowiedziałem się, że rozkaz o wstrzymaniu egzekucji wyszedł dn. 6. VIII. 1944 r. rano. W tymże okresie, dnia bliżej nie mogę podać, widzia-

łem zwłoki około dwudziestu księży. W międzyczasie widziałem pojedyncze mordy, dokonywane na starcach i księżach. Na przykład na ulicy Żelaznej SD-man zastrzelił dwie chore staruszki. Po spaleniu stosów na placu zabaw „Wenecja" popiół ze spalonych zwłok został wrzucony do rowów przeciwlotniczych na tymże placu. Nasza grupa w sile 50 ludzi pracowała od dn. 6. VIII do 15. VIII w rejonie ulic Chłodnej i Wolskiej wraz z przecznicami. Druga grupa pracowała w rejonie Górczewskiej i przecznic, lecz bliższych danych o jej pracy nie posiadam.

Nie mogę ręczyć za ścisłość dat, podane przeze mnie ilości spalonych zwłok są podane w przybliżeniu, lecz na pewno nie są mniejsze, a raczej większe.

Na tym zeznania swe kończę i po przeczytaniu podpisuję".

OCHOTA-ZIELENIAK

IV

Powstanie na Ochocie wybuchło i zgasło. Nie powiodło się opanowanie głównych niemieckich placówek, w szczególności ogromnego sześciopiętrowego bloku Domu Akademickiego przy Placu Narutowicza. To przesądziło już w pierwszych nieomal godzinach losy dalszej walki. Powstańcy wycofali się do śródmieścia, wyjąwszy tylko załogę kilku punktów oporu, które po kilku dniach zostały przez Niemców zlikwidowane. W ten sposób dzielnica ta znalazła się w rękach armii niemieckiej, która przystąpiła do ewakuacji ludności i systematycznego podpalania budynków.

Dowództwo niemieckie użyło do tego celu specjalnych oddziałów „Wehrmachtu", którzy wykonywali polecenia niemieckiego dowódcy SS von dem Bacha.

Mieszkańcy Ochoty określali tych ludzi przeważnie jako Ukraińców. Ewakuowanych gromadzono na wielkim targowisku przy Grójeckiej, tzw. „Zieleniaku", wybrukowanym okrąglakami i ogrodzonym murem.

Niemieckie dowództwo twierdziło, że w ten sposób chce uchronić ludność przed rozwydrzeniem tzw. „Ukraińców", a właśnie tam popełniano największe zbrodnie.

Warszawa wyrósłszy w swym heroizmie do wyjątkowych wielkości ukazała przez małego duchem człowieka i swą nędzę moralną. Jest to w czasie wojny niestety zrozumiałe — zjawisko ogólnoludzkie. Ci mali ludzie wycisnęli swe niegodne piętno w historii martyrologii Ochoty, a zwłaszcza Zieleniaka.

(44) Protokół nr 34:

świadek lat 40, sanitariuszka z Instytutu Radowego, zam. w Warszawie, ul. Wawelska.

„Sanitarny personel Instytutu nic nie wiedział o terminie powstania. Pracowano jak zwykle. W pierwszym dniu powstania po południu przybyło kilku osobników o typach przeważnie semickich, lat ok. 30, zawiadamiających, że Instytut musi im udzielić miejsca na operacje wojenne.

Zajęli stanowisko na balkonie, po chwili rozpoczęła się strzelanina bardzo silna z Placu Narutowicza, czyli w pobliżu Instytutu. Kule donosiły do Instytutu.

Po kilku godzinach walki Ukraińcy wtargnęli do Instytutu, usuwając cały personel do ogrodu Instytutu. Ukraińcy grozili im rozstrzelaniem (tj. personelowi), stawiali sanitariuszki pod ścianą, i to po trzy razy, po czym ograbiwszy je doszczętnie, popędzili na Pole Mokotowskie. Stamtąd po wielu godzinach czekania złączyli z innymi grupami i przetransportowali do obozu w Pruszkowie".

(45) Protokół nr 203:

świadek Józefa Krzemińska, lat 24, pielęgniarka; protokołował Jerzy „Zbigniew" 6. XI. 1944 r.

„Dnia 6. VIII. 1944, będąc z zawodu pielęgniarką, zatrudnioną w Instytucie Radowym w Warszawie, przebywałam w tym Instytucie na służbie. O godz. 11 do gmachu Instytutu wtargnęli Ukraińcy z podoficerem niemieckim na czele, rozkazując wszystkim, służbie i chorym oraz personelowi lekarskiemu opuścić budynek szpitala. Chorzy, którzy nie mogli się unieść z łóżek, zostali natychmiast w łóżkach swych zastrzeleni. Między nimi znalazło się 3 młodych chłopców spośród uczestników powstania, rannych, którzy zostali również pomordowani wystrzałem z rewolweru w głowę. Przebywający w tym czasie w Instytucie pewien męż-

czyzna (nazwiska nie znam), który był tam w celu odwiedzenia chorej kuzynki, został wyprowadzony wraz z nami na ulicę. Wyprowadzający go Ukrainiec przez całą drogę bił go kolbą od karabinu po głowie, tak że w pewnym momencie mężczyzna ów upadł na ziemię. Dowodzący Ukraińcami niemiecki podoficer podbiegł wówczas do nieszczęśliwego, a stanąwszy mu na karku obu nogami, trwał tak w ciągu kilkudziesięciu sekund, do chwili kiedy leżący począł drgać, widocznie wskutek uduszenia się. Wtedy dopiero Niemiec ów pozbawił go życia wystrzałem z rewolweru w tył głowy".

(46) Protokół nr 200:

świadek Jerzy Śliwecki, lat 33, magister prawa, zamieszkały w Warszawie, ul. Wawelska; protokołował Jerzy „Zbigniew" dnia 7. XI. 1944 r.

„W dniu wybuchu powstania znajdowałem się w Warszawie w celach handlowych przy ul. Wawelskiej. W momencie rozpoczęcia się strzelaniny zostałem zatrzymany przez kilku żołnierzy w mundurach niemieckich na terenie ogródków działkowych w pobliżu Miejskich Zakładów Ogrodniczych, dokąd zbiegłem z kilku innymi przechodniami w obawie przed kulami i w nadziei, że w polu będzie mi łatwiej ukryć się w jednej z bruzd. Żołnierze ci zaczęli nas bić kolbami karabinów, a ponieważ broniliśmy się rękoma, osłaniając nimi miejsca, w które nas uderzano, polecono nam położyć się na ziemi. Widziałem, jak jednemu z mężczyzn, leżących niedaleko ode mnie, jakiś żołnierz przeciął scyzorykiem gardło. Inny żołnierz skoczył nogami na mnie, przy czym od uderzenia butem w głowę zemdlałem. Obudziłem się w nocy wśród licznych świateł rakietowych, które pozwoliły mi stwierdzić, że znajduję się w towarzystwie dwóch trupów: jednego z podciętym gardłem; na ciele innego ran nie dostrzegłem oprócz zmasakrowanej twarzy zapewne na skutek zadeptania, o czym świadczyłaby ziemia przylepiona do ran w okolicy warg, czoła i oczu. Ja odniosłem ranę głęboką od podkówki na ciemieniu i kilka ran i szram od gwoździ obuwia, oraz miałem złamaną rękę w przedramieniu Rękę tę amputowano mi".

(47) Protokół nr 201:

świadek Jan Gadomski, lat 33, inżynier-architekt, zam. w Warszawie, Częstochowska 8; protokołował Jerzy „Zbigniew" dnia 6. XI. 1944 r.

„W dniu wybuchu powstania znajdowałem się w drodze do znajomych na ul. Częstochowskiej w Warszawie. Ponieważ obawiałem się kontynuować dalszą drogę wobec gęstych wystrzałów, schroniłem się do bramy domu nr 8, w nadziei że strzelanina rychło się skończy. W bramie tej przebywałem około 5 godzin, do momentu, kiedy zatrzymało mnie kilkunastu żołnierzy w mundurach niemieckich. W tejże chwili z okien któregoś z pięter domu, stojącego naprzeciw, wychyliła się postać kobiety, ubranej w białą bluzkę, która wyrzuciła granat ręczny. Granat ten rozerwał się o kilkanaście kroków ode mnie, ciężko raniąc jednego z żołnierzy. Pozostali, zostawiwszy przy mnie eskortę, wpadli z wyciem do bramy owego domu i po kilku godzinach ukazali się znowu, ciągnąc za włosy wyżej wspomnianą kobietę. Dwu z nich przewróciło ją na ziemię tuż pod bramą, trzeci dokonał na niej gwałtu, a czwarty potem kilkoma cięciami kuchennego noża przebił jej gardło".

(48) Protokół nr 233:

świadek Wojciech Kondracki, lat 44, biuralista, zam. w Warszawie, ul. Litewska 13; protokołował Jerzy „Zbigniew", dnia 23. XI. 1944 r.

„We wtorek, w dniu wybuchu powstania znajdowałem się na działce swego kolegi w pobliżu ulicy Wawelskiej. Strzelanina zmusiła mnie do położenia się w kartoflach. Nakryłem głowę szpadlem. Przypuszczam, że upłynęło około 20 minut, gdy poczułem, że ktoś na mnie wskoczył i skacze po mnie. Ból był nieznośny, tym więcej, że leżałem na grabiach, które mnie uwierały w bok. Gdy krzyczałem z bólu, nie mogąc się opanować, mimo że depczący i kopiący mnie Niemiec kazał mi przestać krzyczeć, zagroził mi zabiciem. Gdy ponownie krzyknąłem, strzelił do mnie z tyłu, raniąc mnie w szyję z lewej strony. Zemdlałem. Ocknąłem się w nocy i doczołgałem się do Miejskich Zakładów Ogrodniczych a stamtąd na Mokotów".

(49) Protokół nr 234:

świadek Stanisław Konopacki, lat 33, robotnik warsztatów kolejowych na Dworcu Zachodnim, zamieszkały w Warszawie, ul. Jasna 5; protokołował Jerzy „Zbigniew" dnia 23. XI. 1944 r.

„W dniu wybuchu powstania o godzinie 4 po południu znajdowałem się w drodze do mieszkania. Pomimo strzałów postanowiłem drogę kontynuować, co też udało mi się do chwili, gdy znalazłem się na rogu ul. Twardej i Złotej, gdzie dostałem się w ręce wojska niemieckiego. Po drodze, na ul. Szczęśliwieckiej na odcinku między dworcem Zachodnim a ulicą Niemcewicza, w momencie gdy skryłem się w zagonach kartofli, widziałem kilku Niemców w mundurach wojskowych, prowadzących w kierunku dworca PKP kobietę w wieku lat około 30 z dwuletnim może dzieckiem na ręku. Przy przechodzeniu przez jezdnię kobieta ta potknęła się o szyny kolejki EKD, przy czym widziałem, jak w chwili upadku dziecko uderzyło mocno głową o słup z przewodami elektrycznymi. Jeden z żołnierzy zastrzelił bezzwłocznie dziecko, a płaczącą kobietę oderwano od trupa dziecka i poprowadzono dalej, nie szczędząc licznych uderzeń pięściami w twarz".

(50) Protokół nr 42:

świadek młody człowiek, lat 20, rolnik wysiedlony z Wielkopolski, zamieszkały w Warszawie, w rejonie Placu Narutowicza.

„I. dzień powstania, rejon Placu Narutowicza. Walczyłem wraz ze swoim oddziałem na mieście, a po bezowocnych wysiłkach z powodu bardzo silnej przewagi niemieckiej wyszedłem z miasta, kierując się według rozkazu wraz z towarzyszami ku Pęcicom, wsi położonej o 10 km od Pruszkowa. W nocy i nad ranem przyszło do starć z oddziałami niemieckimi, i oddział nasz został wzięty do niewoli. Mieliśmy rannych i zmarłych. Niemcy kazali nam wykopać rowy i pogrzebać zmarłych. Gdyśmy to uczynili, a pochowawszy zmarłych towarzyszy przystanęli w chwili ciszy nad grobami, oddział niemiecki ogniem karabinów maszynowych wysiekł wszystkich. Nie umiem wymienić cyfry zabitych, sam uszedłem z życiem opatrzywszy rannych, m. in. sanitariuszkę, która potem

zmarła. Po dokonaniu tej egzekucji Niemcy kilkakrotnie dokonywali na mnie pozornych egzekucyj. Ostatecznie nie zabili mnie i pozwolili mi ujść cało, to znaczy zbiec".

(51) Protokół nr 237:

Świadek Zygmunt Barszcz, lat 33, adwokat, zam. w Warszawie, ul. Marszałkowska 113; protokołował Jerzy „Zbigniew" dnia 23. XI. 1944 r.

„Pierwszego dnia powstania powracałem od klienta swego zamieszkałego przy ulicy Wawelskiej. Wystrzały zaskoczyły mnie przy zbiegu ul. Wawelskiej i Grójeckiej. Wobec czego szybko przebiegłem jezdnię i skryłem się w bramie domu stojącego naprzeciw.

Od strony ul. Opaczewskiej jechał „tygrys", a naprzeciw chyłkiem tuż pod murem domu biegła grupka kobiet i dwoje dzieci. Jadący „tygrys" wystrzelił. Po opadnięciu dymu ujrzałem, że z tej grupki kobiet została tylko jedna, biegnąca nadal, z krzykiem, i trzymająca się za ramię. Pozostałe leżały w nieładzie na chodniku, dzieci poszarpane bez mała na strzępy".

(52) Protokół nr 77:

świadek, nazwisko nieznane, lat 26, sanitariuszka, zamieszkała po powstaniu w Podkowie Leśnej; protokołowała Irena Trawińska dnia 22. VIII. 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„Dnia 2 sierpnia 1944 r. byłam jako sanitariuszka na punkcie sanitarnym na ul. Nasierowskiej, róg Kaliskiej i Jotejki; w pewnym momencie przywieziono rannego; był nim dowódca NN (nazwiska nie zdołano ustalić), człowiek wielkich wartości, którego postanowiono za wszelką cenę ocalić; tylko natychmiastowa pomoc mogła go uratować (ciężka rana brzucha). Zapadła decyzja przeniesienia go do Szpitala Dz. Jezus; przeniesienie przez obsługę z dorosłych było niemożliwe, bo Niemcy strzelali do sanitariuszek i nie można się było pokazać na ulicy; powstał projekt, żeby rannego odniosły dzieci. Znalazło się na punkcie 9 dzieci, 2 najmłod-

szych harcerzy łączników i 3 innych chłopców w wieku 11, 12, 13 lat, 4 dziewczęta, najmłodsze łączniczki sanitarne 13—15 lat, wszyscy zgłosili się na ochotnika; chłopcy ponieśli nosze — dziewczęta w białych fartuszkach z krzyżami osłaniały — na przodzie szedł chłopczyk z chorągwią czerwonokrzyską. Tak uformowani przedarli się pod obstrzałem, idąc przy murze, przez Plac Narutowicza, i skręcili w ul. Grójecką. W tym momencie Niemcy rozpoczęli z Domu Akademickiego specjalnie do nich skierowany atak z karabinów maszynowych. Powstańcy nie odpowiadali. Tylko 3 chłopców i jedna z dziewcząt powrócili niosąc na powrót rannego, który zraniony ponownie, życie zakończył; reszta dzieci poległa".

(53) Protokół nr 2:

świadek, kobieta lat 60, zamieszkała w Warszawie, ul. Spiska; protokołował Edward Serwański w dniu 17. VIII. 1944 r. w rowie przy torze kolejowym, w Rawce pod Skierniewicami.

„W pierwszych dniach powstania Niemcy wpadli na naszą ulicę i kazali nam wszystkim wychodzić ze schronów i z piwnic. Nas, kobiety z dziećmi, oddzielono od mężczyzn. Niemcy kazali mężczyznom z powrotem wrócić do piwnic, gdzie wrzucono granaty".

(54) Protokół nr 202:

świadek Stefania Justak, lat 32, pielęgniarka, zam. w Warszawie, ul. Chmielna 104; protokołował Jerzy „Zbigniew" dnia 6. XI. 1944 r.

„Dnia 5 sierpnia 1944 r. po wyprowadzeniu całego personelu lekarskiego z Instytutu Radowego na tzw. Zieleniak, mieszczący się przy ul. Opaczewskiej, znalazłam się wraz z kolegami pod drutem tuż przy jezdni. W tym momencie przez jezdnię tę przeprowadzono starszego pana w wieku około 50 lat, wraz z 10-letnim chłopcem i mniej więcej trzydziestokilkoletnią kobietą. Wszyscy troje co pewien czas byli uderzani kolbami przez towarzyszących im żołnierzy. Przyprowadzonym poza ogrodzenie polecono złożyć na ziemi posiadane przez nich walizki, w których przeprowadzono

rewizję szczegółową. W walizce starszego pana znaleziono jakiś przedmiot, który z daleka wydał mi się łuską karabinową. Bezpośrednio po tym przez rewidujących żołnierzy został wezwany żołnierz z odznakami podoficera, który wysłuchawszy raportu podwładnych, uderzył owego pana kolbą rewolweru w twarz, po czym leżącego na ziemi zabił kilku okropnymi uderzeniami buta w głowę. Przez ten czas towarzyszący nieszczęśliwemu chłopiec trzymany był przez żołdaka za gardło, a kobieta za włosy. Po zabiciu mężczyzny chłopiec i kobieta zostali zastrzeleni wystrzałem w tył głowy. Pozostawione przez nich walizki zostały zabrane wraz z zawartością przez mordujących żołnierzy".

(55) Protokół nr 258:

świadek Anna Zientara, zamieszkała w Warszawie, ul. Wawelska 3; protokołowała Irena Zgrychowa dnia 14. XI. 1944 r. w Łowiczu.

„Powstanie zastało mnie u znajomych. Do domu dostać się już nie mogłam, tak że dosłownie zostałam bez niczego. Z chwilą kiedy dowiedzieliśmy się, że to powstanie, ogarnęła nas radość niezmierna, czuliśmy się wolni. Z pogardą patrzyliśmy na patrole niemieckie, czekaliśmy na naszych chłopców. Strzelaninę ciągle słychać było, ale powstańcy nie opanowali naszej dzielnicy, bo 4. VIII Niemcy (Wehrmacht) kazali nam opuścić nasze domy i iść w kierunku Zieleniaka, tj. placu targowego dla handlu jarzynami. Było nas dużo, może kilkanaście tysięcy. Droga była straszna. Co chwila strzelano do szeregów. Bito tych, co iść nie mogli. Strzelano do starców i kalek. Dziś trudno to i ciężko wspominać. Widzieliśmy twarze dzikie. Konwojenci szukali wśród nas młodych kobiet, złota, zegarków. Kobiety wciągano do domów opuszczonych, skąd dochodziły nas krzyki, odgłosy walki, często strzały.

Na Zieleniaku ustawiono nas w wielki czworobok i czekaliśmy na coś, o czym nikt nie wiedział. O ile dni były gorące, o tyle noce zupełnie zimne. Byliśmy głodni. Nie każdy wziął z domu zapas chleba. Wody nie było. Kto miał wodę, sprzedawał ją po 200 zł za litr. W nocy ciągła strzelanina. To Ukraińcy strzelali do kobiet, które się broniły. Chodzili z latarkami, świecili w oczy i wszystkim

zadawali to samo pytanie: „Gdzie wasz mąż?“ „Gdzie syn?“ Jeśli odpowiedź padła, że został w Warszawie, od razu zabierano kobiety jako żony lub matki bandytów i gwałcono je, a potem zabijano. W nocy urodziło się dwoje dzieci. Rozległy się krzyki rodzącej kobiety i śmiechy pijanych żołdaków ukraińskich, którzy kołem otoczyli rodzącą kobietę i przyglądali się. Dzieci po urodzeniu się umarły. Kobieta też zdaje się zmarła. Na drugi dzień ludzie zaczęli jakoś się organizować. Ktoś zbudował z cegieł kuchnię, znalazły się garnki i stoły. Gotowano zupę, której porcja kosztowała 1 tys. złotych. Ukraińcy przypędzili parę krów i zaczęło się polowanie na krowy. Ukraińcy strzelali do krów ze wszystkich stron. Padali przy tym ludzie, ale co to szkodziło! Gdy krowa padła, ludzie rzucali się z nożami i jeszcze z prawie żywej nożami wycinali kawały mięsa, które potem sprzedawali za duże pieniądze. Widok tego wszystkiego był straszny. Głód, co prawda, też był wielki i ta niepewność, co z nami będzie. Ukraińcy strzelali nad naszymi głowami i bez przerwy gwałcono kobiety w biały dzień w oczach wszystkich. Jedną kobietę gwałciło 14 Ukraińców. Sceny z Zieleniaka widzę, jak sceny z jakiegoś koszmarnego filmu. Po czterech dniach pobytu na Zieleniaku przyjechaliśmy do Pruszkowa. Potem do Rozprzy, w której mieszkam u dobrych ludzi“.

(56) Protokół nr 259:

świadek Władysław A. Olesiński, zamieszkały w Warszawie, Filtrowa 75; protokołowała Irena Zgrychowa dnia 22. IX. 1944 r. w Łowiczu.

„Powstańcy cofają się do Śródmieścia. Wehrmacht i SS oraz Ukraińcy zaczynają napadać na poszczególne domy. Każą ludności cywilnej stać godzinami z rękami do góry, a sami przeszukują mieszkania, do wszystkich młodych mężczyzn strzelają, kradną, co tylko się da. Po dwóch dniach kazano nam opuścić mieszkanie i wyjść na ulicę. Dom od razu podpalono, obrzucając granatami. Idziemy na Zieleniak. Każdy niesie na plecach małe zawiniątko. Podbiegają Ukraińcy, wyrywają ostatni dobytek i wrzucają do płomieni. Biją słabych i chorych. Strzelają do rannych i chorych. Na Zieleniaku moc ludzi. Głód wielki. Leżymy na gołej ziemi.

Noc jest najstraszniejsza. Umierają ludzie bez pomocy. Nikt ich nie chowa, tylko odrzucają pod płot. Leży cały stos tych ciał ludzkich, jedne na drugich. Straszne. Jakaś matka grzebie łyżką dół w ziemi, w którym chce pochować tylko co urodzone martwe dziecko. Jest strasznie. Jakaś młoda dziewczyna rozpacza. To kilku Ukraińców ją zgwałciło: płacze, modli się, przeklina. Kto ją pomści? Kazali, żeby tłum powstał, bo przyjedzie generał SS. Czekamy i nagle widzę, jak przez tłum przedziera się jakiś wysoki chłop i pada przed generałem na kolana, ręce wyciąga, o coś go błaga. Potem jakaś kobieta z dzieckiem. Aparaty filmowe pracują. Generał coś mówi, gładzi dziecko po głowie. Na cały świat pójdzie wieść, jak dobrzy byli dla nas na Zieleniaku. A kto filmował te gwałty nocne, te rabunki? Ludzi można zawsze opłacić, żeby odegrali swoje role dobrze, tak jak ci, co prosili generała".

(57) Protokół nr 88:

świadek Wilkowa, lat 39, wykształcenie wyższe,
zamieszkała po powstaniu w Podkowie Leśnej;
protokołowała Irena Trawińska dnia 2. IX. 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„Dnia 6 sierpnia 1944 r. do mieszkań naszych przy ul. Długiej nr. 1/3, mieszk. 1 wdarli się tzw. Kałmucy, rzucając przez okna granaty ręczne i terroryzując mieszkańców. Wezwano nas do opuszczenia mieszkań, nakazując pozostawienie chorych, którzy prawdopodobnie zostali żywcem spaleni.

Gdy opuszczaliśmy nasz dom przy ul. Długiej, dom się jeszcze nie palił. Podpalony został na drugi dzień. Wiadomo mi, że zostało tam jeszcze wielu mężczyzn, których następnie znaleziono i na miejscu zamordowano.

Przekonani, że prowadzą nas na śmierć, nie zabieraliśmy żadnych rzeczy. Przeprowadzono nas na tzw. Zieleniak przy ulicy Grójeckiej. Po drodze rewidowano nas kilkanaście razy, bijąc przy tym; rewidowano dosłownie wszędzie, obmacując całe ubranie, całe ciało, pod bielizną; odbierano kosztowności, scyzoryki, banknoty, które darto. Za opieszałe oddawanie przedmiotów nie tylko bito, ale zabijano. W moich oczach zastrzelono mężczyznę, któremu zaciął się pasek od zegarka. W drodze na tzw. Zieleniak

żołdacy wyciągali z kolumny młode kobiety i wciągali je do domów dla celów orgii. Tak została wyciągnięta moja służąca, 18-letnia dziewczyna. Wprowadzona do domu, gdzie pełno było Kałmuków — była gwałcona przez 5 żołdaków w oczach innych, przyglądających się; gdy krzyczała, wetknięto jej do ust suchary; gdy zaczęła błagać, by ją zabito, jeden z żołnierzy odprowadził ją na Zieleniak. Niektóre z wyciągniętych dziewcząt powracały po 3 dniach. Na Zieleniaku przebywałam od niedzieli do wtorku włącznie. Najgorsze były noce, w czasie których żołdacy z latarkami wyciągali kobiety w różnym wieku od 12 do 50 lat; matki oderwane od dzieci, kobiety w ciąży, matki z córkami razem, które bijąc, pod groźbą rewolwerów ciągnęli pod mur, otaczający Zieleniak, gdzie poddawali gwałtom i najdzikszym orgiom.

Siedząca w pobliżu nas na Zieleniaku jakaś pani, usiłując obronić przed zgwałceniem dwie swoje córki, 16—17-letnie dziewczęta, uległa sama bez oporu gwałtowi, błagając tylko, aby nie ruszano jej dzieci. W rezultacie tzw. Ukraińcy pastwili się nad nią w dwudziestu — jeden po drugim — i dziewczęta gwałcili w jej oczach. Wszystkie trzy straciły przytomność; gdzie je zawleczono potem i co się z nimi stało — nie wiem. Nocy tej na terenie Zieleniaka grasowali głównie żołdacy tzw. Ukraińcy.

Z rewolwerem przy skroni w moich oczach oderwano matkę od 2 niemowląt, jednomiesięcznych bliźniąt. Powszechnie wiadomy na Zieleniaku był potworny fakt wyciągania w celu gwałcenia kobiety, która na Zieleniaku urodziła dziecko. W godzinę czy dwie po porodzie dziecko uduszono, ciągnąc omdlałą matkę pod mur; po dokonanych na niej gwałtach podobno wkrótce zmarła. Ponieważ napastowane kobiety krzyczały, za karę odmówiono żywności. Najgorsza była pierwsza noc: z najmniejszego powodu bito i strzelano do ludzi; upał, pragnienie, brak wody i żywności oraz lęk przed dziczą — nie da się opisać, wprost czułam żal, że nie zabijają od razu. Zaduch, brak ubikacyj, ranni, chorzy, zabici lub zmarli, wariaci, rodzące kobiety — wszyscy razem pod gołym niebem bez wody i żywności.

Wojsko niemieckie odgrywało rolę rzekomych opiekunów. Np. rozpoczętą przez Kałmuków egzekucję na działkach Pola Mokotowskiego nadjeżdżający Niemcy wstrzymali.

Z Zieleniaka przewieziono nas do Pruszkowa do obozu; tu oddzielono mężczyzn i kobiety. Mężczyźni zostali podobno wysłani dalej. Wtedy rozdzielono mnie z mężem i nie wiem, co się z nim stało".

(58) Protokół nr 124:

świadek, lat 45, urzędniczka elektrowni, zamieszkała w Warszawie, róg Uniwersyteckiej i Mochnackiego; protokół spisany dnia 3. X. 1944 r.

„Pani X (nie znana bliżej protokołującej, jeśli chodzi o ścisłość zeznań) opowiada, że w dniu 7 sierpnia 1944 r. Ukraińcy wyrzucili wszystkich mieszkańców domu przy ulicy Uniwersyteckiej, róg Mochnackiego, pozwalając zabrać ze sobą drobne pakunki i walizeczki, po czym zaraz pod domem na ul. Mochnackiego wszystkich ograbili doszczętnie, zabierając nie tylko złoto i kosztowności, ale wszystkie walizki; z niektórych osób zdzierano okrycia. Odbywało się to wszystko w sposób bardzo brutalny — kobietom rozdzierano lub rozcinano bluzki i rozbierano je, szukając ukrywanych kosztowności. Od razu też wybierano co młodsze i ładniejsze dziewczęta i kobiety i zabierano je. Pani X widziała dwie, które powróciły i obie były zgwałcone, jedna ranna, panna Y, lat 16. Niemcy obserwowali ulicę z okien Domu Akademickiego przez lornetki. Po obrabowaniu tłum złożony z kilkudziesięciu osób popędzono przez ul. Wawelską i tam tzw. Ukraińcy, idący za tłumem, strzelali do tłumu z broni ręcznej i rzucali granaty. 34 osoby zostały ranne, opowiadająca była ranna w nogę. Przed Instytutem Radowym, który był spalony, leżały ogromne stosy popalonych trupów. Tłum popędzono na Zieleniak, przepełniony już wówczas tak, że rannych ułożono na trawie pod płotem, pod którym pasły się konie żołnierzy, skubiąc razem z trawą włosy leżących. Pomocy lekarskiej żadnej. Nazajutrz dopiero rannych odtransportowano samochodami do Pruszkowa i Milanówka".

(59) Protokół nr 232:

świadek Andrzej Jaskólski, lat 28, introligator, zamieszkały w Warszawie, ul. Barska 20; protokół spisany dnia 23. XI. 1944 r.

„Jak byłem na Zieleniaku w dniu 2. VIII. 1944, widziałem na własne oczy, jak niemiecki kapral pokazał Ukraińcowi chodzącego po placu siedmioletniego chłopca. Ukrainiec wziął chłopczyka za szyję i wyniósł za druty, gdzie go zabił uderzeniami kolby rewolweru w głowę. Trupa Ukrainiec ten zostawił za ogrodzeniem.

Więcej się nie przyglądałem, bo byłem przestraszony".

(60) Protokół nr 52:

świadek Zofia Sokołowska, lat 45, urzędniczka, zamieszkała po powstaniu w Grodzisku Mazowieckim, Rynek; protokołowała Irena Trawińska dnia 20. VIII. 1944 r. w Grodzisku.

„Dnia 9 sierpnia 1944 r. po wypędzeniu z mieszkań stałam z większą grupą na ul. Filtrowej i widziałam, jak Ukraińcy przyprowadzili 4 młode kobiety w wieku 18—20 lat i wciągnęli je w ciągu gwałtu i orgii do mieszkań domu nr. 71a. Wypuszczone nad ranem dziewczęta przyłączyły się do naszej grupy. Jedna z nich opowiadała mi, że przez całą noc były gwałcone, przechodząc z rąk do rąk żołdaków, i poddawane ich dzikim gwałtom przy pijatyce i muzyce; jedna z nich kurczowo nie opuszczała fortepianu, by grając bez przerwy ujść gwałtom — niestety i ona siłą, upojona wódką, była nękana w sposób okropny. Jedna z tych dziewcząt na drugi dzień została ponownie wyciągnięta pod pozorem, że wzywa ją komendant; po powrocie zwierzyła mi się, że była bita i szarpana oraz ponownie poddana gwałtom.

Grupa nasza prowadzona była na Zieleniak. Po drodze robiono przystanki; rewidowano wtedy, robiąc wszystko [co im się podobało]; wyciągano kobiety, przykładając rewolwery, a nawet noże. Również starsze kobiety były narażone. Widziałam, jak goniono i szarpano starszą kobietę około lat 60. Wszystkie te bestialstwa były popełniane przez Ukraińców".

(61) Protokół nr 161:

świadek Leopold Pajdowski, lat około 50, zamieszkały w Warszawie, ul. Filtrowa 67; protokołował Edward Serwański dnia 8. X. 1944 r. w Brwinowie.

„W dniach 3. i 4. VIII mieliśmy w naszych posesjach raczej spokój. Ludzie trzymali się bardzo dobrze. Mogę powiedzieć, że postawa społeczeństwa była wprost znakomita.

W tych dniach niemieccy artylerzyści tyralierą przeszukiwali Pole Mokotowskie. W ogródkach znaleźli około 30 osób, które wybuch powstania zastał tam przy pracy. Z okien naszego domu widziałem na własne oczy, jak 3 pierwszych mężczyzn, których znaleziono w ogródkach, Niemcy rozstrzelali na miejscu z odległości 5 m.

Dnia 4. VIII przeprowadzili planową penetrację Pola Mokotowskiego szeroką tyralierą Ukraińcy, przy czym przeprowadzili rewizję domu przy ulicy Filtrowej nr 67, ale tylko w naszym bloku w mieszkaniu od strony ul. Dantyszka. Mieszkanie jednego z dyrektorów cukrowni zrabowali doszczętnie, plądrując i niszcząc pokoje. Podobnie było i u innych lokatorów. Zabierano złoto, kosztowności, bieliznę, walizy, pieniądze, szczególnie zegarki i biżuterię, wódkę i żywność. Tak samo żądano pieniędzy. W czasie tego rabunku pobito jedną z pań, która próbowała wyperswadować Ukraińcom, aby zaniechano kradzieży. Spici do nieprzytomności Ukraińcy w odpowiedzi strzelali ponad głowami.

W dniu 5 i 6 sierpnia przychodzili kilkakrotnie w celach rabunkowych.

Dnia 7 sierpnia przysłano z pobliskich drewniaków dwie kobiety, które doniosły nam, abyśmy przygotowali się do opuszczenia domów, ponieważ bloki nasze będą spalone. Tuż za kobietami przyszło 6 Ukraińców, którzy zażądali przede wszystkim wódki. Nikt nie wiedział dosłownie, jaki los nas czeka i co się właściwie stanie. Część mieszkańców przygotowała się do ewakuacji i zgrupowała się na dziedzińcu, inni natomiast czekali w domach. Ukraińcy uspokajali nas, nakłaniając do powrotu do mieszkań. Pomimo to w kilkanaście minut później wpadła horda 50 Ukraińców, nakazując natychmiast zabrać rzeczy i opuścić cały nasz blok na Dantyszka, ponieważ będzie spalony. Tuż za pierwszą hordą

wpadło około 500 innych. Dom nasz zaczęto natychmiast podpalać w naszej obecności. Ukraińcy wpadali do naszego mieszkania, do każdego pokoju, i tam pozostawiali materiały łatwopalne. Wielu mieszkańcom udało się jedynie zabrać rzeczy złożone poprzednio w piwnicach. Po podpaleniu naszego bloku od Dantyszka, rzucili się Ukraińcy do dalszych bloków i zaczęto je także podpalać. W ten sposób zaczęły płonąć bloki mieszkalne funkcjonariuszy Min. Spr. Wojskowych. W pewnej chwili wpadli na teren Niemcy, którzy wydali polecenie natychmiastowego gaszenia nowozapalanych bloków. Jak się okazało, Niemcy zakazali podpalania bloków z tego powodu, że nie zostały one opróżnione z rzeczy i ruchomości mieszkańców. W ten sposób spłonął blok tylko od ulicy Dantyszka.

Po ugaszeniu pożaru wszystkich mieszkańców, tj. ok. 500 osób, wypędzono na Zieleniak.

Mnie udało się oderwać od grupy i przeprawić się na Solariego z inną jeszcze rodziną pod konwojem Niemców, gdzie przebywałem do 26. VIII.

Tutaj dowiedziałem się, że na Alei Niepodległości w jednym z domów w czasie grabienia wypędzono około 40 kobiet wraz z dziećmi i rozstrzelano. Miało się to stać między 6 a 8 sierpnia.

Podobny wypadek miał zajść także na ul. Spiskiej.

O gimnazjum Słowackiego, w którym kwaterowali Ukraińcy, słyszałem, że dokonywano masowych gwałtów na kobietach.

Na Solariego oficerowie wykorzystując to, że domy opróżnione były z mieszkańców, zakradali się do nich i zabierali, co tylko mogli. M. in. sierżant Kurt z Wrocławia zabrał z jednego z mieszkań skrzypce znakomitej skrzypaczki NN".

(62) Protokół nr 64:

Świadek Krystyna Świętochowska, lat 24, studentka, zam. w Warszawie, Langiewicza 5; protokołowała Irena Trawińska.

„Niemcy wydają nakaz usunięcia się, personel i ranni bez strat przenoszą się na ul. Langiewicza nr. 11/13. Dnia 7 sierpnia punkt otaczają Niemcy-lotnicy; obrzucają granatami; brutalna rewizja

dokonana przez lotników i tzw. Ukraińców, w czasie której 4 młodych z AK zabijają, wielu rannych pobito; ciężko ranni, bici, przeniesieni zostają do innego domu przy ul. Langiewicza; lekko ranni, wyprowadzeni przez lotników, zostali zastrzeleni wraz z grupą ludności cywilnej (z ul. Jesionowej i Prokuratorskiej) na działkach Pola Mokotowskiego.

Punkt sanitarny, wyrzucany z miejsca na miejsce, tuła się po domach Kolonii Staszica, nieustanne napaści na sanitariuszki — szereg ich gwałcono; rannych bito wiele razy; ci, którzy uniknęli egzekucji, tułają się, wreszcie punkt zlikwidowano. O losie rannych nie mam dalszych wiadomości.

Co się stało z punktami sanitarnymi z ul. Jesionowej i Prokuratorskiej — nie wiem.

Ludność cywilna tych okolic przechodziła straszne rzeczy. Na klatce schodowej na ul. Rakowieckiej nr 275 rozstrzelano 45 osób cywilnych. W czasie wspomnianej egzekucji na Polu Mokotowskim ginie aktor Maszyński z żoną. Ludność nie ma możności zabierania rzeczy osobistych, wypędzeni są z domów, które podpalają; staruszkowie i ci, którzy nie mogli nadążyć w pochodzie, są bici i ranieni".

(63) Protokół nr 54:

świadek lat 40, sanitariuszka z Instytutu Radowego, zam. w Warszawie, ul. Wawelska.

„Dnia 7 sierpnia 1944 r. Niemcy poczęli wysiedlać nasz dom przy ul. Filtrowej. Wpadli z krzykiem, bili ludzi i strzelali w sufity i podłogi. Wyszliśmy razem z mężem, zabierając ze sobą służącą, dwudziestoparoletnią dziewczynę. Po naszym wyjściu dom został podpalony. Przez tydzień pozostawaliśmy u krewnych na Opaczewskiej w na pół zrujnowanym domu. Po tygodniu zjawili się tam Kałmucy, zaczęło się rabowanie wszystkiego i wyrzucanie z domów. Jeden z Kałmuków, zdaje się wyższy szarżą, mówiący trochę po polsku, trochę po niemiecku, wziął mnie na bok i powiedział, że ponieważ przypominam mu jego matkę, czuje dla mnie współczucie i radzi, byśmy uciekali z Warszawy, o ile chcę ratować życie męża i swoje. „Otrzymaliśmy rozkaz — powiedział —

by Warszawę znieść z powierzchni ziemi, a ludzi mieszczących się nawet wśród gruzów, bez miłosierdzia wyrżnąć. Wiem, że rozkaz będzie wykonany, i wiem także, że ja żywy stąd nie wyjdę i nie zobaczę już ani domu, ani swoich". Oczywiście wyszliśmy. Po drodze spotkaliśmy Niemców, którzy całą ludność z chustkami w ręku kierowali na Zieleniak, gdzie w obozie rzekomo mieliśmy znaleźć opiekę i pomoc. Robiono przy tym w sposób najbrutalniejszy i najdokładniejszy osobistą rewizję tak mężczyzn jak kobiet, przy czym żołnierze SS nie cofali się przed najdrastyczniejszym rewidowaniem bielizny damskiej. Rewizyj przeszliśmy pięć czy sześć i zostaliśmy po nich bez pieniędzy, bez niczego prawie".

(64) Protokół nr 230:

świadek Józef Ptaszyński, lat 28, robotnik drukarni, zamieszkały w Warszawie, ul. Syreny 40.

„Między pędzonymi na Zieleniak ludźmi w dniu 8. VIII. 1944 r. znajdował się również mężczyzna bez nogi, który szedł opierając się na kuli. Mężczyzna ten szedł, a raczej wlókł się na samym końcu z uwagi na trudności, jakie nastręczała mu nierówna jezdnia na ul. Grójeckiej.

Niemieckim żołnierzom z konwoju marsz kaleki wydał się zbyt powolny, wobec tego kilkakrotnie popędzali go uderzeniami kolby w plecy. W pewnym momencie jeden z żołnierzy dla lepszej zabawy odebrał kalece jego kulę, którą następnie połamał i odrzucił, a w zamian dał mu kawałek łodygi słonecznika, zerwanego w jednym z ogrodów po drodze.

Wreszcie na rogu ul. Wawelskiej kalekę zabito wielokrotnymi ciosami okutej laski (również zdobycz) w głowę".

(65) Protokół nr 502:

świadek, młody rolnik wysiedlony z Wielkopolski.

„Kiedy przechodziliśmy przez ul. Grójecką, padły strzały z ulic i z domów w grupę pochodu.

Niosłem teczkę na kiju przewieszoną przez plecy. Pocisk porwał mi teczkę w strzępy, co uchowało mnie od śmierci.

Po drodze przedstawił nam się okropny widok: na jezdni leżały od kilku dni nie pochowane trupy, leżąc w upale nabrały potwornych rozmiarów. Leżeli mężczyźni i kobiety, była bowiem instrukcja komendy niemieckiej, aby strzelać bezwzględnie do kobiet i dzieci.

Na Zieleniaku rozpoczął się rabunek systematyczny. Ukraińcy i Niemcy zabierali zegarki i kosztowności. Grabili także garderobę, zabierali pieniądze. Stosy pieniędzy walały się po drodze oraz na Zieleniaku, ale nikomu nie było wolno podnieść. Na Zieleniaku rozgrywały się sceny gwałcenia dziewcząt przez Ukraińców. Były to gwałty masowe na oczach wszystkich. Grupy niektóre, wcześniej spędzone na Zieleniak, przebywały tam przez 3—4 dni bez wody i jedzenia. Kazano iść na Dworzec Zachodni z podniesionymi rękoma. Ludzie nie mogli utrzymać bagażu i porzucali go po drodze".

(66) Protokół nr 107:

świadek Halina Kaźmierczakowa, lat 35, wdowa po działaczu niepodległościowym, zamieszkała w Warszawie, ul. Glogera 3; protokół własny.

„Tego się nie zapomni. Jak duszący koszmar będzie nieraz w potwornych snach widmo Zieleniaka u tych, którzy przezeń przeszli, którzy go przeżyli.

Wygnano nas z domu 9 sierpnia około godz. 13. Banda Ukraińców pijanych, rozczochranych, o zdziczałych twarzach, w porozpinanych mundurach lub bez mundurów, ale opakowanych granatami, z rewolwerami, karabinami lub rozpylaczami w rękach opróżnia schrony i piwnice, przebiega mieszkania, krzycząc, strzelając na postrach, rabując, co wpadnie w rękę. Ograbionych i zbitych wypędzają na ulicę. Pędzą tłum wśród płonących domów, wśród nieustających detonacyj i gwiżdżących często około uszu kulek. Tłum idzie oszołomiony, przerażony. „Opiekunowie" nasi

nie próżnują. Coraz to wyrywają z tłumu kogoś, kto jeszcze wydaje im się niedostatecznie ograbiony. Rewidują, zaglądają nawet w usta, szukają ukrytego złota i brylantów, wyrywają z rąk walizki. Na ulicy masa leży trupów: przeważnie mężczyzn, często w grupę ludzi pada granat, często strzał bez powodu — po prostu dla zaspokojenia zwierzęcego instynktu mordu.

Tłum rośnie coraz bardziej, przyłączają się doń coraz nowe gromady z mijanych domów, z przyległych ulic. Niektóre gromady niosą rannych, niosą trupy, owinięte w prześcieradła. Nie mogąc wcześniej pochować zabitych, a nie chcąc ich zostawić, niosą zwłoki ze sobą. Podczas przystanków odbywa się smutny pogrzeb w wykopanych dołach. Wiele osób umęczonych przejściami nie wytrzymuje trudów pochodu — umiera w drodze na rękach towarzyszy. W moich oczach umarło w ten sposób 2 dzieci i starszy mężczyzna. Pochowano ich w dole na ulicy.

Idziemy ul. Grójecką i Opaczewską. Dochodzimy po kilkugodzinnym marszu, w czasie którego każdy był przygotowany na śmierć lada chwila — do bram Zieleniaka. Otwierają się one wreszcie przed nami o godz. 8. Jesteśmy pierwszymi mieszkańcami tego nowego obozu. Jest nas ponad 12 tysięcy. Zajmujemy połowę placu (drugiej zajmować nie wolno), zmasowani ciasno. Kładziemy się pomęczeni na ziemię. Zbliżających się do murów „opiekunowie" odpędzają kolbami karabinów. Widocznie obawiają się ucieczki, choć mur ma 2 i pół m wysokości. Zapada noc. Trawi nas gorączka pragnienia. Na placu nie ma wody. O głodzie nikt nie pamięta. Gorsze są udręczenia moralne, troska o niewiadomy los wielu bliskich. „Opiekunowie" wałęsają się po placu, szukając młodych kobiet. Z miasta dobiega nieprzerwany huk dział. Na placu huczą strzały karabinowe. Słychać ciągle płacz kobiet i dzieci. Godzina czwarta. Plac się budzi. Ludzie zmarznięci i głodni. Błagamy o wodę. Ażeby ją zdobyć, trzeba wyjść na zewnątrz. Wypuszczają po kilka osób. Ustawia się kolejka. Nie pozwalamy mężczyznom wychodzić. Ale i młode kobiety, które zaryzykowały wyjście, nie wracają. Z daleka słychać krzyki i błagania, a potem strzały. Godzina 6. Dokucza głód. Niektórzy ludzie z Ochoty, nie licząc się z żadnymi względami, potrafili dobiec do Zieleniaka z tobołami wypchanymi wszelkim dobrem

a także żywnością. Potrafią i tutaj zdobyć sobie wodę. Rozpalają ogniska, nie bacząc, że ich dym, tłukący się po ziemi, jeszcze bardziej uprzykrza innym i tak już ciężki tutaj pobyt. Gotują strawę. Zapychają się niesamowitymi ilościami jadła. Ale na prośbę o garnuszek wody dla mdlejących dzieci — odmawiają. Godzina ósma. Na placu, pozbawionym zupełnie cienia, upał. Temperatura + 34°. Dowiadujemy się, że jest tu punkt P. C. K. Idę tam. Nie mają ani odrobiny wody, żadnych opatrunków, żadnych lekarstw. Dysponują tylko małą, brudną szopą a w niej czteropiętrowymi pryczami pokrytymi słomą. Leży na nich kilku umierających bez ratunku. Pierwsze ofiary Zieleniaka.

Wśród zebranego tłumu trwają ciągłe kłótnie i bójki: to o wodę, to o wypuszczenie za mur po ziemniaki. Łagodzą te kłótnie nasi „opiekunowie“ krzykiem, strzelaniem, biciem. Padają nowe ofiary. Coraz to przybywają do obozu nowe partie ludzi. Robi się coraz ciaśniej. Organizuje się wycieczki za mury również po opał ze starych szop. I tu nie obywa się bez bójek, strzałów i ofiar. Młode kobiety nie wracają z wypraw poza mury. Godzina 12. Strzały bez przerwy. Pomoc PCK dla rannych niemożliwa. Rozchodzi się pogłoska, że mają nas wypuścić na wolność. Robi się zamieszanie. Zdobyliśmy kilkanaście kartofli na naszą paczkę, liczącą 32 osoby. Pieczemy je i dzielimy uczciwie. Ale pragnienie dokucza straszliwie. „Opiekunowie“ grasują po placu, szukają ofiar na noc lub po prostu wyciągają je od razu. Gdy matki bronią córek lub mężczyźni kobiet, dochodzi do awantur. Jakąś staruszkę pobito i skopano do nieprzytomności, tak że dogorywa. Godzina 16. Niemcy podpalają sąsiadujące z placem domy. Nad nami krążą samoloty robiąc zdjęcia. Zajeżdża szereg aut z gestapowcami, żandarmerią i SS. Rozstawiają karabiny maszynowe. Aranżują nowe widowisko. Obchodzą tłum, obserwują przez lornetki. Zbierają informacje, ale tylko wśród mętów społecznych. Stwierdzają, że wszystko jest w porządku. Nie kryją zadowolenia i ironicznych uśmiechów. Każdy wie, do czego to prowadzi, ale na zewnątrz cały tłum zachowuje spokój zupełny. „Goście“ fotografują się na tle płonących domów. Niektórzy ludzie próbują podejść do nich, prosić o coś, ale odpowiadają im szyderczym śmiechem i obelgami. Trwa to przedstawienie około 2 godzin. Godzina 20. Oddychamy. Jeszcze

żyjemy. Napływa nowa partia Ukraińców w mundurach niemieckich, pijanych, potwornych. Głód dokucza straszliwie, pragnienie jeszcze bardziej. Podejrzane towarzystwo z Ochoty zajada obfitą kolację. My na głodno idziemy spać. Godzina 22. Wybuchła nagle panika. Rozlega się rozpaczliwy krzyk: „Ratujcie się, kto może. Mordują!" Błyskają latarki grasujących wśród tłumu Ukraińców. Padają strzały do nich. To prowokacja. Szukają prowokatora. Ukraińcy w swych poszukiwaniach ofiar zbliżają się do nas. Staram się ukryć za współtowarzyszami. Drżę z przerażenia i wstrętu na myśl, co będzie, gdy mnie odkryją. Godzina 24. Dostrzegli mnie i wyciągnęli wśród krzyku i błagań najbliższych. Jestem skamieniała. W głowie nie mam żadnej myśli. Wtem chaotyczny krzyk zmienia się w skandowane, zgodne wołanie: „Chcemy komendanta". Nim dowleczono mnie do bramy, zjawił się „wybawiciel", niemiecki oficer. Uderzył Ukraińca kolbą rewolweru i odepchnął. Ukrainiec, klnąc pod nosem, odchodzi. Oficer odprowadza mnie na miejsce.

Następne kilka godzin mija w spokoju, ale nikt spać nie może, tak wszyscy są zmaltretowani moralnie, bezradni, usposobieni beznadziejnie. W duchu pragniemy śmierci, byle przerwać tę okropną sytuację.

7. VIII. 1944. Głód dokucza aż do bólu. Przyprowadzili kilka skonfiskowanych krów. Ukraińcy zabijają, strzelając do nich jak do celu. Na mięso ruszają bandy ludzkie, rozrywając je na kawałki. My znowu nie dostaliśmy nic. Godzina 6. Rozpalenie ognisk. Gotowanie. I tu kwitnie spekulacja. Talerz zupy sprzedaje się za 100 zł. Niestety nikt z naszej grupy nie ocalił nic pieniędzy. Godzina 10. Kilku młodych ludzi z naszej grupy zgłasza się do pracy, za którą mają dostać żywność. Znajomi dostarczyli mi męskie ubranie i czarne okulary, aby w ten sposób osłonić mnie przed Ukraińcami. Godzina 12. Zabito kilka osób za noszenie belek na opał w zbyt dużej ilości. W dziewczynę, proszącą o kubek wody dla dziecka, Ukrainiec rzucił granat, który rozszarpał jej piersi. Godzina 14. Gotujemy pierwszy posiłek po 3 dniach głodówki. Każdy dostaje po spodeczku strawy. Godzina 16. Kazano nam pokłaść się pokotem na ziemi. Dym ognisk dusi. Potworne „krowy" wyjąc latają nad naszymi głowami. Leżymy

tak około dwóch godzin. W pobliżu palą się liczne domy. Godzina 19. Przyjeżdża jakaś komisja. Wywołuje to błysk nadziei. Ale wybierają tylko Rosjan, Volksdeutschów i Ukraińców. Wyprowadzają ich z obozu. Polacy zostają. Godz. 20. Pragnienie tak dokucza, że w braku wody pijemy błotnistą ciecz z kałuż przy studni. Godzina 22. Koszmarna noc. Niespodziewanie łapią mnie po raz drugi. Udaję zemdloną, nieżywą. Współtowarzysze moi tłumaczą Ukraińcom, że jestem ranna. Rezygnują ze mnie. Wyciągają jakąś starszą kobietę, mrucząc: „były trzy młode, będzie czwarta stara".

Na placu płacz, krzyki rozpaczy, strzały. Tuż przy murze rozstrzelano 3 młode kobiety. A co się dzieje za murem? Odgłosy powoli milkną. Godzina 24. Trzy kobiety rodzą. Ich prośby o pomoc brzmią bez echa. Nowonarodzone maleństwa umierają. Matki leżą w cierpieniach na ziemi, pod gołym niebem.

W nocy parę godzin spokoju i względnej ciszy.

W dniu 8. VIII napływają ciągle nowe masy ludzi. Ostrzegamy młodych. Dzicz śpi — okryta puchowymi kołdrami, pijana, zmęczona nocą. Godzina 10. Jest tak pełno, że depczemy po sobie. O leżeniu nie ma mowy. W naszej gromadce wszystkie dzieci chore, gorączkują. Starzy czują się nie lepiej. Są liczne wypadki porażenia słonecznego. Godzina 12. Zorganizowano między sobą donoszenie wody w ten sposób, że ludzie starsi przynoszą ją do bramy. Trawi nas gorączka. Usta zeschnięte na skorupę. Wyglądamy przeraźliwie, niemyci, zakurzeni, oblepieni błotem. Godzina 14. Ciągle przybywają nowe tłumy. Wielu rannych na noszach. Wiele osób umiera. Grzebie się je we wspólnych grobach: w głębokim dole układa się zwłoki jedne na drugie. W punkcie PCK leży postrzelony mężczyzna, ma przerwaną główną arterię. Polewają go wodą, i to jest jedyny ratunek i pomoc. Znowu rozchodzi się wieść: „Wypuszczą nas". Ale nikt nie wierzy. Wszyscy są półżywi, wymęczeni, zrezygnowani. Godzina 16. Nowe wybuchy, nowe pożary. Płonie Mokotów. Pijani Ukraińcy zabrali moim znajomym ostatnią, zachowaną dotąd walizkę. To zemsta za interwencję oficera przy incydencie ze mną. Godzina 18. Salwa. Rozstrzelano za murami kilku młodych ludzi, którzy wyszli po kartofle. Chłopcy z naszej paczki wracają z pracy. Zbierali trupy. Przynieśli jedzenie, ale przeżyli potworności. Nie pozwolimy im

pójść więcej. Godzina 20. Dym i swąd pożarów nie pozwala po prostu oddychać. Pokurczeni, przytuleni do siebie leżymy, aby zająć jak najmniej miejsca, aby uniknąć deptania przechodzących po placu ludzi. Nad nami znów latają samoloty fotografując.

Noc mija spokojnie. Nie było nowych ofiar.

9 sierpnia. Znów krążą wieści, że zostaniemy stąd wypuszczeni. Jedne wersje mówią, że na wolność, inne — że do obozów. Nam już wszystko jedno. Byle wyjść stąd. Zjeżdża nowa komisja. Znowu nic.

Godzina 8. Około 7 staliśmy w kolejce po butelkę wody. Gdy dochodzimy, wody zabrakło. Ogarnia rozpacz. Kolbami i strzałami odpędzeni od bramy. Pada rozkaz oczyszczenia placu. Pijani Ukraińcy strzelają na oślep. Znów liczne ofiary. Do godziny 14 Zieleniak ma być opróżniony. Ustawiamy się w szeregi. Są jednak i tacy, którzy czują się tu dobrze i chcą pozostać. Pod murem leżą szeregi chorych i rannych. Pochód rusza. Eskortują nas Ukraińcy na koniach, niektórzy pod parasolami dla ochrony przed upałem.

Idziemy wśród zgliszcz, trupów mężczyzn i gwałconych kobiet. Cokolwiek nas czeka — potworny Zieleniak został już za nami".

(67) Protokół nr 501:

świadek, lat 23, główna sanitariuszka w punkcie sanitarnym AK w Warszawie, ul. Filtrowa.

„W pierwszych dniach powstania zgarnięto nas i popędzono na Zieleniak. Przeżycia na nim to jeden wielki koszmar. Na placu targowym masa ludzi różnego wieku i płci — wszyscy zbiedzeni i zmaltretowani, głodni, spragnieni, żyjący ciągle pod wrażeniem zabójstw i bestialstwa Ukraińców, bo pod ich opieką znajdowali się głównie. Najtragiczniejszy był los kobiet i dziewcząt, a nawet dzieci płci żeńskiej — wiek nie odgrywał roli dla rozbestwionej szarańczy. Wiele dziewcząt kryło się między mężczyznami i starcami, śpiąc w największym tłoku, prawie że przykryte ciałami swych ojców, mężów czy matek, bojąc się przy najmniejszym poruszeniu, czy nie idzie Ukrainiec i czy nie wybierze jej sobie do zabawy, i czy nie powiększy liczby tych, które leżą zabite

pod płotem, lub tych, których przeżycia moralne tak bardzo bolą. I ja miałam tam wielkie, bolesne przeżycia. Na Zieleniaku dawał się ogromnie we znaki brak wody. Wybrałam się więc jak najostrożniej z grupą ludzi po wodę do najbliższego domu. Nieszczęście chciało, że napotkaliśmy kilku rozbestwionych pijanych Ukraińców, którzy sterroryzowawszy mężczyzn, a mnie uderzywszy w twarz, powlekli do piwnicy najbliższego domu. Nie wiem dobrze, ilu ich było — około 10, chcieli i ze mnie zrobić sobie zabawkę. Broniłam się, ile mi sił starczyło, a miałam wtedy wiele siły, prosiłam, błagałam o litość, modliłam się. Głośno żebrałam łaski, klęłam, kopałam, gryzłam, wszystko, czym było można się bronić, używałam, chwilami traciłam przytomność, a te rozbestwione żołdaki rwali na mnie ubranie i drapali mnie pazurami, tłukli kolbami — mordowałam się tak długo. Jak zbawienie, w pewnej chwili przyszedł jakiś ukraiński podoficer, starszy człowiek, i zaczęłam go prosić, żeby mnie uwolnił. Po kłótni z nimi zabrał mnie do drugiej piwnicy i tam zaczął mnie namawiać, abym pozostała jego żoną, że mnie wtedy tylko sobie zatrzyma; po długiej znowu udręce, prośbach, groźbach zdecydował się odprowadzić mnie na Zieleniak, na pożegnanie dał mi kolbą w plecy i w twarz; wyrwałam się z tamtego piekła i miałam uczucie, że jestem niepotrzebną szmatą. Wstydziłam się, że żyję, i tak bardzo było mi źle i ciężko żyć. Boże, to są przeżycia, których opisać nie można.

Na miejscu lekarz nie miał dla mnie żadnych środków opatrunkowych, bo nic nie było, a ja miałam głębokie pokaleczenia. Na szczęście zabrali nas do Pruszkowa i tam zgłosiłam się do lekarki, zdaje się dr W. Zobaczywszy mnie lekarka załamała ręce, tak byłam poorana pazurami żołdaków. Zrobiła mi szczepienie ochronne i na szczęście stwierdziła, że jestem zdrowa zupełnie, że nie udało im się mnie zgwałcić. Bóg dał mi jakąś nadludzką siłę do obrony. To wszystko pokrótce z moich przeżyć osobistych; ze względu na drażliwe momenty proszę o nieujawnianie mego nazwiska.

W czasie mego pobytu na Zieleniaku zwiedził Zieleniak jakiś generał niemiecki, który wygłosił przemówienie, którego musieliśmy wysłuchać na klęczkach, z odkrytymi głowami, na temat walki „bandytów" w Warszawie i że to zostanie zgniecione, i że są to Polacy, i że drogo za to zapłacą. W czasie jego pobytu poszła delegacja z lekarką na czele, z prośbą o ustanowienie ochrony

z Wehrmachtu niemieckiego i zapobieżenie gwałtom ukraińskim. Generał powiedział, że porozumie się z dowódcą Ukraińców i może to załatwi. Przysłał wprawdzie żołnierzy niemieckich, ale to nie zmieniło sytuacji, bo Ukraińcy nie dali się im wtrącać i urządzili sobie z nich kpiny, tak że oficer zdecydował się oddział ten wycofać. W każdym razie tej nocy w jednym końcu Zieleniaka było trochę spokojniej. Działo się to wszystko w pierwszych dniach sierpnia".

(68) Protokół nr 11:

świadek nieznanego nazwiska, protokół własny.

„Od chwili wybuchu powstania siedziałem bez przerwy w mieszkaniu, schodząc do piwnicy wtedy, gdy bombardowano. Dnia 5. VIII po południu weszło do mieszkania 4 Ukraińców. Chodzili oni po wszystkich mieszkaniach, zabierając zegarki, garnitury i inne cenniejsze rzeczy. Od tego dnia kręcili się po podwórku bez przerwy. Dnia 8. VIII o godz. 9 rano kazali natychmiast opuścić mieszkanie. Do mego mieszkania wszedł jeden, każąc mi wyjść, jednocześnie zapalił ogień w spiżarni, gdzie były drewniane ścianki. Tak samo podpalono inne mieszkania. Przy wychodzeniu z klatki schodowej na podwórze zrewidowano wszystkich, zabierając cenniejsze rzeczy. Następna rewizja odbyła się przy wychodzeniu z bramy do ogrodu następnego domu. Stamtąd popędzono nas na skwer. Na skwerze połączyliśmy się z mieszkańcami sąsiedniego domu nr. 35 i tam jakiś podoficer udzielił nam informacji, że od tej chwili znajdujemy się pod opieką gen. Kamińskiego, możemy być spokojni, gdyż nie będziemy narażeni na żadne okrucieństwa czy szykany. Za chwilę zwołano wszystkich mężczyzn, kazano nam biec do naszego domu i gasić ogień. Udało się ugasić ogień z dużymi trudnościami. Potem przepędzono nas na Zieleniak. W drodze byłem jeszcze trzykrotnie rewidowany. Przy wejściu na Zieleniak byłem zrewidowany po raz szósty. Zabrano mi wszystko, nawet część dokumentów, notatki, papiery wartościowe itp. Przy okropnym upale chciało mi się pić. Niestety do kranu z wodą ciągnęły się okropne kolejki, tak że nie można było nawet marzyć o napiciu się jeszcze dzisiaj... Na noc ulokowaliśmy się

na bruku. Wśród nocy usłyszałem rozpaczliwy, okropny płacz kobiety, a potem wystrzał. Okazało się, że zastrzelono rozpaczającą kobietę, której zgwałcono dwie córki. W ciągu nocy widziałem, jak leżącym ludziom, posiadającym lepsze obuwie, Ukraińcy ściągali je z nóg. Słychać było jeszcze długo histeryczne zawodzenie jakiejś kobiety, a potem znów padł strzał. Dowiedziałem się rano, że zastrzelono kobietę oszalałą z braku wody.

Dnia 9. VIII wyprowadzono nas z Zieleniaka na Dworzec Zachodni. Byłem zmuszony zostawić 74-letnią niedołężną matkę mego zięcia, licząc na zabranie tych wszystkich niedołężnych starców przez jakieś Pogotowie Ratunkowe. Eskortowali nas po drodze jacyś pijani Ukraińcy, zabierając po drodze to jeszcze, czego nie zabrano dotychczas. Z Dworca Zachodniego załadowani w brudne wagony przybyliśmy do Warsztatów Kolejowych w Pruszkowie".

(69) Protokół nr 99:

świadek, kobieta nieznanego nazwiska, zamieszkała w Warszawie, ul. Białobrzeska.

„Powstanie rozpoczęło się 1. VIII. 1944. Z domu przy ul. Białobrzeskiej (Ochota), w którym mieszkałam, miałam możność obserwować część akcji odbywającej się na tym terenie. Już drugiej nocy Niemcy ewakuowali szpital mieszczący się w gimnazjum Szachtmajerowej. Z raną zajęli go powstańcy. Strzelaninę słychać było z przerwami nadal w różnych punktach. W dzień widać było dymy a w nocy pożary od strony Mokotowa i innych. W sobotę rano (5. VIII) cisza, dzień pogodny. Przyszła wieść, że Ukraińcy idą. Powstańcy rozbroili się i opuścili gimnazjum zabierając rannych. Około godz. 10 zobaczyliśmy przez okno, że na ul. Częstochowskiej Ukraińcy wyprowadzają ludzi. Nie wiedzieliśmy dokąd i dlaczego. W pół godziny później usłyszeliśmy w naszym domu na dole strzelaninę, wrzask, wycie i krzyki: „Polaczki, wychodzić". Zdążyliśmy włożyć na siebie płaszcze i wziąć w rękę torbę podręczną, gdy drzwi zostały wywalone i stanął w nich Ukrainiec z karabinem w garści. Pierwsze słowo: „Czasy". Musieliśmy oddać zegarki. Zrewidował nas i kazał zejść na dół. Popędzono nas Częstochowską do Grójeckiej i dalej w stronę Okęcia.

Po drodze byliśmy rabowani przez napotkanych Ukraińców. Zabrali latarkę, pieniądze, nawet pióro wieczne, choć widać było, iż zabierający nie wie dobrze, co to za „zwierzę". Idąc Grójecką widzieliśmy domy, które zaczęły płonąć. Nie przypuszczaliśmy, że ten los czeka całą Warszawę. Ludność Ochoty została zgromadzona na ul. Grójeckiej za miastem. Wieczorem wypędzono nas na tzw. Zieleniak, plac duży, otoczony murem wysokim, miejsce targu warzywami. Siedzieliśmy tam 5 dni. W dzień słońce paliło. W nocy zimno. Brak okrycia. Spanie na gołej ziemi. Ale blednie wszystko wobec zachowania się Ukraińców. Ci byli naszymi jedynymi władcami. Przez cały czas strzelali z byle powodu lub bez powodu. Przeważnie w powietrze, choć były wypadki zabicia. W nocy spacerowali między ludźmi, wyszukując młode dziewczęta. Grożąc rewolwerem wyciągali je i zabierali z sobą do szkoły publicznej, w której kwaterowali, i odprowadzali rano zhańbione. Dwie ostatnie noce były pod tym względem nieco spokojniejsze, gdyż wniesiono skargi do Niemców-oficerów, którzy przyszli na inspekcję obozu. Ci obiecywali wspaniałomyślnie, że nikt zabitym nie będzie, że nas stąd wywiozą do innego obozu, gdzie będzie pomoc i opieka. To, że nas wysiedlili, to zrobili po to, aby uchronić nasze życie, a że cierpimy — to przez naszych rodaków, którzy wznieciли powstanie. Z Zieleniaka widać było dymy i ognie. Cała Ochota, a później i inne dzielnice płonęły. Często słychać było strzały armatnie. To „tygrysy" burzyły domy. Prócz nich prawie codziennie około 25 samolotów bombardowało miasto, a 8. VIII, o godz. 15, min. 30, kazano nam się pokłaść, bo granatniki stojące gdzieś w stronie Okęcia wyrzucały pociski na Warszawę.

Jeszcze na drugi i trzeci dzień sprowadzano mieszkańców naszego domu. Ci opowiadali, iż nasz dom był podpalony raz, a potem jeszcze drugi i trzeci, bo nie chciał się palić, a przedtem dokładnie zrabowany.

Warunki wyżywienia fatalne. Wynikło to z tego, że do wszystkiego były „ogonki" kilometrowej długości, w których miejsce zajmowali silniejsi. „Ogonki" po kartofle były najspokojniejsze, bo wydawanie nie było zorganizowane. Ukrainiec pozwalał wychodzić przez dziurę w płocie kilku osobom i kraść, inni czekali. Do tego nie mogli stać w kolejce mężczyźni, bo Ukraińcy nie pozwalali, a ponadto zabierali do różnych robót.

„Ogonki“ po wodę odznaczały się większą gwałtownością. Ludzie nie utrzymywali porządku i pchali się do studni, tratując innych i rozpychając. Dyżurny Ukrainiec ochrypł od krzyku, w końcu strzelał i przeganiał wszystko; zamykał wodę. Później otwierał i zaczynało się znowu od początku. Ja dotarłem kiedyś do samej pompy, trzymałem ją jedną ręką, ale wody do butelki nabrać nie mogłem i zrezygnowałem. To była jedyna próba zdobycia wody, jaką przedsięwziąłem.

Ogonek po mięso był najkrótszy i kończył się szybko. Ukraińcy przyprowadzali po kilka krów i zabijali je na miejscu. W oka mgnieniu dokoła zabitej krowy tworzył się pierścień z ludzi. Natychmiast po poćwiartowaniu krowy rzucali się na nią z nożem w ręku. Krzyki, zamieszanie. Ukraińcy walili granatami po głowach, strzelali. Od czasu do czasu wypadał z tego kłębu jakiś szczęśliwiec z rękoma ubabranymi po łokcie we krwi, dzierżąc kilkukilowy kawał mięsa. W kilkanaście minut nie było znaku po krowie. Oczywiście w tych zapasach mieli szanse ludzie z barami atletów. Jednakże odnosiły sukcesy i kobiety pewnego pokroju. Trzeba dodać, że amatorami w tych warunkach na mięso krowie byli jedynie mieszkańcy „Pekinu“ [1]) (dom na rogu Radomskiej i Grójeckiej) i im podobni. Ci mieli wszystko: kartofle, wodę, zapasy mięsa i sprzedawali talerz zupy po 300 zł, za kg kartofli 25 zł, a butelka litrowa 100 zł. Nie wiem, czy byli nabywcy.

W ogóle obozowisko na Zieleniaku to chaos, bez żadnej organizacji, nad którym panowali jedynie Ukraińcy“.

(70) Protokół nr 49:

świadek, kobieta nieznanego nazwiska,
sanitariuszka punktu sanitarnego AK w Warszawie, ul. Filtrowa;
protokół własny.

„Dnia 8. VIII rano weszły do bloku oddziały Ukraińców. Gdzie się ukryli chłopcy, będący w lokalu nr. 91, nie wiem. Ponieważ piwnice były połączone i miały podwójne korytarze, prawdopodobnie skryli się w nich przed Ukraińcami. Ludność została wy-

[1]) Dom, w którym było dawniej kino.

pędzona na podwórze i tam ograbiona z zegarków, biżuterii, scyzoryków itp. Byli ludzie, którzy zbierali zegarki na rzecz Ukraińców. Były pogróżki spalenia domu. Wkrótce sprawę jednak zażegnano.

Ja, Janka i jeszcze jedna zostałyśmy w lokalu. Przyszli, prosili o wodę i wynieśli się — byli trzeźwi.

Wiedząc, że jest przejście kanałami pod Asnyka, zwróciłam się do drużynowej Stanisławy z uwagą, czy nie byłoby lepiej wyprawić dziewczęta pod Asnyka, gdzie do 10. VIII nie było Ukraińców. Na miejscu zostawić personel, składający się z osób starszych. Z Asnyka poszlibyśmy albo w spokojniejsze dzielnice, albo polami do Politechniki. Odpowiedź: „Nic się nie martwcie, jak będzie potrzeba, to przyjdzie rozkaz".

Dnia 9. VIII w południe zjawili się nagle, weszli przez okno do naszego lokalu. Jak się później okazało, już ósmego ktoś ich poinformował, że pod 41 jest punkt. Od razu przyczepili się do mnie. „Sanitariuszka AK" — „Nie". — „Pójdziesz z nami". Rewizja osobista w poszukiwaniu broni. Wyprosiła mnie p. Jadwiga. Uciekając (na rozkaz) z lokalu nr 41 pod nr 52 (mieszkanie Goldmana, naszego szefa, jest skoszarowane) piwnicą, natknęłam się na Ukraińców i cudem uniknęłam schwytania. Sześć godzin przesiedziałam w pustej piwnicy, przypadkiem otwartej. Wieczorem udało mi się wpaść do dra Goldmana. Otrzymuję wiadomość, że szukają mnie w całym bloku. Dr Goldman nie pozwolił wrócić pod nr 41 i ukrywał mnie u siebie razem z 4 innymi dziewczętami. Noc spędziłam w szafce kuchennej pod sufitem, rano zawiązują mi twarz i tak udając chorą przesypiam parę godzin na kanapce. O 12 po przebudzeniu dowiaduję się, że większość dziewcząt wyszła z dr Dąbrowską kanałami pod Asnyka (nocą z 9 na 10 było 16 gwałtów). Wyszłam z doktorem i resztą dziewcząt do domu jego teściów na Daleką. Tam nas ulokował z całą gromadą ludzi w pustym lokalu fabrycznym, sam został z córką u teścia. W pół godziny potem Niemcy kazali nam wyjść. Zaraz za bramą straciłam kontakt z koleżankami. Na rogu Tarczyńskiej i Dalekiej stało działo niemieckie. Widziałam, jak Niemcy i pędzona przez nich ludność kryła się pod bramami przed odłamkami. Wzdłuż trasy pełno Ukraińców, którym Niemcy nie przeszkadzali rabować. Widząc, że pędzą nas do obozu, i z drugiej strony widząc szarpanie

młodych kobiet, postanowiłam schronić się w jakimś domu opuszczonym i wieczorem przekraść się do Śródmieścia. Wpadłam do bramy domu róg Słupeckiej i Grójeckiej, gdzie schroniłam się w splądrowanym sklepie. Pomimo że kryjówka moja nie była bezpieczna, nie mogłam jej zmienić, gdyż naraziłabym się na pokazanie Ukraińcom, którzy wałęsali się często po Grójeckiej i Słupeckiej. Po pewnym czasie grupa pijanych Ukraińców wpadła do domu, w którym się schroniłam, i w czasie plądrowania zostałam wykryta. Badanie, szukanie broni, dwukrotne stawianie pod ścianą. W końcu wyprowadzono mnie z domu, zrabowano mi plecak i przeprowadzono na Spiską razem z dwiema jeszcze kobietami. Idąc Spiską zatrzymaliśmy się pod domem, z którego dochodziły odgłosy muzyki, wrzaski. Oświadczyłam kategorycznie, że tutaj nie wejdę; jeśli „komandir" chce mnie badać, niech to zrobi na ulicy. Podczas oczekiwania na decyzję pod strażą i Ukraińców, i 2 SS-owców (jeden żołnierz i jeden oficer) zwróciłam się do oficera po francusku, prosząc go o obronę i wyrwanie z rąk pijanych Ukraińców i wyprowadzenie na Grójecką. Na to wyszedł z domu mój konwojent i jeszcze jeden żołnierz z karabinem i po krótkiej wymianie zdań z Niemcami zagrozili mi karabinem, a przedstawiciele „Herrenvolku" odeszli od sprzymierzeńców. Wprowadzono mnie do domu. Badanie, z początku spokojnie, zaczęłam nabierać otuchy, że uda mi się wyjść cało. Na moją prośbę o wypuszczenie tłumaczono mi, że nie przejdę po ciemku. Po 2 godzinach nowe badanie już po pijanemu, groźby tortur, bicie, usiłowanie gwałtu. Broniłam się przeciw 6, na hałas zjawił się jeszcze jeden komandir, który kazał dać mi spokój. Przeprowadził mnie do innego pokoju, kazał siąść na jakimś tapczanie, i tak spędziłam noc pod strażą żołnierzy. Wiedząc, że teraz może mnie czekać najgorsze, chciałam sprowokować moich dozorców na strzelanie do mnie, ale na próżno, starałam się wyrwać karabin z rąk wartownika; przybyła pomoc, obezwładniła mnie. O świcie wyprowadzono mnie do piwnicy. Postawiono pod ścianą. Dostałam postrzał w krtań. Gdy upadłam, nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy żyję, i zostałam sama. Po odzyskaniu przytomności wywlokłam się z piwnicy. Dostałam się do mieszkania na parterze w poszukiwaniu wody. Tam upadłam prawie zemdlona — straciłam poczucie czasu, potem znowu ocknęłam się; sprawdzając puls, skonstatowałam, że jestem ranna w szyję. Dostałam się do łazienki do

wody, potem leżałam w korytarzu, aż znowu znalazł mnie jakiś Ukrainiec, który mnie podprowadził do pokoju, położył na tapczanie, dał swój osobisty opatrunek. Spędziłam tak noc. Rano dom mieli podpalić, więc znów ten sam Ukrainiec wyprowadził mnie do domu dozorcy, i stamtąd wyruszyłam w towarzystwie rodziny dozorcy na Spiską. Ponieważ byłam bardzo słaba, zostawili mnie. Dowlokłam się do Grójeckiej, gdzie zostałam zabrana przez przechodzący patrol sanitarny, który się wycofał z Filtrowej z rannymi".

(71) Protokół nr 238:

świadek lat 55, nieznanego nazwiska, z wyższym wykształceniem, zamieszkały w Warszawie, ul. Filtrowa.

„Dnia 3. VIII zjawiło się w domu przy ul. Filtrowej 2 żołnierzy niemieckich, lotników, którzy uprzedzili, że jeżeli z domu padnie strzał, mężczyźni będą rozstrzelani. Nie było to jednak możliwe, dom był zewsząd otoczony Niemcami, nie mógł brać udziału, poza tym większość mieszkańców stanowiły kobiety oraz starsi mężczyźni. Powiedzieli, że żołnierze niemieccy nie będą strzelali do okien, gdyby nawet ludzie się w nich pokazywali. W jakiś czas po wyjściu żołnierzy jeden z mężczyzn stanął w drzwiach balkonu. Padł strzał z Filtrów. Trafiony w głowę, w kilka godzin zmarł. Przed południem 4. VIII powstał popłoch w osiedlu. Z domu (objętego tym osiedlem) od ul. Dantyszka powstał popłoch. Ludzie przybiegali twierdząc, że Ukraińcy strzelają i grabią. Mieszkańcy zgromadzili się przeważnie w piwnicy. Słychać od wejścia jakiś niezrozumiały ryk. Potem okrzyki: „Kamerad, nie strzelaj". Wybiega młody człowiek i woła: „Dawajcie zegarki". Kilka osób oddało zegarki, które młody człowiek wręcza napastnikom. U wejścia do piwnicy padają dwa strzały. Wszyscy stoją. Zaczyna się rewizja. Ktoś częstuje pieniędzmi. Nie chcą. Rewidują. Mówią, że jak znajdą broń, to będą wszyscy rozstrzelani. Znaleźli u parę osób jakieś pierścionki i złote przedmioty, zabrali. Ktoś proponuje wódkę. Dostali 5 litrów. Wybrali jednak spośród mężczyzn 4 i wyprowadzili. Postawili ich pod ścianą i chcą strzelać. Przyszedł jakiś inny, zaczął besztać tych spod ściany, ale puścił. Wódka (5 litrów) widać ich zachęciła do prędkiego wyjścia na ucztę. Mieszkańcy, którzy byli w swych mieszka-

niach, uniknęli grabieży. Następnego dnia powtórzyło się to samo, ale nieco spokojniej. Tłumaczono, że poprzedniego dnia byli ich koledzy i im oddano złote rzeczy i zegarki. Między sobą rozmawiali, że trzeba „komandira" nacisnąć, bo się z nimi nie podzielił, musi oddać. Znów rewizja, zabierano co cenniejsze, przy kimś znaleziono nawet scyzoryki, nożyczki, latarki, łańcuszki. Byli też w kilku mieszkaniach dolnych, w których ludzi ograbili. Napady i grabieże powtórzyły się jeszcze 6 i 8 sierpnia. Gdy następnie wpadli znów napastnicy, jakaś kobieta wołała Niemców. Żaden jednak się nie zjawił na ratunek. Od Wawelskiej ktoś przybiegł, został od Dyrekcji Lasów Państwowych ostrzelany. Padł ranny. Gdy mu próbowano o zmroku udzielić pomocy, został zabity. Przy najmniejszym ruchu na ulicy czy w oknie od strony Wawelskiej padają gęste strzały. Mieszkańcy domu w przeważnej ilości zorganizowali dla przybyszów z ulicy (których było 25 osób) dostarczenie jadła. Kto trafił do znajomych, dzielił ich los „żywnościowy".

Trafiłem na mężczyznę, który nie miał zapasów poza cukrem, i głodowałem.

Walki zacieśniają się coraz dookoła miasta. Pożary i dym wskazują, że Ochota jest palona. Dochodzą wiadomości, że z Filtrowej od strony Placu Narutowicza ludzi wyrzucają i domy palą. Dnia 8. VIII wpada duży oddział (ok. 50) SS i pomocników. Wszystkich znów rewidują. Osobiste ścisłe rewizje. Znów zegarki, złoto itd. Rozbijają meble, wyrzucają wszystko na podłogi i schody. Wszystek znaleziony alkohol wypijają. Niektórzy widać, że już nie mogą, bo tłuką niedopite butelki. Spędzają ludzi na parter. Jeden żołnierz widząc, że niektórzy z mieszkańców nie mają żadnych rzeczy, każe iść do mieszkań, zabrać swe rzeczy, ile kto udźwignie. Kilka osób wynosi na dwór nawet kosze. W ogóle ludzie nie rozumieją tego, co się dzieje, choć wiedzą, że sąsiedni dom się pali. Ranną w nogę kobietę, którą chciał jakiś mężczyzna z doktorem wynieść, pobili żołnierze kolbami i nie pozwolili jej wynieść. Nie wiadomo, co się z nią stało. Stoję na dole w domu. Przechodzi jeden z żołnierzy. Powiadam mu: „No i cóż dalej?" A on na to: „Wszystko jedno, przepadnę". „No, to po co to robicie?" — „Tak kazali: wypędzać, strzelać, palić".

Pędzą nas wszystkich przez Pole Mokotowskie. Przewodnicy coraz to strzelają to do psa pędzącego, to w powietrze. Mijamy sporo (kilkanaście) trupów ludzkich. Już na ulicach w pobliżu Grójeckiej

zaczynają się znów rewizje przez tych samych żołnierzy. Jakiejś kobiecie ściągają z nóg długie buty. Komuś z walizki coś wyciągają, innemu ściągają buciki. Komuś przetrząsają kieszenie. Mijani przy tym żołnierze niemieccy przyglądają się temu z wesołym wyrazem twarzy.

Wreszcie wpędzają nas na Zieleniak. Zjawiają się „mołojcy", przeszukują walizki, torby, zawiniątka. Zabierają, co jeszcze gdzie kolwiek komu zostało. Po jakiejś półgodzinie zjawia się jakiś starszy, odpędza tych mołojców, a sam z kilkoma swymi przystępuje do oficjalnej rewizji. Zabierają szaliki, bieliznę, ubranie i jakieś futra na szyję, buty. Wszystko rzuca się na jeden stos, który urasta do wysokości 2 m. Nareszcie potem spokój. Kazali usadowić się pod murem. Ludzie starają się być jak najbliżej muru, żeby się ukryć od prażącego słońca. W dali widać wielu ludzi siedzących lub chodzących w południowej części owego wielkiego Zieleniaka. Do jednego wodociągu płynie długi wąż ludzi. Bardzo trudno dostać wodę, bo brak naczyń. Ktoś sprzedaje butelki po 100 zł. Podobno dają jakąś strawę, ale dostać się do niej można tylko przebojem. Świeżo przypędzeni odpoczywają po wielu wrażeniach. Zastanawiając się nad zupełną obojętnością i spokojem zegnanych ludzi, obserwując ich, i to nie tylko tu, ale i na Okęciu, i w Pruszkowie, przychodzi się do wniosku, że jedynym ich celem jest ratunek życia. Ten, co uratował swe życie, jest na razie uspokojony. Zjawia się na Zieleniaku jakiś wyższy dowódca tych oddziałów w niemieckiej służbie i wydaje swym podkomendnym rozkaz zaprzestania tej ciągłej strzelaniny na Zieleniaku. Karność jednak słaba, bo choć rzadko już bardzo, ale jeszcze strzelają. Uprzyjemniają pobyt wyrzucaniem jakichś pocisków zza ogrodzenia, które z wyjącym szumem przelatują nad placem. Po południu zjawił się oficer niemiecki — lotnik. Współczuje tym, którzy z nim rozmawiają. Mówi, że z tego piekła nas zabiorą. Opowiadają ludzie ze zgrozą o tym, co się tu w nocy dzieje. Żołdactwo gwałci kobiety; która się broni, jest mordowana. Mówią, że poprzedniej nocy jakaś nieszczęśliwa postradała zmysły. Myślę o tym, jak się uchronić od nieszczęścia. Przed wieczorem zabierają dużą grupę ludzi, którzy mieli jakieś legitymacje od władz lub instytucyj niemieckich, i pędzą na Okęcie do jakiejś fabryki i składu drzewa. Po drodze mijamy jakieś dwa stosy walizek ułożone przez Ukraińców obok szosy.

Pod Okęciem ludność miejscowa rozdaje nam w butelkach ciepłą kawę, herbatę, chleb i owoce. Nikt w tym zamieszaniu nie próbuje uciekać. Wszyscy są jednak jakoś zwierzęco otępiali. W owym obozie-fabryczce występują jako opiekunowie Niemcy: kapitan i oficer-lotnik. Mówią: „Teraz będzie dobrze. Pojedziecie do Pruszkowa, gdzie władze niemieckie opiekują się wszystkimi. Dadzą wyżywienie, pomieszczenie i rozpuszczą was do rodzin i znajomych, do bliższych lub dalszych okolic". No, więc wszystko układa się jak najlepiej. Jakiś Polak wzywa chętnych do pobytu na Okęciu. Obiecuje dobre wyżywienie, zapłatę i mieszkanie. Po dłuższej agitacji zgłasza się kilka osób-ochotników. Ludność przyległych domów do naszego obozu dostarcza nam pożywienia, wodę do mycia, dla dzieci mleko i kaszkę. Stosunek jej jest bardzo serdeczny i pełen troski. Przez kilka wieczornych godzin obsługują nas: razem ok. trzystu osób. Nocleg mamy na stosach desek i w baraku bez okien. Rano 9. VIII o wschodzie słońca formują kolumnę i prowadzą nas do Rakowa, stąd kolejką EKD do Pruszkowa".

(72) Protokół nr 139.

świadek sanitariuszka, lat 23, wykształcenie średnie;
protokół własny, spisany w sierpniu 1944 r. w Brwinowie.

„Punktualnie o 5 zaczęła się u nas akcja. Chłopcy atakowali gmach Województwa na rogu Suchej i Filtrowej butelkami z benzyną i granatami z ogródków jednopiętrowych will. Niemcy z wielopiętrowego domu strzelali gęsto ogniem maszynowych karabinów i ręcznych, widząc wszystkie ogródki i wille jak na dłoni. Broni do nas nie doniesiono, było trochę granatów ręcznych i butelek oraz 1 sten, który się zaciął. Akcja skończyła się w naszej stronie późnym wieczorem. Zostaliśmy zamknięci w willach po kilku: kilkanaście osób na jedną, ze wszystkich stron otoczeni dużymi obiektami, zajętymi przez Niemców (Województwo, Filtry, koszary na Suchej, Podchorążówka na 6 Sierpnia, Kraftfahrpark, szpital na 6 Sierpnia). Ze wszystkich stron ostrzeliwano gęsto kolonię, uniemożliwiając nam jakąkolwiek łączność. Strzelano w okna z domów Volksdeutschów. Gdziekolwiek kto wyjrzał, momentalnie strzelano. Największe straty (kilkanaście osób) były przy przechodzeniu

ul. Langiewicza. Na rogu Suchej przejeżdżający motocyklem lotnicy dostrzelili z karabinu maszynowego 2 rannych chłopców. Strzelali do zbierających rannych. Nie dali nawet grzebać trupów Przez 10 dni siedzieliśmy zupełnie odcięci, słysząc tylko odgłosy morderstw i awantur na ul. Langiewicza, Sędziowskiej i Prokuratorskiej, gdzie hulali Ukraińcy. Dochodziły nas tylko wieści o spaleniu domów z rannymi, gwałtach na sanitariuszkach, mordowaniu ludności cywilnej. Słyszeliśmy tylko przekleństwa, okrzyki rozpaczy, niemieckie komendy i widzieliśmy bliskie pożary. Dobiegła do nas jedna z sanitariuszek z Langiewicza, gdzie wdarli się Ukraińcy i pod groźbą dobijania rannych gwałcili dziewczęta nawet 18-letnie. Łączność z miastem została nawiązana, przez 4 noce wychodzili chłopcy i dziewczęta grupami około 150 osób do miasta. Dnia 12 sierpnia wkroczył na Kolonię Staszica Wehrmacht i zaczęło się wysiedlanie. Do naszego domu wpadli z bronią w ręku i wyrzucali od razu z miejsca, nie można było prawie nic wziąć. Musiałam błagać o możność wyniesienia naszych rannych, zgodzili się. Jeden wyszedł sam, drugiego niosłyśmy na prowizorycznych noszach. Pierwszy posterunek chciał go dobić. Ledwo zdołałyśmy go wyciągnąć. Od tego miejsca musiał mimo postrzału boku iść o własnych siłach. Przechodziliśmy przez tyralierę rewizyj ukraińskich, prawie „ginekologicznych". Ukraińcy bili ludzi kolbami, obrzucali stekiem ordynarnych wyzwisk, odbierali wszystko, co im się podobało (złoto, biżuterię, zegarki itp.). Czasem wyrywali torebki i bagaże i wyrzucali na ziemię. Znalazłyśmy ranną dziewczynę po drodze, która nie mogła iść, wlokłyśmy ją aż do utraty sił. W końcu zdecydowałyśmy się na odwagę i zatrzymałam niemiecki samochód. Ubłagałam tych Niemców, którzy nim jechali, żeby nas zabrali. Odwieźli nas autem na EKD".

(73) Protokół nr 17:

świadek kobieta lat 50, z córką, wysiedlona z Wielkopolski, zamieszkała w Warszawie, ul. Mianowskiego róg Wawelskiej.

„W naszej kamienicy mieścił się sztab. Było 150 powstańców. Znajdowaliśmy się bezustannie w ogniu. My kobiety donosiłyśmy amunicję walczącym, podawałyśmy naboje. Wszyscy razem usypaliśmy bardzo wysokie i mocne barykady. Pociski kruszyły

górne piętra. Gdy runęło 5 piętro, przenieśliśmy się na czwarte, potem kolejno na 3 i na 2 piętro. Wciąż do nas telefonowano: „Trzymajcie się, pomoc nadchodzi. Jesteście Alkazarem Warszawy". Więc broniliśmy się, ale pomoc nie nadchodziła. Wreszcie, gdy górna połowa kamienicy została ścięta, zeszliśmy do piwnicy. Nagle rozległ się huk przeraźliwy i zapadło się sklepienie. Wobec tego powstańcy oświadczyli, że teraz muszą już uchodzić, a my mamy się poddać. Nie wiem, czy nie było za późno, bo już Niemcy obsadzili wyloty wejść podziemnych, ale może udało się im jednak przebić. Do nas Niemcy nie mogli się z początku dostać, ani wszyscy nie mogli wyjść, bo barykada była tak doskonała, że nie dało jej się rozerwać. Niemcy byli wściekli. Przez otwór wyciągali nas i wypychali kolbami. Ksiądz Salamucha został żywcem ukamienowany. Co dziesiąty mężczyzna poszedł na rozstrzał, między innymi prof. chemii Leśniewski. Dwom panom kazano zbierać trupy, a potem Niemcy oddali ich Kałmukom, aby się z nimi pobawili. Tymczasem jeden z tych panów był właśnie urodzony w Turkiestanie i do nich zagadał. Kałmucy puścili ich wolno.

Nas, pozostałych mężczyzn i kobiety, posłano na Zieleniak. To było piekło. Co noc przychodzili Ukraińcy wyszukiwać sobie młode dziewczęta, które publicznie gwałcili. Panowie nakrywali płaszczami i kapeluszami co młodsze kobiety, aby się zdawało, że tam śpią mężczyźni. Matki szalały ze strachu o córki. Noce te były potworne".

(74) Protokół nr 169:

świadek, kobieta w średnim wieku, zamieszkała w Warszawie, ul. Mianowskiego.

„Gdy twierdza nasza ostatecznie runęła, zgłosiliśmy kapitulację. Ostatni pocisk dosięgnął piwnicę, w której się strop zawalił. Ksiądz Salamucha wywiesił białą chorągiew, a my w ostatecznym wyczerpaniu oczekiwaliśmy na wtargnięcie wroga. To, co się teraz dziać poczęło, jest okropne. Dookoła czworoboku naszych domów stanął czworobok żołnierzy niemieckich. Każdy z nich w żelaznym kasku i pełnym rynsztunku bojowym, obwieszeni granatami, pasami z amunicją, na rogach karabiny maszynowe, armatki, „tygrysy". Niemcy mieli szyje odkryte, rękawy od koszuli podwinięte, byli osmaleni i czarni od dymu i prochu, patrzyli ponuro, ze wzgardą

i ironią. A na nas wypuścili Ukraińców. Przyglądali się z satysfakcją na rozgrywające się widowisko. Ukraińcy, spojeni poprzednio wódką, podobni byli do oszalałych bestyj. Wściekłość ich spowodował jeszcze fakt, że nie od razu mogli się dostać do nas przez wysoką i szeroką barykadę. Wreszcie znaleźli jakieś wąskie przejście. Księdza Salamuchę, jeszcze z białą chorągwią w ręku, zakłuli bagnetami i dobili pałkami. Redaktor Żwirowicz został ukamienowany cegłami, a profesor Leśniewicz*), chemik, rozstrzelany. Nas zaczęli wyciągać za głowę i ramiona i wypychać przez ciasny otwór na barykadę. Tu nie wiadomo było, jak zejść po rumowisku, po spiętrzonych meblach i płytach asfaltowych i osypującej się ziemi. Ukraińcy bili więc kobiety i dzieci kolbami po głowie ryczące: „Wy jesteście te najgorsze czarty". Niemcy z założonymi rękami przyglądali się i kpili sobie z nas. Wreszcie wypędzono wszystkich i pognano na Zieleniak. Spędziłam tam tylko jedną noc, ale najstraszniejszą ze wszystkich. Był to szeroki plac ogrodzony parkanem. Ludzie koczowali na nim grupkami. Nie mieliśmy nic do picia ani do jedzenia. Ledwie przysiedliśmy na ziemi, odzienie nasze aż do skóry przesiąkło wilgocią. Trzęśliśmy się febrycznie z zimna. Dokoła — z daleka i z bliska — płonęło miasto, jak jedno wielkie piekło, ale na naszym placu było zupełnie ciemno. Nad nami krążyły wolno samoloty, sądziliśmy, że każdej chwili zwalą się bomby, aby nas całkowicie, ostatecznie wykończyć. W jakiejś godzinie nocy podjechały rzędem „tygrysy", wycelowały wyloty armat w naszą stronę — myśleliśmy, że teraz skoszą nas hurtem. Co pewien czas rozlegały się salwy karabinowe i krzyki, byliśmy przekonani, że niebawem przyjdzie kolej na naszą egzekucję. Serce zamierało nam z przerażenia, a na placu samym działy się rzeczy potworne. Straż nad spoczywającymi pełnili Ukraińcy. Pijani i rozwydrzeni krążyli z latarkami pośród leżących pokotem ludzi i świecili w twarze, i wyszukiwali dziewczęta. Gdy tylko znaleźli młodszą kobietę, wyciągali ją przemocą i zabierali do „robót". Nie szli dalej — pod parkan — i tam gwałcili je publicznie. Na szczęście było ciemno, ale tym bardziej przejmowały grozą krzyki i jęki męczonych: „Poniechaj mnie, panie, mam 13 lat", i ryki, i szlochy matek rzucających się na ratunek córek. Ja sama drżałam w śmiertelnej trwodze o córkę. Tylko matka może zrozumieć, co

*) Leśniewski, patrz protokół nr 17 (73).

przeżyłam. Grupka osób, wśród których się znajdowałyśmy, składała się z samych bardzo starych i brzydkich kobiet; uznano nas za kupę wiedźm, do których Ukraińcy się nie zbliżali. Córkę wepchnęłam w błoto i nakryłam swoim ciałem, aby jej nie było widać, sama miałam głowę owiniętą szmatami. Noc zdawała się nie mieć końca. Niektóre dziewczęta wracały słaniając się na nogach, bardzo wiele nie powróciło już wcale. Nazajutrz wygnano nas z płonącej Warszawy, następnej nocy znaleźliśmy się w Pruszkowie. Po Zieleniaku była to naturalnie ulga, choć tu dopiero na dobre dokuczył nam głód".

(75) Protokół nr 123:

świadek Jerzy Pomianowski, inżynier, zamieszkały w Warszawie, ul. Filtrowa 30; protokołowała „Ż".

„Inżynier zeznaje, że dnia 12 sierpnia 1944 r. w południe żołnierze niemieccy wpadli do domu przy ul. Filtrowej 30 i nakazali w sposób brutalny i nie pozostawiając czasu na dopakowanie walizek, a jedynie schwycenie tego, co już było naszykowane pod ręką, natychmiast dom opuścić. Wszystkich popędzono Filtrową w stronę Placu Narutowicza.

Przy skwerze, którym pędzono tłum na ul. Wawelską, rzucili się na wypędzanych żołnierze z wrzaskiem, żądając oddania przede wszystkim zegarków, a potem pierścionków i innych kosztowności. Wyrywano je ludziom w sposób niezwykle brutalny, rozdzierając kobietom bluzki i spódnice, robiąc nawet „ginekologiczne" rewizje. Pani X była nawet dwukrotnie rozebrana do naga. Rozerwano bluzkę i bieliznę 84-letniej pani Y, której zdjęto również sznurowane buciki. Grabież odbywała się na całej trasie od skweru między Filtrową i Wawelską aż do Opaczewskiej, co chwila, gdy jedna banda żołdaków kończyła, rzucała się na tłum nowa fala. Zabierano kosztowności, złoto, papierośnice, a potem już odzież, obuwie, walizki, nawet jedzenie. Dziewczęta i kobiety wyciągano i zabierano, przeważnie nie wracały (w każdym razie inżynier nie widział wracających). W pewnej chwili na ul. Wawelskiej z bramy domu wypadła młoda dziewczyna, około lat 18, z okrwawioną twarzą i rękami, błagając inżyniera o pomoc, bo ją chcieli zgwałcić. Wzięła część rzeczy i schowała między obcych ludzi. W palcie wło-

żonym na lewą stronę i męskim kapeluszu zdołała z państwem X dojść do Zieleniaka, gdzie odnalazła swoich bliskich. Na Zieleniaku byli tylko parę godzin, trwały tam dalej grabieże, krzyki, zabieranie dziewcząt. Potem popędzono ich na Dworzec Zachodni i pociągiem do obozu w Pruszkowie.

Od ludzi, przebywających na Zieleniaku po kilka dni, słyszał inżynier o straszliwym gwałceniu nawet nieletnich dziewcząt, zwłaszcza w nocy, gdy żołdacy nie fatygowali się nawet zabierać ich poza obręb obozu, lecz 5—6 po kolei gwałcili je tamże w oczach wszystkich".

(76) Protokół nr 133:

świadek Stefania Pobiedzińska, lat 20, zamieszkała w Warszawie, ul. Nowogrodzka; protokół własny, spisany we wrześniu 1944 r. w Brwinowie.

„Wyprowadzono nas jakimś sklepem na ul. Pankiewicza. Tam z Banku Rolnego wyszedł jakiś oficer i jednej z kobiet wręczył plan marszruty. Idąc ulicą Nowogrodzką widziałam w różnych miejscach 3 czy 5 zabitych osób. Szliśmy z białymi chustkami w rękach ulicą Nowogrodzką, Oczki, Koszykową, Wawelską, Suchą, Filtrową (na Filtrowej w tramwaju widziałam 6 rozkładających się już ciał). Kierowaliśmy się w stronę Okęcia. Obchodząc plac Narutowicza widziałam uszkodzony kościół św. Jakuba. Około Placu Narutowicza były całe ulice spalone. Przy jakiejś ulicy (zdaje się, że przy Spiskiej) od tyłu domów od strony działek, widziałam leżących na brzuchu młodych chłopców zabitych. Leżeli w kartoflach. Prawie wszyscy byli w butach z cholewami. Sądzę, że byli to zabici żołnierze AK. Z innej strony Placu Narutowicza, myślę, że za ogrodami Domu Akademickiego, zatrzymali nas Ukraińcy. Na ich polecenie musieliśmy zejść z drogi i wejść na działki, kierując się wąską ścieżynką między kartoflami do parkanu otaczającego jakąś posesję, sądzę, że właśnie Dom Akademicki. Kiedy na ścieżkę weszło około 100 osób, Ukraińcy zaczęli straszliwie bić wszystkich kolbami karabinów i kijami, napędzając tam pod płot. Jeden z nich strzelił. Zabił trzy kobiety. Biegnąc ścieżką za innymi widziałam stos ciał przewróconych z pobicia i ze strachu. Kiedy grupa pobitych kobiet zbliżyła się do parkanu, Ukraińcy ci, co bili nas, podbiegli do grupy około 300 osób, stojącej na drodze. Nie chcieli oni iść pod kule i bicie, ponieważ widzieli, co

się działo z pierwszą grupą. Jak zachowywali się tam, tego nie wiem, ponieważ się nie oglądałam, znajomi mówili mi jednak, że też zabito tam jakieś małżeństwo. Ukraińcy ci wszyscy byli pijani. Napędziwszy nas pod płot, obrewidowali wszystkich dokładnie. Zabierali żywność, biżuterię i co lepsze ubrania i bieliznę. Po rewizji, popychając nas i bijąc, pognali nas na jakąś drogę, a stamtąd już sami doszliśmy na szosę do Włoch, lecz tam Niemcy zapędzili nas do baraku. Tam siedziałam parę godzin i przyłączyłam się do transportu wychodzącego do Pruszkowa. Barak ten to było obszerne podwórze jakiegoś tartaku chyba, ponieważ leżała tam masa desek. W jednym miejscu była szopa, a w drugiej jakiś dach nad deskami. Przebywali tam ludzie i po 2 dni. W drodze do kolejki udało mi się uciec dzięki pomocy jakiegoś mężczyzny".

(77) Protokół nr 41:

świadek Józef Przybylak, lat 44, zamieszkały w Warszawie, ul. Nowogrodzka 36; protokół własny.

„Dnia 18. VIII koło godz. 16, min. 30 wezwano mieszkańców całego bloku do opuszczenia domów w ciągu pół godziny. Pozostać mogli tylko chorzy i starcy. Około godz. 15 tegoż dnia wyszedłem z domu wraz z grupą liczącą około 6.000 osób ulicą Nowogrodzką w kierunku Placu Starynkiewicza. Wychodząc z domu niesiono białą flagę, wobec czego obie strony zaprzestały ognia. Po drodze spotykaliśmy oddziały niemieckie po bramach i podwórzach wzdłuż ulicy Nowogrodzkiej, twarze ich były wyczerpane i obojętne. Nie dochodząc do Placu Starynkiewicza okrążyła nas duża grupa Ukraińców w mundurach niemieckich i zaczęła grabież, poszukując po kieszeniach zegarków, złota, pieniędzy itp. przedmiotów. W tym punkcie stracili wszyscy zegarki, obrączki i portfele. Gdyśmy skręcali na lewo z Nowogrodzkiej na plac Starynkiewicza do Koszykowej, a następnie szli Koszykową wzdłuż Filtrów, skierowano w naszą stronę ogień z karabinów maszynowych: 2 kobiety zabito. Ogień szedł w kierunku poczty przy ul. Żelaznej, którą opanowali powstańcy. Idąc dalej do ulicy Grójeckiej na tak zwany Zielony Rynek, byliśmy rabowani przez małe grupy Ukraińców z reszty wartościowych przedmiotów, ukrytych od pierwszej grabieży. Zdarzył się wypadek, że Ukrainiec pod groźbą użycia dużego noża zabrał z naszej grupy kobietę, wciągając ją do bramy.

Po prawie 3 i ½ godzinach marszu dobrnęliśmy do Zielonego Rynku. Tam urzędowali również Niemcy z formacji SS, mówiący po polsku. Wezwali Volksdeutschów, Ukraińców i Rosjan do wystąpienia i oddzielili ich w inną grupę, po którą niezadługo przyjechał samochód wywożąc ich. Pytano również o rannych (z naszej grupy ranni nie zgłosili się, ponieważ zostali ostrzeżeni, że rannych się rozstrzeliwuje). Po tej segregacji nastąpiła gruntowna rewizja po kieszeniach, walizkach i tobołkach. Tam tracono resztę mienia, zabierano nam nawet bieliznę z małymi wyjątkami, uzależnionymi od poszczególnych rewidujących. Około godz. 9 minut 30 do grupy naszej podchodzili pijani Ukraińcy, świecąc latarkami w twarze kobiet, zabierając je przemocą do swoich kwater. Następnego dnia na skutek denuncjacji jednego z Polaków zrewidowano mnie jeszcze raz bardzo dokładnie, szukając złota, którego nie znaleziono, ponieważ go nie posiadałem. Rozwścieczeni, pijani Ukraińcy nazwali mnie bandytą, którego trzeba rozstrzelać. Wiedząc, że groźbę swą mogą w czyn wprowadzić, skorzystałem z okazji przybycia oficera niemieckiego, który poszukiwał pracowników, i widząc lepsze możliwości ucieczki, zgłosiłem się do pracy".

(78) Protokół nr 231:

świadek Grzegorz Wiśniewski, lat 40, zecer, zam. w Warszawie, ul. Smolna 6; protokołował Jerzy „Zbigniew" dnia 23. XI. 1944 r.

„W trzecim tygodniu powstania, dokładnej daty nie pamiętam, znajdowałem się ukryty między ruinami spalonego domu nr. 12 przy ul. Barskiej. Jednego ze względnie spokojnych dni zobaczyłem 4 żołnierzy niemieckich, prowadzących ze sobą młodą dziewczynę strwożoną i zapłakaną.

Ze śmiechem pociągnęli ją na podwórze ruin domu, gdzie się znajdowałem, i tam kolejno dopuścili się na niej gwałtu, po czym zamordowali ją wystrzałami z pistoletu w kark i lewą pierś".

MOKOTÓW - CZERNIAKÓW
ŻOLIBORZ

V

Każde przedmieście i każda dzielnica ma swoje odrębne dzieje. Na Pradze po wschodniej stronie Wisły akcja powstańcza trwała zaledwie dzień. O ile z zewnętrznych dzielnic stolicy Wola i Ochota padły najpierwsze, o tyle Czerniaków, Mokotów i Żoliborz — trwały długo, utrzymując podziemną łączność kanałami z głównym ośrodkiem oporu, Śródmieściem. Czerniaków z Sadybą i Królikarnią kapitulował w czasie od 7—12 września, Mokotów 26 września, a Żoliborz 28 września 1944, a więc niewiele przed ostatecznym upadkiem serca stolicy.

Materiały do dzielnic poza Wolą i Ochotą w tym zbiorze są nader skąpe. Są dzielnice-przedmieścia, o których nie ma ani słowa. Brak danych z Brudna, Pelcowizny, Koła, Boernerowa i szeregu innych. Nie wiadomo, co w tych skromnych relacjach więcej przemawia: czy to, co podano, czy też to, czego brak. Milczenie otwiera pole wyobraźni, gdyż rzeczywistość prosi o to, aby była obecna. Dokładne jej ustalenie jest w dokumentacji zbrodni warszawskiej zadaniem najważniejszym.

MOKOTÓW

(79) Protokół nr 66:

świadek Krystyna Świętochowska, lat 24, studentka szkoły dziennikarskiej, zamieszkała w Warszawie, ul. Langiewicza 5, protokołowała Irena Trawińska dnia 25. IX. 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„...Rakowiecka — kościół i klasztor Jezuitów na Rakowcu. Dnia 25 sierpnia, o godz. 11 do schronu, gdzie mieściła sią miejscowa ludność i księża, wpadli Niemcy; widziałam wszystko; byłam na tym samym terenie ukryta w zabudowaniach. Wyciągają księży, słychać odgłosy bicia, krzyki, jęki — na koniec salwa i cisza. Widziałam potem 17 księży wyciągniętych z piwnic, rozstrzelanych przed klasztorem; z piwnic też dochodziły odgłosy strzałów; dokładnie, ilu księży zostało zabitych, ilu z ludności cywilnej, nie mogę powiedzieć, widziałam tylko tych 17; przed rozstrzelaniem byli oni bici i męczeni...“

(80) Protokół nr 108:

o niżej podanym protokole brak jakichkolwiek danych personalnych; protokół spisany 4. X. 1944 r.

„...Dnia 2 sierpnia przybyło na ul. Opoczyńską nr. 2 sześciu młodych ludzi, uciekinierów z więzienia mokotowskiego, i opowiadali, że przed powstaniem zwolniono dużo osób z więzienia, przeważnie starszych ludzi, trudno ustalić liczbę. Pozostali przeważnie młodsi. O wybuchu powstania dowiedzieliśmy się od strażników. Domyślaliśmy się, jaki koniec nas czeka, i byliśmy przygotowani na śmierć.

Czterech z nich wyjmuje małe flaszeczki z kieszeni, w których były zawinięte kartki z ich personaliami, dane na wypadek pośmiertnej identyfikacji.

Powstanie wybuchło o 5 po południu. W godzinę, najwyżej półtorej wyprowadzono 1.100 osób na podwórze. Pod parkanem był wykopany długi, głęboki dół. Ustawiono nad nim około 100 ludzi i rozstrzelano z karabinów maszynowych. Następna sętka musiała zakopać towarzyszy i stanąć na ich miejscu. Tak rozstrzelali 400 osób. Wreszcie kilkudziesięciu z pozostałych 700 rzuciło się na Niemców. Przy rozbrajaniu zginęło jeszcze kilkadziesiąt osób. Wśród nich 2 strażników, a reszta się rozpierzchła i uciekła".

(81) Protokół nr 110:

świadek, sanitariusz z szpitala w Warszawie, ul. Chocimska 1;
protokołowała Antonina Czelna dnia 15. IX. 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„...Co się stało z więzieniem mokotowskim przy ul. Rakowieckiej? — pytam jednego z sanitariuszy szpitala z ul. Chocimskiej 4. — Mogę powiedzieć tylko tyle, ile słyszałem od osób, mających styczność z więźniami mokotowskimi. Podczas powstania Niemcy zaczęli likwidować więzienie w następujący sposób: wchodził Niemiec uzbrojony w rewolwer do celi i rozstrzeliwał wszystkich po kolei. Ile cel wykończyli, trudno powiedzieć. Podobno następne cele zorientowały się w sytuacji i jedna z nich zbuntowała się. Obezwładniła Niemca, zdobyła broń, drugiego Niemca zastrzelili na korytarzu i resztę cel uwolnili, i wszyscy uciekli.

Sporo z nich przedostało się kanałami na stronę AK i nawet bardzo dzielnie bili się z Niemcami do chwili kapitulacji, a niektórzy od razu z miejsca zaczęli uprawiać swój zawód, a mianowicie grabież".

(82) Protokół nr 144:

z rozmowy z nieznanym protokołującemu mężczyzną, lat około 30, bez wykształcenia, zamieszkałym po opuszczeniu Warszawy w Brwinowie.
Protokołował Edward Serwański w październiku 1944 r. w Brwinowie.

„Dnia 3. VIII Niemcy zaatakowali ul. Olesińską, na której nie było żadnego ośrodka AK. Podchodzili od domu do domu, wrzucali do mieszkań i piwnic granaty, następnie domy podpalali. Mieszkańcy, którzy uszli śmierci, uciekali piwnicami w głąb ulicy wykopem, zrobionym w ostatnim domu na ul. Olesińskiej, na posesji ogrodnika, którego zakład zamykał ulicę. Zgrupowanych w ogrodzie mieszkańców Niemcy wysiekli karabinami maszynowymi".

(83) Protokół nr 128:

świadek Konoyicz, zam. w Warszawie, ul. Puławska 11;
protokołowała „Z".

„...Niemka, obywatelka polska i żona Polaka, mająca syna oficera polskiego w oflagu a córkę w Akcji, podaje następującą relację z domu przy ul. Puławskiej nr. 11: W dniu 5 sierpnia 1944 roku udali się Niemcy do domu, z którego dachu strzelali prawdopodobnie powstańcy, już po ich wycofaniu się. Wszystkim mieszkańcom kazano zejść na podwórze. Spośród nich wywoływano Volksdeutschów i obywateli obcych i tym pozwolono z rzeczami wyjść na ulicę, Pani NN zdołała, nie podając się za Niemkę, ale dzięki dobrej niemczyźnie wyjść z mężem i pociągnąć jeszcze za sobą 5 osób Polaków. Zaraz po ich wyjściu Niemcy podpalili dom i zaczęli strzelać do tłumu na podwórzu. Według oceny pani NN było tam około 150 osób, przeważnie kobiet i dzieci. Oddano kilkanaście strzałów. Przypuszczalnie ludzie z podwórka zdołali uciec do piwnic, bo strzały umilkły. Kilkanaście osób wypuszczono na ulicę; musiano je z powodu żaru od płonącego domu przeprowadzić na drugą stronę ulicy. Bramę zamknięto i postawiono przed nią wartę, aby nikt z domu nie mógł uciec. Nikt z mieszkańców nie zdołał się uratować. Gdy potem pani NN, trzymana tydzień z grupą Volksdeutschów i wyprowadzonymi przez siebie Polakami przybyła na ul. Litewską nr 5 i chodziła z innymi do pracy w Gestapo w Alei Szucha, słyszała od znajomego z ul. Puławskiej nr 5, że stamtąd zabrano wszystkich mieszkańców na Al. Szucha i rozstrzelano. Opowiadający ocalał, bo zabrano go wcześniej do pracy jako krawca".

(84) Protokół nr 158:

świadek Edmund Sikorski, lat około 28, wykształcenie średnie, pracownik adwokacki, zamieszkały w Warszawie, ul. Narbutta 62;
protokołował Edward Serwański we wrześniu 1944 r. w drodze z Brwinowa do Milanówka.

„...Do dnia 27. VIII Niemcy spalili w naszym sąsiedztwie, tak na naszej ulicy jak na Asfaltowej i Opoczyńskiej, wszystkie domy, a mieszkańców wypędzili, pozostawiając im kilkanaście minut

czasu do spakowania się. Pozostał nienaruszony tylko nasz dom i jeszcze jeden w sąsiedztwie tylko dzięki temu, że Niemcy zażądawszy wódki, dobrej kawy i herbaty, byli dosłownie żywieni przez szereg dni. Dłuższy czas szantażując nas, ustawicznie obiecywali, że dom nie zostanie zniszczony i nam nic się nie stanie. Dnia 27. VIII polecono nam spakować się i dom opuścić, ponieważ zostanie on spalony, jak wszystkie inne. Opuszczenie przez nas domu uzasadniali naszym bezpieczeństwem.

W czasie pobytu w domu zdarzył się taki wypadek: W dniu kapitulacji Rumunii jedna z mieszkanek naszego domu udała się po wodę najprawdopodobniej do sąsiedniego domu. Wracając została postrzelona w nogę, i to tak, że nie mogła o własnych siłach wrócić do domu. Mieszkający u nas dowódca SS i zarazem komendant oddziału zakazał stanowczo udania się nam z pomocą do leżącej na ulicy kobiety, jakkolwiek była ona zupełnie niedaleko. Wreszcie wieczorem jeden z SS, wróciwszy do naszego domu, pochwalił się nam, że widząc na ulicy ranną kobietę, zastrzelił ją z litości, aby się nie męczyła. Rzeczywiście na drugi dzień z naszego domu widzieliśmy już tylko leżącego trupa..."

(85) Protokół nr 65:

świadek Krystyna Świętochowska, lat 24, studentka,
zamieszkała w Warszawie, ul. Langiewicza 5;
protokołowała Irena Trawińska dnia 25. IX. 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„...Żołnierzy AK, przeprawiających się z punktów oporu kanałami, rozstrzeliwano na miejscu.

Do wylotów kanałów wlewano benzynę, podpalano i wrzucano granaty.

Wycofujących się poprzez Pole Mokotowskie w kierunku Rakowca wychwytywano i masakrowano kolbami karabinów na śmierć.

Niemcy urządzili również publiczną egzekucję przed domem nr 28 przy ul. Wawelskiej, gdzie z karabinów maszynowych rozstrzelano żołnierzy AK".

(86) Protokół nr 218:

świadek Władysław Czewski, lekarz weterynarii;
jego relacje przekazał do protokołu Władysław Adamczewski;
protokołowała Irena Trawińska dnia 1. X. 1944 r. w Pruszkowie.

„... W dniu kapitulacji Mokotowa przy dole ok. Skarpy przy ul. Chocimskiej Niemcy zmasakrowali i rozstrzelali 98 chłopców z AK, którzy wyszli kanałami. Zostali oni zamordowani w bestialski sposób. Rozebranych, w pozycji klęczącej, z rękami do góry, tłuczono kolbami, a następnie dostrzelano. Było to około 100 do 150 m od szpitala na ul. Chocimskiej".

(87) Protokół nr 217:

świadek Maria Kowalska, lat 42,
zamieszkała po opuszczeniu Warszawy w Podkowie Leśnej Wsch.;
protokołowała Irena Trawińska dnia 1. X. 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„... W pierwszych dniach września 1944 w Warszawie, przy ul. Konduktorskiej, nadjechał czołg niemiecki, na którego froncie przywieziono młodą dziewczynę lat około 18, podobno łączniczkę z AK. Czołg podjechał bardzo blisko i zaczął ostrzeliwać powstańców. Dowódca postanowił poświęcić dziewczynę. Zginęła ona, gdy dowódca dał rozkaz strzelania".

(88) Protokół nr 157:

świadek Edmund Sikorski, lat około 28, wykształcenie średnie, pracownik adwokacki, zamieszkały w Warszawie, ul. Narbutta 62;
przesłuchiwał i spisał protokół Edward Serwański we wrześniu 1944 r. w drodze z Brwinowa do Milanówka.

„... W dniu wybuchu powstania siostra moja znalazła się na ul. Rakowieckiej nr 15 w zakładzie SS Skrytek. Ze względu na bezpieczeństwo nie pozwolono jej wrócić do domu. W dniu 4. VIII — jak mi potem siostra opowiadała — wpadli do zakładu Niemcy, wypędzili wszystkie kobiety, a mężczyzn i dozorcę z miejsca rozstrzelali".

(89) Protokół nr 111:

świadek dr Srokowska, lekarz szpitala Ubezpieczalni w Warszawie, ul. Czerniakowska;
protokołował Gustaw Studziński, nauczyciel,
protokół przyjęła Irena Trawińska dnia 28. IX. 1944 r. w Milanówku.

„... Przy ul. Teresińskiej nr 9 mieścił się Zakład Św. Józefa dla starców i dzieci, wśród których było bardzo wielu chorych. W czasie powstania wywieszono na gmachu chorągiew Czerwonego Krzyża. Mimo to zakład był stale ostrzeliwany przez Niemców z różnych rodzajów broni. Raz zjawił się w zakładzie podoficer niemiecki i zapowiedział, że o ile w zakładzie znajdą schronienie żołnierze AK, zakład zostanie spalony.

Przekonano się, że sztandar Czerwonego Krzyża działał na Niemców — według słów zeznającej — jak płachta czerwona na byka. Dokąd w zakładzie wisiała chorągiew Czerwonego Krzyża, dotąd zakład był ostrzeliwany; po zdjęciu flagi obstrzał ustał".

CZERNIAKÓW

(90) Protokół nr 13:

świadek Anna Chechlowska, lat około 40, wykształcenie średnie,
zamieszkała w Warszawie, ul. Nowosielecka.

„... 2 sierpnia Niemcy przyszli na Czerniakowską nr 137. Podpalili dom, przy którym była szopa; w szopie zrobili prowizoryczny schron ogrodnik z rodziną. W schronie znajdowały się 2 córki ogrodnika, dwóch zięciów, syn-dorożkarz, żona jego z dwojgiem dzieci i kolega syna oraz dwóch furmanów. Matka staruszka podbiegła, chcąc ich uratować, odkrywając klapę od schronu, ale została postrzelona w szyję. Ze schronu wyskoczył syn z kolegą, przebiegł na ulicę Nowosielecką do szpitala Nazaretanek, w drodze zostali zabici przez SS-manów. Wszyscy ludzie w schronie mimo krzyków i próśb o ratunek spalili się. Do ratujących Niemcy strzelali. Z sąsiedniego domu wybiegł lokator i chciał pożar gasić. Został na miejscu zabity. Akcja spalenia tego domu była odwetem za akcję powstańczą z terenu ogrodnika NN. Do ludzi, wyglądających z domów sąsiednich, Niemcy strzelali".

jąc wydania zegarków, pieniędzy i kosztowności, które zrabowali. Pod groźbą użycia broni zgwałcono jedną z sióstr, od dalszych gwałtów obroniła inne siostry energiczna postawa jednego z lekarzy.

Ocalałych chorych i rannych personel szpitalny pod obstrzałem ewakuował do klasztoru Sióstr Wizytek, na Krakowskie Przedmieście..."

ŻOLIBORZ I POWĄZKI

(93) Protokół nr 4:

świadek maszynista kolejowy, lat około 40, zamieszkały w Skierniewicach, ul. Lelewela, w tzw. „Burse". Notatkę z rozmowy sporządził dnia 15. VIII. 1944 r. w Skierniewicach, a w formie protokołu opracował w Brwinowie Edward Serwański.

„...Będąc kilkakrotnie służbowo w Warszawie, opowiadał mi NN następujące szczegóły o prowadzeniu przez Niemców akcji zbrojnej w Warszawie: Widziałem — w dniach od 12 do 16. VIII. 1944, jak baterie niemieckie ustawione przy Dworcu Gdańskim systematycznie ostrzeliwały opróżnione już domy w stronę miasta, dziurawiąc je, względnie burząc zupełnie. Następnie w domy podziurawione od pocisków strzelali specjalnego rodzaju pociskami, które wzbijały się wysoko w niebo, a pionowo spadając zapalały je. Podobnie widziałem zupełnie podziurawione od pocisków artyleryjskich wielkie bloki domów w rejonie ul. Generała Zajączka. Doszedłem do wniosku, że Niemcy przygotowywali przez artylerię te domy do podpalenia.

W chwilach przerwy „Ukraińcy", stacjonujący na Dworcu Gdańskim, podchodzili pod zburzone i podpalone domy ze skrzyniami od amunicji i penetrując piwnice dokonywali grabieży..."

(94) Protokół nr 151:

świadek Maria Jurowska, lat 18, zamieszkała w Warszawie, ul. Słowackiego 35; protokół własny, sporządzony w Brwinowie.

„...Miasteczko Powązki. Głównymi punktami oporu były: Fort Bema i Szkoła na Elbląskiej. Z miasteczka Powązki oddziały AK

wycofały się już w pierwszych dniach po nieudałej akcji. Część przeszła na Żoliborz, część — do Kampinosu. Ludność niektórych domów z Powązek wywiesiła białe płachty. Wszystkie domy zostały spalone, ludność usunięta. W połowie sierpnia została spalona Kolonia Kościuszkowska (Krasińskiego przy Burakowskiej), uprzednio zrabowana przez Niemców. Ludność wypędzono. Domy obrabowali Niemcy..."

(95) Protokół nr 75:

świadek ks. Chwilczyński, kapelan Szpitala Wolskiego;
protokołowała Irena Trawińska we wrześniu 1944 r. w Podkowie Leśnej w kasynie Szpitala Wolskiego.

„...Dnia 8 sierpnia 1944 r. w Warszawie — ludzie z Jelonek (przedmieście Warszawy w okolicach Woli, Ulrichowa) wezwali mnie do nieprzytomnych dziewcząt, ofiar gwałtów żołdactwa. Przybyłem do nieszczęsnych do domków przy ul. Słowackiego w Jelonkach; były nieprzytomne i w okropnym stanie; opowiadano mi, że były gwałcone i maltretowane przez całą noc przez wielu Kałmuków na pobliskich polach; nad ranem Kałmucy nakazali zakopanie ofiar, które były nieprzytomne; rozkaz ten wydali mieszkańcom domków przy ul. Słowackiego; ludzie przynieśli ofiary do domu. Gdy przybyłem, nadbiegli Kałmucy i przykładając mi z dwóch stron pistolety do głowy obrewidowali mnie i nakazali mi oddalić się. Ofiary, jak mi wiadomo, pozostały przy życiu".

MARYMONT I BIELANY

(96) Protokół nr 162:

świadek Zbigniew Pajdowski, lat około 18;
protokołował Edward Serwański w październiku 1944 r. w Brwinowie.

„...Pod koniec sierpnia zaczęły przepływać przez nasz klasztor pierwsze fale ewakuowanych z Marymontu. Zainstalowano u nas szpital dla rannych i chorych z Marymontu. Było ich około 60 osób. Od tych rannych zacząłem dowiadywać się o tym, co się działo na Marymoncie. Według relacyj rannych i chorych, ludność cywilną z Marymontu wypędzili Niemcy z domów, nie pozwalając

często zabrać najbardziej nieodzownych rzeczy. Niemcy wpadali do domów, wrzucali granaty do piwnic i mieszkań, przeważnie nie zapowiadając tego mieszkańcom, a mężczyzn w zasadzie rozstrzeliwano. Od mniej więcej 20 sierpnia do końca pierwszej dekady września przeprowadzili Niemcy przez nasz klasztor około 2 tys. ludzi dziennie, z tego mężczyzn w stosunku do kobiet jak 1:20.

Oprócz drogi przez nasz klasztor wypędzano ludzi z Marymontu ulicą Marymoncką na Modlin. O tej grupie mieszkańców nie mogę podać bliższych informacyj.

Wypędzając ludność Niemcy do pierwszej dekady września spalili cały Marymont. Mniej więcej do 20. IX spalili Niemcy Marymont Górny z Dolnym Żoliborzem: Mickiewicza, Potocką, Marii Kazimiery itd....“

„...1. VIII od godz. 16 rozpoczął się atak na CIF, będący w rękach niemieckich, przez oddział AK.

Około 10. VIII zjawili się w klasztorze Niemcy w trzech samochodach w liczbie mniej więcej 120 ludzi. Byli to SS. Przeszukano natychmiast cały zakład — jak mówili — celem znalezienia partyzantów.

17. IX podpalono zakład, przy czym zakazano nam gasić pożar. Z trudem uratowaliśmy szpital. Rozpoczęliśmy życie w podziemiach.

23. IX Niemcy wydali nakaz natychmiastowego opuszczenia klasztoru, i to w ciągu 15 minut. Nie mieliśmy czasu zabrać nawet najpotrzebniejszych rzeczy. Jeszcze w naszych oczach rzucili się Niemcy na rabunek i plądrowanie. Z klasztoru dostałem się do Wawrzyszewa przez Łomianki, do Lasków i do Babic“.

(97) Protokół nr 150:

świadek Marta Jurowska, lat 18, zamieszkała w Warszawie, ul. Słowackiego 35; protokół własny sporządzony w Brwinowie.

„...Głównymi punktami oporu na Marymoncie były: Szkoła Gazowa, Olejarnia, szkoła na Kolektorskiej, „Blaszanka“. W końcu sierpnia Marymont został spalony. Ludność częściowo wymordowano, reszta uciekła na Żoliborz, gdzie zamieszkała w dawnych fortach w Parku Żeromskiego (Plac Wilsona).

(98) Protokół nr 149:

świadek Marta Jurowska, lat 18, zamieszkała w Warszawie, ul. Słowackiego 35; protokół własny, sporządzony w Brwinowie.

„...Po zajęciu Bielan przez nieprzyjaciela, połowa domków została spalona. Pozostałe domy porabowali Ukraińcy. Ludności nie usunięto. Częste łapanki mężczyzn i młodych kobiet..."

PRAGA

(99) Protokół nr 131:

personalia świadka i protokołującego poniższe zapiski nie są redakcji znane.

„...Akcja zbrojna na Pradze zakończona została definitywnie już pierwszego dnia powstania. Jako jeden ze środków zapobiegawczych Niemcy wydali zarządzenie, zabraniające całkowicie pokazywania się na ulicach mężczyznom. W wypadku spotkania tychże prowadziło to niemal zawsze do rozstrzeliwania. To samo zarządzenie odnośnie kobiet ograniczało swobodę poruszania się do 2 godzin, a mianowicie od godz. 12 do 14. W wypadku przekroczenia godzin przez kobiety, tak drakońskich represyj, jak w stosunku do mężczyzn, nie stosowano. Zarządzenie to doprowadziło do zamarcia wszelkiego ruchu na ulicach Pragi i jej wszystkich przedmieść, z wyjątkiem Grochowa, gdzie sytuacja wyglądała nieco inaczej. Akcja na Grochowie nie miała miejsca. W związku z tym władze niemieckie za pośrednictwem komisarza Grochowa, którym był funkcjonariusz policji granatowej, wydały zarządzenie o godzinie policyjnej dla ludności polskiej od godz. 5 do godziny 21.

Około 10. VIII. 1944 rozpoczęła się częściowa ewakuacja Pragi, która przez czas mego pobytu przedstawiała się następująco: wszystkie ulice zamknięto z jednej strony Wisły, z drugiej zaś ul. Jagiellońską, z tą ostatnią włącznie; była to I faza (ulica Zygmunta, Brukowa, Szeroka, Kępna).

Następnie ulice między Jagiellońską a Targową — II faza (Marcinkowskiego, Sprzeczna, Zamojskiego, lewa strona Targowej).

W III fazie wysiedlono ludzi z prawej strony Targowej pomiędzy ul. Kijowską a ul. Skaryszewską (Skaryszewska, Lubelska, prawa strona Targowej). Przy czym w tym wypadku ludność skierowano bezpośrednio na Dworzec Wschodni, gdzie lokowano do pociągów.

Sama metoda wysiedlania wyglądała następująco: Rejon wysiedlany otaczany był kordonem wojska, ostateczny termin opuszczania miejsca zamieszkania nie przekraczał 6 godzin. Najcięższy jednak nie przekraczał 2 godzin. Ludność zabrać mogła ze sobą tylko rzeczy najniezbędniejsze. Mieszkania pozostawały pod opieką dozorców, pozostających na miejscu, którym oddawano klucze od mieszkań. Ewakuantów kierowano pod eskortą do byłych koszar 36 pp. na ul. 11 Listopada, do obozu przejściowego. Wszelkie próby ukrycia się podczas ewakuacji kończyły się z reguły rozstrzelaniem. Po segregacji część ludności była zwalniana (chorzy, starcy), resztę kierowano na Legionowo. Jeśli chodzi o ewakuację Grochowa, przeprowadzana była w analogiczny sposób, obejmując wszystkie dzielnice w obrębie: Grochowska, Zamieniecka - Zamojska. Specjalnych represyj nie stosowano, tudzież nie były przeprowadzane rewizje i poszukiwania członków AK przez Gestapo..."

(100) Protokół nr 250:

z dokumentów PCK. Podpis zeznającego nieczytelny; protokół przyjęła Irena Trawińska dnia 14. IX. 1944 r.

„...W drugiej połowie sierpnia br. na terenie Grochowa samochody, prowadzone przez SS-manów, wyłapywały młode dziewczęta, odwożąc je do kasyn oficerskich i żołnierskich do Wawra i Kawęczyna.

Między 2 a 10. IX. 1944 na teren obozu przy ul. 11 Listopada zajechały samochody z wojskowymi. Zażądano zgłoszenia się na ochotnika 15 do 20 młodych kobiet, według ustnego wyjaśnienia: „dla uprzyjemnienia czasu". Ponieważ nikt się nie zgłosił, brano je przemocą, lecz nie przywożono z powrotem. W trakcie tego

jedna z młodych dziewcząt w celu odebrania sobie życia przegryzła żyłę na ręku; jeden z żołnierzy dobił ją z rewolweru.

W paru wypadkach odbierano młodym kobietom dzieci, oddawano je staruszkom, a matki zabierano.

(Spisywano z naocznym świadkiem, który przebył obóz i wyszedł z Warszawy z obozem w dniu 11. IX. 1944.)

ŚRÓDMIEŚCIE

VI

Śródmieście — to szerokie pojęcie terytorialne. Obejmuje ono zarówno Stare Miasto, jak Powiśle i centrum stolicy — śródmieście w najściślejszym znaczeniu. Losy tych dzielnic miasta były różne. Stare Miasto padło 3 września 1944, Powiśle — 7 września, a samo serce stolicy na samym końcu — 2 października 1944, po przeszło dwumiesięcznej walce.

Stare Miasto, przezwane w języku powstańców „Starówką", uległo podczas działań wojennych bardzo wielkiemu zniszczeniu, którego po kapitulacji tej części miasta dopełniono do ostateczności. Artyleria niemiecka z prawego brzegu Wisły burzyła systematycznie począwszy od najniższych stoków, przylegających wprost do brzegów Wisły, całe partie „Starówki", posuwając ogień coraz wyżej tarasami aż na wierzchowinę wiślanego brzegu, na Rynek Starego Miasta.

Obok artylerii — tzw. „krowy", pociski burzące o niezwykłej sile wyrzucane z bezpośrednio w pobliżu pola walki leżącej wyrzutni, a nazwane tak przez mieszkańców stolicy od charakteru odgłosów, które towarzyszyły przygotowaniu wyrzutni do strzału i przypominały ryczenie krowy, oraz lotnictwo przeciągające tuż nad dachami Starego Miasta, dopełniały reszty.

Na przechodzącej obok Starego Miasta „osi" — Chłodna, Elektoralna, Plac Bankowy, Plac Teatralny, aż po Karową — stosowanie przez Niemców żywych barykad z ewakuowanej ludności cywilnej nadało walce swoiste piętno.

Teatr Wielki (Opera) stał się ośrodkiem egzekucyj mężczyzn (poz. 106).

Powiśle niszczono podobnie jak Stare Miasto. Cała ta dzielnica była przedmiotem gwałtownych ataków z lądu i powietrza wszystkimi możliwymi środkami bojowymi. Bliskość pozycyj niemieckich na znacznej trasie Krakowskiego Przedmieścia stwarzała bardzo dogodne warunki „obkładania" Powiśla ogniem.

Samo serce stolicy (centrum) opanowane w znacznej mierze przez powstańców, uchroniło ludność cywilną od losu Woli, Ochoty i innych dzielnic. Ośrodki egzekucji mężczyzn na tym terenie — to ruiny Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych (Gisz) przy Bagateli (poz. 125) oraz Ministerstwo Wyzn. Relig. i Oświecenia Publicznego przy Alei Szucha, gdzie mieściło się Gestapo. Poza jedynym zapiskiem brak niestety w protokołach bliższych informacyj o gestapowskiej siedzibie.

Szczytowym punktem tragedii chorych i rannych — to znane już dziś powszechnie dzieje Szpitala Dzieciątka Jezus, przykład, w jaki sposób Niemcy postępowali w stosunku do chorych.

STARE MIASTO

(101) Protokół nr 168:

świadek Łyczywkowa, lat około 60, zamieszkała w Warszawie, ul. Ogrodowa 8.

„6 sierpnia zjawili się Niemcy. Wtargnęli do naszej piwnicy, która służyła za schron, a wejście swoje poprzedzili tym, że sypnęli do środka garść granatów. Mężczyzn wypędzili od razu osobno, a nas, same kobiety, pognali ku ulicy Wolskiej.

Ulice płonęły. W oczach naszych waliły się domy, płonące głownie spadały z dachów, z hukiem waliły się balkony, żar na ulicach panował nie do opisania, a równocześnie Niemcy popychali nas kolbami, wtłaczając pod mury walących się domów. Dym gryzł w oczy i zasłaniał widok, żar dusił, ogień zapalał odzież. Wiele osób zostało na ulicy Wolskiej, nie mogąc przezwyciężyć żaru, może pomdlały pędzone szybko kobiety, może je zabito — nie wiem, bo odchodziłam od zmysłów. Rozstrzeliwanie oddalających się od pochodu trwało na całej trasie od ulicy Wolskiej do Włoch. Tak zapędzono nas do Włoch pieszo, skąd uciekłam".

(102) Protokół nr 5:

świadek Tarczyńska, lat ok. 30, zamieszkała w Warszawie, Plac Żelaznej Bramy 8; protokołował Edward Serwański dnia 17. VIII. 1944 r. na stacji kolejowej Rawka pod Skierniewicami.

„Dnia 8. VIII około godz. 2 wpadli Niemcy na Plac Żelaznej Bramy od strony Chłodnej i wrzucając do domów i piwnic granaty, nawoływali do opuszczania mieszkań. Pierwsze grupy osób, które opuściły palące się domy, Niemcy ostrzeliwali. Część osób przedarła się przez zaporę ogniową, część padła, inni cofnęli się do

płonących domów i najprawdopodobniej żywcem spłonęli. Wypędzonych poprowadzili Niemcy przez Wolę na Dworzec Zachodni i tego samego dnia wysłano ich do Pruszkowa".

(103) Protokół nr 6:

świadek Aleksandra Hilperowa, lat ponad 20, mężatka, zamieszkała w Warszawie, ul. Karowa 4, po opuszczeniu Warszawy w Brwinowie; protokołował Edward Serwański w sierpniu 1944 r. w Brwinowie.

„Wtorek 8. VIII. O 5 rano zaczęły się na Karowej w sąsiedztwie włamania do bram domów. Bramy zamknięte rozwalono granatami. Byli to Niemcy. Kazano nam wychodzić z piwnic i schronów, oddzielnie kobiety z dziećmi. W jedną z piwnic wrzucono granat. Po chwili wyszedł z niej zupełnie skrwawiony mężczyzna bez rąk, krwawiąc pozostałymi kikutami. Przeszedł przez dziedziniec wobec wszystkich zgromadzonych ludzi — dzieci, kobiet i mężczyzn — o własnych siłach, i zgodnie z nakazem niemieckim, aby wszyscy podnosili ręce do góry, podniósł swe skrwawione kikuty i tak wyszedł na ulicę. Wywarło to na nas wstrząsające wrażenie. W trakcie wychodzenia ze schronów pewnej liczbie mężczyzn udało się uciec podziemiami. Trzymano nas na podwórzu naszego domu przez kilka godzin. W tym czasie około 20 mężczyzn wyprowadzono przed bramę i zza ich żywej zasłony Niemcy ostrzeliwali maszynówkami, ustawionymi w bramie i w narożnym sklepie, pozycje AK. Z żywej zasłony było 3 zabitych i 2 rannych. W pewnej chwili wybrano z naszego grona 5 kobiet, które wysłano na ulicę, ostrzeliwaną ze wszech stron, celem sprzątania rannych i poległych Niemców.

Około 13 nastąpił wymarsz z Karowej. Cała prawa strona Furmańskiej była właśnie podpalona. Ludzi już z domów wyrzucono. Do Bednarskiej nie spotkaliśmy żywej duszy. Bednarską doszliśmy do Krakowskiego Przedmieścia. Krakowskie Przedmieście w naszym polu widzenia po lewej i prawej stronie było spalone. Niemcy panowali tutaj wszechwładnie. Po drodze widziałam parę leżących trupów, w tym kobiety.

Ulicą Ossolińskich poprowadzono nas na Plac Saski, gdzie nas zatrzymano przy stacji benzynowej. Trwała ustawiczna strzela-

nina i słychać było głośne huki. Tutaj nastąpił ponowny podział na grupę mężczyzn i kobiet. Około 100 mężczyzn w wieku do lat 35 odłączono i pozostawiono na miejscu, resztę starszych mężczyzn połączono z grupą kobiet i poprowadzono nas dalej. (W Pruszkowie dowiedziałam się, że z grupy odłączonych mężczyzn, którą Niemcy pozostawili na Placu, stworzyli żywą zasłonę czołgową. Mężczyzn wiązano po 10—20, względnie 30, drutem i prowadzono przed operującymi w walce czołgami. Według relatora — zam. Dobra 79 — z grupy, w której znajdował się przed czołgiem, on sam jeden został przy życiu). Wprowadzeni do Ogrodu Saskiego, znaleźliśmy się dosłownie w ogniu walk. Cały ogród był gęsto ostrzeliwany. Działa niemieckie, ustawione w ogrodzie, strzelały ze wszystkich sił. Poprowadzono nas główną aleją w stronę Żelaznej Bramy pod obstrzałem. Gdyśmy się rozbiegali, względnie kładli na ziemię, Niemcy nakazywali iść dalej, a sami chowali się za nas. Przy przedłużeniu Marszałkowskiej ogień był tak silny, że wszyscy kładliśmy się pokotem na ulicę. Było szereg ofiar wśród mężczyzn i kobiet. Plac Żelaznej Bramy był w gruzach. Wprowadzono nas między hale na barykady. Tu nastąpiło ostateczne odłączenie mężczyzn od kobiet. Doszliśmy do kościoła Karola Boromeusza. Ulice paliły się. Przemocą pod groźbą karabinów wtłoczono nas do kościoła, z którego wydobywał się dym. Żadna z nas nie chciała wejść, w tym przekonaniu, że kościół się pali, a nas chcą żywcem w nim spalić. Zatrzymane w kościele, byłyśmy głęboko przekonane, że tutaj zginiemy. Po krótkiej przerwie popędzono nas Chłodną w kierunku Woli..."

(104) Protokół nr 4:

świadek lat 45, należący do inteligencji, oraz jego syn, lat 22, zamieszkali w Warszawie, ul. Ogrodowa 55.
Opowiadanie 2 nieznanych protokołującemu mężczyzn, którzy mieli przytoczone niżej dane od wymienionych na wstępie świadków, spisał Edward Serwański w sierpniu 1944 r. w Brwinowie.

„Dnia 8. VIII nakazano na Ogrodowej opuszczać domy. W wielu wypadkach Niemcy jak gdyby przez zapomnienie rzucali granaty w domy, z których nie wywoływano mieszkańców. Mieściliśmy się w garażu naprzeciwko domu nr. 55 wraz ze sparaliżowaną matką,

lat 50. W czasie ewakuowania nas z garażu (rodzina licząca 8 osób) matki nie pozwolono nam zabrać. Garaż w naszych oczach podpalono. Matka żywcem spłonęła. O rodzinie nie mamy żadnej wiadomości".

(105) Protokół nr 7:

świadek lat 40, adwokat, zamieszkały w Warszawie, na Mokotowie; protokołował Edward Serwański we wrześniu 1944 r. w Brwinowie.

„1. VIII. Już o godz. 15 z baru Królewska nr. 17 można było odczuć pewne poruszenie wśród Niemców i jak gdyby stan pogotowia. Słychać było tu i ówdzie strzały. Niemcy natomiast zbierali się na rogu Marszałkowskiej i Ogrodu Saskiego. Zaczepiano przechodniów idących do domów. Rewidowano ich i legitymowano. Dwóch mężczyzn, po wylegitymowaniu próbujących udać się w dalszą drogę do domu, ostrzeliwano z Ogrodu Saskiego bronią maszynową. W pewnej chwili wpadli do bramy domu Niemcy z rozpylaczem oświadczając, że nie wolno nikomu wychodzić, po czym bramę zatrzaśnięto. Zarazem zatrzymały się na ulicy tramwaje, a pasażerowie, tak jak byli, schronili się także częściowo pod nr. 17. Relacjonujący nie zauważył momentu rozpoczęcia strzelaniny.

Wszyscy przechodnie wraz z mieszkańcami domu od tej chwili skazani zostali na zupełne zamknięcie. Cała grupa liczyła około 50 osób. W czasie ciągłego trwania ognia zorganizowano się w domu; poumieszczano się u zamieszkujących rodzin. Dokonano tego samorzutnie, przy serdecznym przyjęciu mieszkających.

2—3. VIII. W dniach tych ruch zewnętrzny zamarł zupełnie. Wokół toczyły się walki. Niemcy usadowili się w Sztabie Generalnym, w ruinach Ogrodu Saskiego, naprzeciwko sąsiedniej Zachęty i na Placu Saskim. AK ostrzeliwało pozycje niemieckie Placu Napoleona i Mazowieckiej. Równocześnie Niemcy operowali czołgami na trasie Królewska — Plac Saski. Artylerią czołgową i ogniem broni maszynowej ostrzeliwali AK w kierunku Hal Mirowskich. Ze specjalną ostrożnością prowadzili Niemcy akcję w Ogrodzie Saskim. W domu wydano zarządzenia aprowizacyjne celem jak najekonomiczniejszego dysponowania żywno-

ścią. Mieszkańcy korzystali ze swobody ruchów jedynie na podwórzu. Wszyscy czekali na zmianę wypadków.

4. VIII. Godzina 9 rano. Adwokat Rebelowski Leopold, lat 36, wychodząc na podwórze, trafiony został kulą, ostrzeliwany z Zachęty z odległości 15 m. Padając nieprzytomny, zdążył tylko zawołać: „Boże, ginę za Polskę!“ Dwie panie, które wybiegły na podwórze celem niesienia pomocy, zostały także ostrzelane. W 15 minut po wypadku ciężko ranny, przeniesiony do kuchni-baru — zmarł. W międzyczasie ranny został, ostrzeliwany także z Zachęty, mężczyzna lat 50, stały mieszkaniec domu. Od tego czasu, ktokolwiek pokazał się na dziedzińcu, natychmiast był ostrzeliwany.

Tego samego dnia nastąpiło pierwsze bombardowanie. Mieszkańcy, zbiegając przez podwórze do schronów, byli znowu ostrzeliwani przez Niemców z Zachęty. Spośród kilku osób, nie mających odwagi przejść na skutek niemieckiego ognia z bramy przez podwórze do piwnic, zginęła od bomb, które trafiały w dom, jedna osoba. Zabudowania zostały uszkodzone.

Od 4. VIII rozpoczęło się życie w schronie z powodu zupełnego zdemolowania mieszkań, braku drzwi, okien i szyb. Poruszanie się mieszkających było utrudnione z powodu natychmiastowego wznawiania się ognia ze strony Niemców, ile razy ktokolwiek się pokazał. Tymczasem trzeba było udawać się po wodę do piwnic, znosić rzeczy i żywność z mieszkań i na dziedzińcu wykonywać szereg czynności gospodarczych. Były wypadki, że jeden z zatrzymujących się pod nr. 17 przechodniów, blisko 2 godziny przedzierał się z parteru na piętra po rzeczy, nie mogąc uśpić czujności polujących jak na zwierzynę Niemców.

Do tego stopnia prześladowano ogniem mieszkańców, że nie było można zaryzykować sprzątania trupów. Zapachy rozkładających się ciał zatruwały powietrze. Niemcy z braku szczęścia myśliwskiego polowali na zadomowione w posesje gołębie, aż je wszystkie wystrzelali. I tak trupki gołębie leżały obok ofiar strzelaniny i bombardowania. Dom trząsł się bez przerwy od straszliwych detonacyj.

Stan ten trwał do dnia 8. VIII. Niemcy w tym czasie nie tylko że nie zaprzestali polowania, ale z doskonałych ukryć, spoza zwałów ubrań zmagazynowanych w Zachęcie, wyspecjalizowali się w strzelaniu do tego stopnia, że razili ogniem okna schronów

piwnic, wiedząc o tym, że tam się znajdują ludzie. Wszyscy sterroryzowani zostali zmuszeni do siedzenia w schronach bez wody, w ciemnościach, w chłodzie i bez żywności. Jakiekolwiek próby poruszania, udawania się po wodę, przygotowania posiłków kosztowały ofiary w rannych; kobieta i 2 mężczyzn.

8. VIII. O godzinie 9 rano przybyło z Zachęty dwóch cywilów-Polaków, wzywając wszystkich mieszkańców do opuszczenia domu. Uformował się pochód z dziedzińca, przy czym wszyscy mężczyźni musieli mieć ręce wzniesione w górę, a z okien Zachęty Niemcy ze specjalną gorliwością trzymali gotową do ognia broń w rękach. W schronach Zachęty nastąpiło rozdzielenie kobiet i dzieci od mężczyzn. Obie grupy postawiono w piwnicach rzędem pod ścianą. Niemcy, gardłując pod adresem mieszkańców, że z domu padł strzał, dokonali dokładnej rewizji mieszkań.

Z powodu pożaru przy Zachęcie nastąpiła ewakuacja grupy z domu pod nr. 17. Prowadzono wszystkich przez Plac Saski pod pomnikiem Poniatowskiego, łącząc z innymi grupami ludności cywilnej. Na Placu odłączono w całości około 40 mężczyzn, w wieku 17—36 lat, do niewiadomego celu. Małą grupę mężczyzn posłano wraz z jedną ranną kobietą bez konwoju przez ostrzeliwany ze strony AK Plac Saski i do Komendy Miasta.

Na kolumnadzie Sztabu Głównego usadowili się niemieccy oficerowie, lornetkując cały rejon.

Z grupy ewakuowanych odłączono grupę mężczyzn. Około południa doszedł pochód z Powiśla (Dobra, Bednarska) ok. 1.500 osób. Całość wprowadzono do Ogrodu Saskiego wśród gęstych strzałów od strony Placu Bankowego. Pochód przesuwał się wzdłuż okopów zaopatrzonych w broń maszynową. U wylotu Ogrodu Saskiego nastąpiła nowa segregacja 40 mężczyzn, którym nakazano iść w kierunku Placu Bankowego, obejść następnie naokoło placu fontannę i wrócić do ogrodu. Kolumna ta była ostrzeliwana. Niemcy zostali w ogrodzie. Grupę około 40 osób po powrocie następnie zrewidowano i ograbiono, podczas gdy główny pochód ewakuowanych udał się dalej w drogę w stronę Hal Mirowskich.

Po rewizji sformowano z grupy 40 na nowo kolumnę, nakazując maszerować Żabią do Hal Mirowskich pod ogniem AK z Placu Bankowego i Placu Grzybowskiego. Niemcy konwojujący chowali się w szeregach kolumny, w którą także wjechało auto. Po-

chód z powodu ognia został częściowo rozbity, samochód trafiony zatrzymał się, oficerowie w błyskawicznych skokach opuścili wóz. Kolumna dotarła na Plac Żelaznej Bramy, pozostawiając na bruku ok. 10 ofiar zabitych, względnie ciężko rannych, jakkolwiek wszyscy rzucili się na ziemię, czołgając się w kierunku wyznaczonego celu.

Relacjonujący podkreśla, że wszyscy Polacy, tworzący żywą barykadę, byli bardzo opanowani, natomiast Niemcy konwojujący z rewolwerami i bronią maszynową w rękach biegali wokół jak dzicy, ryczące głośno, popychając maszerujących, grożąc rozstrzeliwaniem przez przykładanie do głów broni, bicie i popychanie.

Przy Halach żołnierze niemieccy dochodzili do kolumny, lżąc i wymyślając od „polnische Intelligenz" jako sprawców wybuchu powstania. Tutaj znowu okradli z resztek mienie mężczyzn.

Relacjonujący z rozmów prowadzonych ze współtowarzyszami i z innych grup, odłączonych, podobnie jak i jego, od pochodów ewakuowanych, dowiedział się, że w tym samym czasie podobną grupę związali Niemcy drutami na Placu Saskim, następnie poprowadzono ją przed czołgiem w akcję. Od innego współtowarzysza niedoli dowiedział się, że przyłączono z ich pochodu ewakuacyjnego grupę mężczyzn a prowadzoną z Placu Saskiego w kierunku Hal Mirowskich Niemcy wymordowali w pochodzie przez strzelanie z broni krótkiej w nadkarcze (Genickschuss). Zginęło w ten sposób około 12 mężczyzn.

Od Hal Mirowskich prowadzono następnie grupę aż na Wolę, zmuszając wszystkich do trzymania rąk do góry. Jaką to było torturą, niech świadczy fakt, że jeden z mężczyzn, lekarz, po dojściu do kościoła na Wolę nie mógł już opuścić rąk na skutek prawdopodobnie sparaliżowania. W drodze dopadli pochód Ukraińcy, okradając do reszty maszerujących. Noc spędzono w kościele; 9. VIII nastąpił wymarsz na Dworzec Zachodni i wyjazd do Pruszkowa".

(106) Protokół nr 22:

świadek lat 22, absolwentka gimnazjalna, zam. w Warszawie, ul. Trębacka 2; protokół własny, przyjęła Halina Bożymińska z Grodziska, ul. Traugutta.

„Począwszy od dnia 3 sierpnia obserwowaliśmy w godzinach południowych przejazd czołgów niemieckich od strony Starego

Miasta w kierunku Nowego Świata. Czołgi te były w akcji zupełnie zamknięte i na błotnikach z obu stron czołgu leżeli młodzi mężczyźni w ubraniach cywilnych (o ile sobie przypominam, to nie byli oni ani przywiązani, ani związani). Czołgi te były średniej wielkości i w każdym razie nie były to tzw. „tygrysy". Przeważnie na każdym czołgu znajdowało się po 2 mężczyzn, po jednym z każdej strony. Mężczyźni na pierwszych czołgach byli ubrani w robocze kombinezony, prawdopodobnie musieli być wzięci po prostu z jakich zakładów lub warsztatów. Jak już wspomniałam, obrazki takie oglądaliśmy 3—4 dni z rzędu, począwszy od dnia 3 sierpnia, i tak jak już zaznaczyłam, powtarzały się one raczej w godzinach popołudniowych. W godzinach tych przybierały na gwałtowności i sile działania w naszej dzielnicy. Ilość tanków każdorazowo wynosiła od 6 do 10 (mniej więcej).

Nowy etap w naszym życiu rozpoczął się 9 sierpnia o godz. 12, kiedy to jeszcze przez otwór w ścianie spalonego domu nr 4 przy ul. Trębackiej wpadło na podwórze naszego domu 2 Niemców z karabinami maszynowymi w rękach wołając: „Drei Minuten, alles raus". Obaj Niemcy mówili po polsku. W międzyczasie napłynęło na nasze podwórko jeszcze 3 Niemców. Na wstępie dowiedzieliśmy się, że mamy 3 minuty do wyjścia, gdyż po upływie tego czasu cała dzielnica będzie zrównana z ziemią bombami z samolotów; w naszym więc interesie będzie wynieść się jak najszybciej. Wszyscy mieszkańcy mieli się zebrać na podwórku i ustawić czwórkami, mężczyźni na przód, kobiety i dzieci w tyle. Nie wolno było np. iść po rzeczy do piwnicy, o ile ktoś znajdował się w chwili wtargnięcia Niemców w mieszkaniu, lub też odwrotnie. O ile kogoś Niemcy zastali na podwórku lub na klatce schodowej, nie wolno im było ruszać się w ogóle po żadne rzeczy. Zgodnie z rozkazem wszyscy zebrali się na podwórku, naturalnie jeszcze przed upłynięciem owych 3 minut. Pomimo tego przetrzymano nas jeszcze na podwórku co najmniej 20 minut, w którym to czasie wymyślano nam w ordynarny sposób, że pomagamy bandytom, bo gotujemy im jedzenie, nosimy broń, kopiemy przejścia z jednego domu do drugiego itp. Wszystkie tego rodzaju przemówienia były przerywane strzelaniem z karabinów maszynowych w górę lub w okna. W pewnym momencie wyciągnięto z szeregu właściciela domu i kazano mu iść razem z Niemcami na górę jednej z klatek schodowych,

prawdopodobnie, żeby razem podpalić dom. Właściciel ów, pan w wieku ok. 60 lat, chory na serce, zemdlał na schodach, został więc natychmiast zabity przez owego Niemca. Teraz przystąpiono do zapalania domu: podpalano każde piętro osobno (płytkami), na dole meble oblano benzyną i podpalono. To wszystko działo się w naszej obecności; wyprowadzono nas następnie na sąsiednią posesję, gdy dym gryzł już w oczy. Prowadzono nas nie ulicami, ale przez dziury wybite w ścianach lub piwnicach, przy czym dawano minimum czasu do przelezienia przez wszystkie te otwory. Prowadzono nas z podwórka na podwórko, gdzie powtarzały się mniej więcej te same sceny. Wszędzie podpalano dom w naszej obecności i wyprowadzano dopiero wtedy, gdy zaczynaliśmy się już dusić od dymu. Cały czas towarzyszyło nam strzelanie z karabinów ręcznych dla jak największego zastraszenia nas. Strzelano do ołtarzyków na poszczególnych podwórkach (np. w takt jakiegoś fokstrota granego na pianinie w zapalonym już przez Niemców mieszkaniu), do okien, do różnych kadzi z wodą, psów, w górę dla postrachu i wreszcie do ludzi, którzy byli chorzy lub starzy i nie mogli iść wystarczająco szybko, lub gdy nie mogli dać sobie rady z przejściem przez te wszystkie dziury, piwnice itd. W naszych oczach została zabita staruszka w wieku ok. 70 lat i druga kobieta młodsza, która miała nogę w aparacie. Na jednym podwórzu nastawiono na nas karabin maszynowy i nałożono nową taśmę nabojów ze słowami: „Jeżeli ktokolwiek się ruszy, zostaniecie wszyscy rozstrzelani". W tym czasie przystąpiono do zabierania nam zegarków, pierścionków, bransoletek itp. kosztowności. Zaznaczam, że cały czas jesteśmy w rękach oddziałów SS, a nie Ukraińców. Następnie usłyszeliśmy, że jeżeli nie oddamy win, wódek, jakie mamy przy sobie, żołnierze przystąpią do rewizji naszych rzeczy. Nadmienić trzeba, że prawie wszyscy SS-owcy są już częściowo nietrzeźwi. Wymyślają nam (kobietom) coraz ordynarniej, że Polki to prostytutki, a nawet używają jeszcze ostrzejszych wyrazów, że każda z nas ma brata-bandytę polskiego, męża-bandytę polskiego lub syna-bandytę polskiego.

Taki makabryczny marsz z podwórka na podwórko piwnicami i ceremonie podpalania wszystkich domów, w czasie których terroryzuje się coraz większą ilość osób (bo mieszkańców nowych domów dołącza się coraz do nas) strzelaniem, rzucaniem w nas gra-

natów, wymyślaniem i straszeniem, trwa dość długo, gdyż z Trębackiej nr 2 do podziemi Teatru Wielkiego prowadzono nas 4 godziny. W pewnym momencie wypędzono nas z podwórka przy ul. Focha nr 6 lub 8 na barykadę przy ul. Daniłowiczowskiej. Za nami postępują pokuleni SS-mani. Po paru minutach od naszego ukazania się na ulicy, strzały spoza barykady milkną, dostajemy wtedy rozkaz skierowania się do Teatru Wielkiego. Docieramy tam spokojnie. Najpierw mężczyźni, potem my, kobiety, a wreszcie SS-mani. Po schodach wprowadzają nas do piwnic gmachu Opery. Mężczyźni zostają oddzielani i odprowadzani na inne skrzydło. Kobiety mają pozostać w wyżej wspomnianych podziemiach.

Zastajemy tam dużo kobiet; jedne przebywają tu już od chwili wybuchu powstania, gdyż działania zaskoczyły je na Placu Teatralnym lub w jego pobliżu, inne kobiety zostały tu przyprowadzone w ciągu 7, 8 i 9 sierpnia przez oddziały SS-manów z pobliskich punktów. Od kobiet „miejscowych dowiadujemy się, że Niemcy pojawili się tu dopiero od kilku dni. Warunki higieniczne w podziemach fatalne. Naturalnie ciemno, brudno, duszno, słoma, która służy za posłanie, gnijąca, bo poprzednie transporty nie tylko spały na niej, ale i załatwiały potrzeby fizjologiczne; ze ścian niemal kapie woda. Na dobitkę dowiadujemy się, że SS-mani miejscowi, którzy mają swoje kwatery na piętrze, wyciągają młode dziewczyny i gwałcą. Nastrój fatalny, przygnębienie okropne. W krótkim czasie po naszym przybyciu do podziemi Opery ogłaszają nam, że kobiety z dziećmi do lat 12, kobiety ponad 60 lat, a potem dodano także, że i ponad 50, oraz wszyscy obcokrajowcy mają się zebrać przed Teatrem. Zebranych przed Teatrem odtransportowano od razu podobno na Dworzec Zachodni i do Pruszkowa.

Po prowizorycznym zagospodarowaniu się w podziemiach staramy się dowiedzieć, co się stało z mężczyznami zabranymi do transportu. Dowiadujemy się, że zostali oni rozstrzelani w Operze. Z początku nie wierzymy, ale wiadomości te ciągle się powtarzają, w końcu jedna z kobiet, której zabrano syna 20-letniego i męża, zapytuje komendanta całego punktu „Opera“, co się stało z naszymi mężczyznami, i otrzymuje odpowiedź: „Rozstrzelani“, i na jej odruchowe „niemożliwe“ padają znów słowa komendanta: „Sam ich rozstrzelałem“. Po takim oświadczeniu nastrój wśród

nas pogarsza się jeszcze, a poza tym zaczynamy utwierdzać się w naszym przekonaniu, że nas czeka taki sam los.

Około godz. 20 ogłaszają nam, że na parterze w kwaterach wojska wydaje się dla wszystkich kawę. Każda kobieta musi się sama zgłosić osobiście po kawę, gdyż wydają tylko jedną porcję. SS-manom chodzi o to, aby mieć przegląd wszystkich kobiet; te, które się podobają, zostają zatrzymane na noc. I od tego nie ma żadnego odwołania, żadnej apelacji, do nikogo nie można zwrócić się o pomoc, bo wszyscy SS-mani, od komendenta począwszy do najniższych, czynią to samo, razem piją i razem szukają ofiar do gwałtu. Po kawę widać zgłosiło się za mało kobiet (z naszego transportu w każdym razie nie poszła żadna), gdyż wkrótce padł rozkaz, że 8 kobiet ma się zgłosić do mycia naczyń. Zgłosiły się specjalnie same starsze, kazano im wracać i przysłać młode. Po kilkakrotnych ponaglaniach 8 młodych kobiet (w wieku lat 20—30) poszło na górę i wróciły dopiero następnego dnia rano. Naturalnie wszystkie zgwałcone, zupełnie nieprzytomne, że rozmawiać z nimi było trudno.

9 sierpnia, to jest tego dnia, kiedy przyszłyśmy do Teatru, o godz. 21 kazano wszystkim iść spać, pogasić świece i zachować kompletną ciszę, bo wojsko jest zmęczone. Noc przeszła względnie spokojnie. Pobudka była o godz. 8 rano następnego dnia. Naturalnie o myciu nikt nie myślał, gdyż ubikacje i krany znajdowały się na parterze, gdzie były kwatery wojska. Po kawę też rzadko która odważyła się iść. Skulone, siedziałyśmy na słomie wszystkie razem, modląc się, nie orientując się zupełnie w czasie. Kilka razy w ciągu dnia przychodziły rozkazy, żeby natychmiast tyle a tyle kobiet zgłosiło się do rozbierania barykad. Gdy po rozkazie zgłoszenia się 30 kobiet zgłosiło się tylko 10, była wielka awantura, wymyślano nam, że wszystkie będziemy wypędzone na barykady lub rozstrzelane, zabrano 20 brakujących i chwilowo był spokój. Grupa wyżej wymienionych 30 kobiet stawiała w dniu 10 sierpnia barykadę w południe najpierw w poprzek ulicy Wierzbowej (ok. Loursa), następnie w poprzek ul. Fredry. Wszystkie te kobiety stwierdzały w opowiadaniu, że nie były one ostrzeliwane przez powstańców. Grupa, budująca barykadę przy ulicy Wierzbowej, opowiadała, że najwyższa spośród nich kobieta została postawiona na wysokim stole jako cel pośrodku tej ulicy,

a następnie wszystkie 29 pracowały, aby barykadę tę ustawić jak najszybciej. Cały czas były one naturalnie pilnowane przez Niemców z karabinami. W drodze powrotnej musiały pozbierać wszystkich rannych Niemców i odnieść do pałacu Brühla. Jako nagrodę za pracę mogły otrzymać po powrocie do Opery podwójną porcję zupy, którą nam tego dnia wydano. W porze obiadowej jeden z żołnierzy, wałęsających się po podziemiach, zaczął interesować się jedną z koleżanek z naszego punktu z ul. Trębackiej i gdyby nie przytomność innej koleżanki, która zdjęła cudem ocalały złoty zegarek i ofiarowała go Niemcowi, byłaby nasza koleżanka dzieliła los wielu młodych dziewczyn zaciągniętych na górę. Gdyby broniła się zawzięcie, zostałaby zastrzelona. Tego dnia o godz. 18 Niemiec, naturalnie nietrzeźwy, zaczął atakować ofiarodawczynię złotego zegarka i mnie, a kiedy sytuacja była naprawdę bez wyjścia, jak cud padł rozkaz natychmiastowego opuszczenia Teatru. Zrobiło się zamieszanie, podniesionym tonem nawoływano wszystkich Niemców, i tylko w ten sposób ocalałyśmy. Niestety takich szczęśliwych jak my — 3 młode — było bardzo mało.

Zgodnie z rozkazem miałyśmy zabrać nasze rzeczy, ustawić się czwórkami i iść na górę po schodach Opery. Zdenerwowanie u wszystkich prawie się powiększa, padają pytania: „Czy nas rozstrzelają?“ Po dojściu na górę patrzymy w dół wypalonego budynku, leżą tam ciała mężczyzn zabitych, część tych mężczyzn ubrana w mundury niemieckie. Niewiele z tego rozumiemy i w każdym razie mamy przeświadczenie, że za chwilę nas rozstrzelają. Wtedy nowy rozkaz: „Schodzić dwójkami powoli w dół do ruin, a potem możecie już schlafen“. Takie powiedzenie utwierdza nas jeszcze bardziej w przekonaniu, że teraz już naprawdę nas rozstrzelają. W międzyczasie z różnych zakamarków wysuwają się Niemcy i wyciągają z szeregu co młodsze kobiety i giną z nimi w ruinach. Na szczęście okazuje się niedługo, że jeszcze nas nie rozstrzeliwają, lecz każą iść do pałacu Brühla, tam nas nie przyjmują, ale kierują pod pomnik Księcia Józefa Poniatowskiego, tam nas odsyłają w stronę ulicy Ossolińskich. Kierujemy się tam chętnie, zresztą jest nam wszystko jedno gdzie, byle jak najprędzej, jak najdalej od Opery. Tym razem punktem zbornym są warsztaty samochodowe przy ul. Ossolińskich. Czekamy tam ok. ½ godziny na inne transporty. Przychodzą coraz to nowe grupy, przeważnie

same kobiety z dziećmi, mężczyzn prawie nie widać. O mężczyznach z naszego domu nic prawie więcej nie dowiedziałyśmy się.

Między godz. 20 a 21 wyprowadzono nas z ul. Ossolińskich przez Plac Piłsudskiego ok. Grobu Nieznanego Żołnierza (na grobie tym był zachowany wtenczas znośny porządek), przez Ogród Saski, ulicą Graniczną, Placem Żelaznej Bramy, ul. Chłodną, Wolską do kościoła św. Stanisława na Woli. Cały czas żerowali wokół nas Ukraińcy i Niemcy, zabierając, co się tylko dało, a więc: walizki, pledy, torebki, palta, peleryny, pierścionki, zegarki, bransoletki, paczki ręczne i w ogóle co tylko się dało. Naturalnie cały czas słyszymy przeróżne docinki na temat bohaterskich wyczynów naszych „bandytów".

Noc z 10 na 11 sierpnia spędziliśmy w podziemiach kościoła św. Stanisława, gdzie znów kilka młodych kobiet zostało wyciągniętych z szeregu przez Niemców i pomimo szalonego oporu i szlochu przepadły. Dnia 11 sierpnia z rana ok. godz. 7 wyprowadzono nas z kościoła na Dworzec Zachodni, gdzie ok. godz. 9 wpakowano nas w pociągi w kierunku Pruszkowa. My trzy, najmłodsze z naszego punktu, postanowiłyśmy uciekać za wszelką cenę, co nam też szczęśliwie się udało. Uciekłyśmy z pociągu, w czym pomógł nam kolejarz-Polak. Będąc już na wolności dowiedziałyśmy się, że jeden z mężczyzn z ul. Trębackiej nr 2 dał znać z drogi, gdy wieziono go w transporcie do Niemiec. Nadmienił o kolegach, że rozpędzono ich 10 sierpnia na Placu Żelaznej Bramy. Co się z nimi działo po tym czasie, nie wiadomo. W każdym razie okazało się, że komendant Opery własnoręcznie nie mógł ich rozstrzelać 9-go wieczorem".

(107) Protokół nr 248:

świadek lat 42, zamieszkały w Warszawie, ul. Miodowa 7.
Imienia i nazwiska świadka oraz dokładnego adresu warszawskiego, znanych komitetowi redakcyjnemu, celowo nie podano z uwagi na treść protokołu; protokołowała Irena Zgrychowa dnia 11. X. 1944 w Łowiczu.

„Dnia 2. IX. 1944 r. od trzech tygodni siedzieliśmy zgłodniali w piwnicy. Wszyscy już dawno wyszli, ja siedziałam z trojgiem dzieci; dwoje starszych było rannych: córka lat 14 i chłopak — 12; najmłodsza córka lat 7, osłabiona z głodu. Ciemno i strasznie było w piwnicy, przestaliśmy odróżniać dzień od nocy i tylko modlitwa

i wiara w zwycięstwo trzymała nas przy życiu. Raz nie miałam czasu opatrzyć rannych, bo nawet wody było mało, a ta, co była — brudna. Nie było nikogo, ni naszych, ni wrogów. Tylko samoloty latały, siejąc zniszczenie i lęk. Aż dnia 2 września usłyszałam głosy, byli to tzw. Ukraińcy; zaczęli krzyczeć, żeby wychodzić, to dadzą nam chleba, jeśli mamy złoto. Miałam ślubną obrączkę , wyczołgałam się jakoś z piwnicy, ale mi chleba nie dali, tylko rzucili się na mnie żołnierze i jeden po drugim gwałcili. Było ich kilkunastu — ilu nie wiem, bo straciłam siły do walki; początkowo gryzłam, kopałam, szarpałam, a potem spadłam z sił i straciłam przytomność, dopiero płacz dzieci mnie obudził. Na drugi dzień mnie i dzieci znalazły siostry Czerwonego Krzyża ze szpitala u Karmelitów, gdzie zaopiekowano się nami bardzo serdecznie i przewieziono do szpitala św. Rocha".

(108) Protokół nr 96:

świadek Irena Zgrychowa, lat 35, nauczycielka;
protokołowała Irena Trawińska 15. IX. 1944 w Podkowie Leśnej.

„Było to w końcu sierpnia 1944 r. Do szpitala Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskim Przedmieściu przyniesiono ranną kobietę w wieku lat przeszło 50. Opowiadała mi, że jest mieszkanką domu przy ul. Miodowej nr 7, że gdy razem z rodziną i innymi lokatorami siedziała w piwnicy, wpadli „Kałmucy" żądając złota i kosztowności. Ponieważ złota nikt nie miał, zaczęli się znęcać nad ludźmi. Opowiadającą, wyciągniętą na ulicę, gwałciło kilku, po czym porzucili ją na ulicy. Do piwnicy, gdzie znajdowało się kilka osób, zwłaszcza mężczyzn, rzucono granat".

(109) Protokół nr 160:

świadek mężczyzna nieznanego nazwiska,
zamieszkały w Warszawie, Krakowskie Przedmieście;
protokołował A. Bolesław Kostrzyński, aktor, w październiku 1944 w Brwinowie.

„W dniu 8—9 sierpnia Niemcy i Ukraińcy opanowali Hotel Saski na ul. Koziej. Rozstrzelano 40 osób, mężczyzn. Kobiety wyprowadzono. Kilku mężczyzn uciekło, wydostali się na nasze linie

od strony Senatorskiej, stąd relacje. Rozstrzelani ustawieni byli dziesiątkami na różnych piętrach i klatkach schodowych, ginęli od kul zadanych z tyłu. Jeden z tych, którzy uciekli, zdawał relację (nazwisko nieznane), miał na płaszczu ślady mózgu jednego z owych, który stał za nim. NN, również szczęśliwiec, który uciekł, potwierdzał to, ojciec jego został na miejscu kaźni. NN uciekał przez Ministerstwo Rolnictwa, strzelano za nim. Po egzekucji gmach Hotelu Saskiego nr 5 spalono".

(110) Protokół nr 19:

świadek Schöneich, lekarz, zamieszkały w Warszawie, Krakowskie Przedmieście.

„Krakowskie Przedmieście 5. W piątek dom zaczął płonąć. Niemcy otoczyli go i podpalili nic nie mówiąc ludności. Powstańców tam nie było. Powstał popłoch między lokatorami w schronie, jednego z nich, Volksdeutscha, skłoniono, aby wyszedł do Niemców i prosił o pozwolenie wyjścia. Zgodzili się początkowo tylko na to, aby kobiety i starsi mężczyźni wyszli, ale po dalszych pertraktacjach pozwolili wszystkim opuścić płonący dom i popędzili ludność na Krakowskie Przedmieście, na plac pod pomnik Kopernika. Było tu ze 2 tys. ludzi, wokoło domy płonęły.

Nadjechały czołgi — oddzielono mężczyzn od kobiet z dziećmi. Gdy jeden z własnym dzieckiem chciał zostać między kobietami, ustawionymi pod czołgami, podszedł do niego żołnierz i trzema strzałami położył go trupem na miejscu. Kobiety pędzono pod czołgami w kierunku Nowego Świata. Raz rozpętała się straszna strzelanina. Ze wszystkich stron kulki świstały. Potem kazano nam wrócić pod pomnik i stąd popędzono na Plac Piłsudskiego. Było tu dużo czołgów i wojska. Przeprowadzono je [kobiety] do Ogrodu Saskiego i stąd kazano iść jako ochrona do zbierania rannych żołnierzy pod Żelazną Bramę. Musiały iść wyprostowane, choć przy nich żołnierze niemieccy czołgali się po ziemi, gdyż ze wszystkich stron świstały kule. Zebrały 2 żołnierzy i po odtransportowaniu ich do Ogrodu Saskiego wróciły na Plac Żelaznej Bramy. Wyważono żelazne odrzwia, a po drugiej stronie Hal powitały je oddziały polskie. Wzruszenie było tak ogromne, że ludzie głośno płakali i krzyczeli, jeden dostał ataku i umarł na miejscu.

Trzy dni przetrwali [wszyscy] na ul. Żabiej w schronie kamienicy, i w poniedziałek znowu dostali się w ręce niemieckie. Popędzili ich Niemcy na ul. Chłodną. Kazali mężczyznom się odłączyć. Dwóch młodych wyrostków wkręciło się między niewiasty. Zauważyli ich Niemcy, zawołali i kazali zawrócić. Nie uszli dwóch kroków, kiedy obydwóch zastrzelono. Kobiety pędzono ul. Chłodną, która płonęła, czarna od dymu. Omijać trzeba było rozwalone zgliszcza. Trupy zwęglone wszędzie leżały. W jednym miejscu leżał cały stos, ułożony ze spalonych zwłok".

(111) Protokół nr 130:

świadek Piotrowska, zamieszkała w Warszawie, Krakowskie Przedmieście; protokołowała „Ż" dnia 8. X. 1944 r.

„Pani NN została wypędzona przez żołnierzy niemieckich razem z innymi mieszkańcami domu przy ul. Krakowskie Przedmieście nr. 7 w dniu 5. VIII o godz. 11, min. 30. Wypędzono pośpiesznie nie pozwalając zabrać rzeczy. Pani NN, którą żołnierze zastali na klatce schodowej, nie pozwolono wrócić do mieszkania nawet po torebkę. W mieszkaniu pozwolono zostać 86-letniej matce i rannemu, pod opieką dwóch pań. „Sie können ruhig bleiben" — mimo że dom był już wówczas podpalony (o czym te panie nie wiedziały).

Wypędzonych z domu skierowano pod pomnik Kopernika. Na Krakowskim Przedmieściu stał szereg „tygrysów", zwróconych w stronę Nowego Świata, z lufami skierowanymi na zebrany tłum. Z tłumu pozwolono wyjść niektórym starszym osobom i kobietom z dziećmi, kierując je na ul. Królewską; resztę, zapewniając, że im nic nie grozi, popędzono na Nowy Świat do ul. Świętokrzyskiej, i pod tą żywą osłoną zaczęto atak na barykady. Ludzie padali ranni, część starała się chować pod murami domu. „Tygrysy" strzelały. Pierwszy atak nie udał się. Tych, co jeszcze żyli, z tych 50 osób (było wielu rannych) popędzono po raz drugi. W tym drugim ataku został zabity dowódca niemiecki i Niemcy wycofali się, zostawiając rannych.

Tłum popędzono znowu pod Pałac Staszica, po czym po dłuższej naradzie i zapewniając znowu, że nic im nie grozi, popędzono ich przez Plac Saski i pomnik Nieznanego Żołnerza od Ogrodu Sas-

kiego pod obstrzał. Tam pod osłoną tłumu kazano kilku wybranym ludziom zebrać kilku rannych Niemców w Ogrodzie Saskim. Z barykady polskiej nie strzelano. Po zebraniu rannych kazano wszystkim iść dalej do Żelaznej Bramy. Tam dopiero ludzie zorientowali się, że konwój niemiecki cofnął się. Wobec tego wyważono bramę i wydostano się z Ogrodu Saskiego, gdzie jak się okazało, byli już powstańcy i można było przedostać się przez ul. Graniczną, Twardą do Śródmieścia. Opowiadanie pani NN potwierdzają panowie X i Y".

(112) Protokół nr 31:

personalia świadka i protokolanta poniższych zapisków są redakcji nieznane.

„Zaobserwowałem grupę cywilów na Krakowskim Przedmieściu, tam gdzie widniał napis: „Jedź z nami do Niemiec". Osób spędzonych mogło być około 200. Stali pod eskortą. Skoczyłem do oddziału na ul. Świętokrzyską. Byli wszyscy w pogotowiu, z granatami i butelkami z benzyną. Teraz ruszyły ku nim 3 czołgi niemieckie. Dały salwę z armaty, uszkodziły domy, zbliżyły się do barykady na rogu ul. Czackiego i Świętokrzyskiej. Tu kazano spędzonej ludności cywilnej rozbierać przeszkody, ale ludzie pracowali bardzo opieszale. Nasi ruszyli do ataku. Padło kilku cywilów, dużo SS, żandarmów. Jeden z czołgów otoczony był konwojem 50 cywilistów. Tym udało się przeczołgać na naszą stronę i uratować się. Miałem zamiar przeprowadzić atak na Komendę PP i wyprzeć stamtąd Niemców. Okazało się to niewykonalne z powodu braku odpowiedniego sprzętu. Niemcy bowiem wywiercili sobie wąskie strzelnice w murze, w otwory te niewyćwiczony żołnierz nie mógł trafić z ręcznej broni. Armat nie było. Bitwa ta jednak przyniosła rezultat dodatni: uprzedzono i odparto napór czołgów oraz wyswobodzono pewną ilość ludności cywilnej. Ludziom tym kazano kołować dla osłonienia ruchów wojska niemieckiego, kazano kopać doły dla trupów. Jednak wobec naszej silnej obrony przeciwczołgowej reszta spędzonych 200 osób cywilnych zgrupowana została pod pomnikiem Kopernika i wyprowadzona przez Ogród Saski z miasta".

(113) Protokół nr 235:

świadek Stanisław Stefaniak, urzędnik biurowy, lat 39, zamieszkały w Warszawie, ul. Marszałkowska 118; protokół spisany dnia 23. XI. 1944 r.

„W środę, czwartego tygodnia powstania, Niemcy przeprowadzili nas przez Ogród Saski, na który gęsto padały pociski artyleryjskie. W chwili gdy doszliśmy do Ogrodu, pośród płomieni i ognia Niemcy kazali nam iść naprzód mimo pocisków, grożąc, że w przeciwnym razie będą do nas strzelać z tyłu. Poszliśmy. Było nas około 40 osób, w tym więcej niż połowa kobiet i dzieci. Spośród tych wszystkich przeszło nas zaledwie 11 osób. Pozostali ranni i zabici byli pozostawieni własnemu losowi, ponieważ gdy usiłowaliśmy podnieść jednego z towarzyszów, padł strzał z tyłu, oddany przez jednego z konwojentów, i zabił mego kolegę, schylającego się nad rannym".

(114) Protokół nr 91:

świadek Helena Boczakowska, lat 36, robotnica, zamieszkała w Warszawie, ul. Freta 16; protokołowała Apolonia Czelna.

„Ranna w nogę, leżałam w szpitalu przy ul. Długiej nr. 7. Dnia*) .... IX. po południu siostry wyprowadziły lżej rannych na rozkaz Niemców. Pozostali na sali ciężko ranni, leżący na łóżkach, siennikach i noszach. Wypadki toczą się z błyskawiczną szybkością. Wpada 8 Niemców SS. Jeden staje przy drzwiach, mimo woli zasłaniając mnie swoją postacią. Do dziś dnia nie mogę sobie uprzytomnić, jakim sposobem ze swoją zranioną nogą zwinęłam się w kłębek i wtuliłam się w najdalszy kąt łóżka. Drugi SS-man wydobył rewolwer z pochwy i wykrzykując wciąż po niemiecku, z czego zrozumiałam tylko słowo: „Bandit", chodził od rannego do rannego, przykładał każdemu broń do czoła i strzelał. Jakaś siła kazała mi patrzeć na kulące się na posłaniach postacie, za wszelką cenę broniące się przed śmiercią. Nieubłagana ręka oprawcy odrywała przykrycie z głowy ofiar i z zimną krwią, wśród przekleństw każdemu pakował kulę w głowę. Po wykonaniu tego morderca raz jeszcze obejrzał swoje ofiary. Dwie z nich ruszały się i jęczały w przed-

*) W protokole nie podano dnia, miesiąca (Red.)

śmiertnej agonii. Podszedł do nich i posłał im jeszcze po jednej. Trwało to wszystko kilka minut. Ja się uratowałam tylko dzięki temu, że moje łóżko stało w samym kącie, tuż za drzwiami. Drzwi, otwierające się do wewnątrz sali, były jakby parawanem. Stojący przy drzwiach SS-man, zauważywszy mnie na łóżku, machnął mi ręką, żebym siedziała cicho; a różne torby sanitarne sióstr (którym nic nie pozwolono zabrać), zwalone na łóżku, robiły wrażenie graciarni.

Wyszli. Słychać było z innych sal pojedyncze strzały. Spojrzałam na kałuże krwi pod łóżkami, na wykrzywione maski pośmiertne naszych żołnierzy. Cisza cmentarna. Przejęta nieopisanym strachem, wyskoczyłam z łóżka boso, jedynie w koszuli, wyszłam na podwórze, podtrzymując się o ścianę. Potykam się o trupa jakiegoś młodego chłopca (14, 15 lat). Nie wiem, kto i gdzie okrył mnie płaszczem. Wyszłam na Podwale. Dotarłam do Placu Zamkowego, stamtąd do OO. Karmelitów i dalej potem do Milanówka do szpitala".

(115) Protokół nr 90:

świadek Apolonia Czelna, zamieszkała w Warszawie, ul. Krochmalna 89; protokołowała Irena Trawińska dnia 15. IX. 1944 w Podkowie Leśnej.

Dnia 2. IX. 1944 od rana zaczęli się zjawiać Niemcy; około południa przybył oddział z podoficerem i zaczął zabijać rannych. Podoficer zatrzymywał się przy każdym młodszym rannym, zrywał mu koc i krzycząc: „Bandit" zabijał na łóżku; w moich oczach na moim oddziale zabito 6 chłopców z AK. To samo dzieje się na innych salach, skąd dobiegają liczne strzały. O godz. 14 napłynęły całe masy Niemców i Ukraińców, którzy popili się i zaczęli grasować na terenie szpitala. Wpadli na salę i wśród wrzasków i gróźb odbierali rannym i personelowi zegarki, pieniądze i kosztowności, zaznaczając, że „bandytom" te rzeczy nie są potrzebne, bo i tak będą rozstrzelani. O godz. 16 zarządzono ewakuację szpitala (personel i chodzący ranni mieli wyjść natychmiast, ciężko ranni mieli pozostać; powstał chaos i zamęt nie do opisania). Ranni i chorzy dźwigali się nadludzkim wprost wysiłkiem; sanitariuszki i zdrowsi wszystkimi siłami i z największym bohaterstwem dopomagali rannym do powstania z łóżek i opuszczenia szpitala. (Na mojej sali

niestety musiało pozostać 15 ciężko rannych; wyniesienie ich było niemożliwe, bo zakazano wynoszenia chorych na noszach, i ci, którzy zostali wyniesieni na noszach, byli przez dalsze kontrole na ulicach zabijani. Były wypadki, że w obliczu tego niebezpieczeństwa rannych noszonych na noszach chwytano pod ręce i podtrzymując przeprowadzano. Wyraźnie żołnierze mieli surowy nakaz dobijania ciężko rannych i ewakuowania lekko rannych). Ze szpitala przedzieraliśmy się na Plac Zamkowy, pochód był straszny. Przez zwały gruzów, palące się domy, rozpadające się zgliszcza prowadziliśmy rannych bosych, nagich. Niemcy, kontrolujący nas co kilkanaście metrów, dobijali bardziej upadających na siłach, a nawet potykających się tylko, odciągając ich na bok i rozstrzeliwując w naszych oczach; zostawiliśmy po drodze masę trupów.

Szły tłumy, bo po drodze złączyliśmy się ze szpitalem z Podwala, również w tym czasie ewakuowanym; dosłownie z moich ramion oderwano staruszka, któremu dopomagałam przejść; błagałam Niemców, by go przepuścili, kazali mi iść dalej — staruszka zabili. Tak idąc dotarliśmy do kościoła Karmelitów i do Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskim Przedmieściu. W opuszczonym przez nas szpitalu na ul. Długiej pozostali ciężko ranni, o których losie później mówiono, że byli maltretowani różnymi konrtolami niemieckimi i Ukraińców, stopniowo rozstrzeliwani, a reszta pozostawiona na pastwę losu w płonących domach (są świadkowie naoczni). Niemieckie oddziały, działające na terenie naszego szpitala, złożone były z SS-owców".

(116) Protokół nr 120:

świadek Julia Lubowicka, zamieszkała w Warszawie, ul. Przyrynek 15; protokołowała Apolonia Czelna w październiku 1944 r. w Milanówku.

„Boże, to chyba siostra z ul. Długiej!" — krzyknęła chwytając mnie za rękę. — „Jakim cudem siostra wyszła z tego piekła?" Długo nie mogła nacieszyć się moim widokiem, jakby spotkała najbliższą sobie osobę, którą już dawno pogrzebała. Po długiej chwili

rozpoznałam w niej jedną z rannych mojego szpitala. „Kiedy pani wyszła? Niech pani wszystko opowie".

„Wyszłam 2. IX. Uważam to za największy cud, jakiego kiedykolwiek doznałam w życiu, inaczej tego nie mogę tłumaczyć, bo powinnam być co najmniej żywcem spalona, albo przedtem powinnam była postradać zmysły. Żadne pióro nie opisze, żadne słowo nie wypowie, a ten, kto sam nie przeżył osobiście podobnych scen, nie będzie nawet w stanie zrozumieć tej całej makabry, jaka się działa na ul. Długiej 7. Siostrze mogę i chcę opowiedzieć, lżej mi będzie na duszy, bo mnie wciąż męczą jeszcze do dziś dnia koszmarne sny. Ten szpital powinien przejść do historii jako jeden z najsłynniejszych terenów mordów popełnionych przez Niemców na Polakach" — wyrzuciła z siebie z największym oburzeniem.

„Od samego rana rozpoczęła się wędrówka różnych oddziałów SS po salach. Przychodzili z początku po dwóch. Rozejrzeli się po sali, poszli dalej wyzywając od bandytów. Przychodzili także pojedynczo, każdy złowrogo nastawiony. Rewolwery przykładali do czoła mężczyznom, grozili rozstrzelaniem. Po paru godzinach podwórze szpitala zaludniło się oddziałami Niemców i Ukraińców i z każdą godziną coraz więcej ich napływało. Porozłazili się po całym szpitalu. Słyszę pojedyncze strzały. Dowiaduję się od sióstr, że na innych salach rozstrzeliwają rannych. Stoję przy oknie i obserwuję ruch na podwórzu. Jedne oddziały wchodzą, po chwili słychać strzały — wychodzą. Przyszło kilku żołnierzy na naszą salę, wściekli, nieubłagani, z rewolwerami w rękach, i brutalnie ściągając przykrycie z rannych chłopców, krzycząc „Bandit" strzelali w głowę. Na mojej sali były prawie same kobiety i kilku młodych mężczyzn. W moich oczach rozstrzelali 2. Na następnej sali, gdzie byli sami mężczyźni, przeważnie starsi i kilku młodych, padło ofiarą 4-ch. Jeden z nich, silny, dobrze zbudowany, młody mężczyzna, męczył się pół godziny, a może i dłużej, póki przyszła nowa partia Niemców wraz z Ukraińcami i jeden z nich dobił ofiarę. Znów dochodzą odgłosy strzałów w różnych salach. Już wtedy nie miałam wątpliwości, że każdy strzał oznaczał jedną śmierć. Znęcali się, pastwili się nad nimi bezlitośnie, aż wreszcie padł rozkaz około 4 po południu wyjścia ze szpitala. Ci, którzy mogą chodzić,

mają wyjść, reszta ma pozostać. Siostry pomagają lżej rannym wychodzić.

Ja, mimo że nogi miałam zdrowe, postanowiłam pozostać. Byłam ranna w rękę. Widziałam całe pochody ciągnące przez podwórze w stronę Podwala. Szła ludność cywilna, która się znajdowała w obrębie szpitala, wspomagając rannych; siostry prowadziły tych rannych, których zdołały ze sobą zabrać; szli ranni pojedynczo sami, szli ranni pomagając rannym kolegom, szli staruszkowie dźwigając toboły na plecach, szły kobiety zdrowe, szły kobiety ranne. Ranni, przeważnie boso i na wpół nadzy, opierając się na szczotkach do zamiatania, na innych towarzyszach niedoli. Szli przez szpaler żołdactwa, które krzyczało, popychało, popędzało opieszałych. Szturchani karabinami, kopani nogami. Jak długo trwała ta pielgrzymka, trudno powiedzieć: może godzinę, może trochę więcej. Przepłynęła fala chodzących. Pozostali tylko ciężko ranni i ci, którzy mogliby wyjść, ale się bali albo nie chcieli. Znów wtedy wrócili Niemcy gromadnie na salę, znów kazali chodzącym wychodzić. Ostatnim wysiłkiem znów zaczęli wychodzić ranni na podwórze. Byli to już sami ranni. Radzili sobie jak mogli i posuwali się żółwim krokiem. Tych zatrzymywali przy wyjściu do bramy, ustawili szeregiem i siekli z ręcznych karabinów maszynowych. Było słychać coraz to częstsze pojedyncze strzały na innych salach: a więc rozstrzeliwali innych na miejscu.

Wreszcie podpalili szpital z kilku stron i stali, dopóki płomień ogarnął gmach.

Już zaczęło szarzeć. Wybiegłam na podwórze i skryłam się do piwnicy z węglem. Przesiedziałam tam ze 2 godziny. Wyszłam z piwnicy. Beczki, które stały na podwórzu, buchały ogniem i płomieniem: widocznie były polane benzyną. Okręciłam głowę mokrą szmatą i wśród żaru przebiegłam przez podwórze do bramy na ul. Długą. W bramie leżało kilkudziesięciu rannych, którzy zdołali wypełznąć z płonącego gmachu. Na niektórych paliły się bandaże, ubrania. Jeden jęk i wołanie o ratunek. Wybiegłam na ulicę. Przeżyte obrazy, pożar, jęki i płacz rannych rozsadzały mi czaszkę.

Jakoś szczęśliwie przybyłam do OO. Karmelitów. Stąd następnego dnia rano wysłano pomoc dla niedobitków".

(117) Protokół nr 92:

świadek Bronisław Dylak, lat 32, zamieszkały w Warszawie, ul. Przebieg 1; protokołowała Apolonia Czelna i Irena Trawińska 16. IX. 1944 w szpitalu w Milanówku. Wypytywanie i spisanie protokołu odbyło się na kilku posiedzeniach, w bardzo ciężkich warunkach w zatłoczonej ciężko rannymi sali, pełnej zaduchu, w atmosferze cierpienia i strachu pod terrorem krążących żandarmów. Protokolantki pozorowały przybycie w różny sposób. Ranny świadek zeznawał tylko dzięki zaufaniu do siostry, która go wyratowała.

„Będąc ciężko ranny w brzuch, leżałem w szpitalu polowym przy ulicy Długiej nr 7.

Dnia 7. IX. 1944. Niemcy nakazali siostrom i chodzącym chorym opuszczenie szpitala i pozostawienie ciężko rannych. W grupie tych ostatnich pozostałem na sali, mieszczącej się w piwnicy. W całym szpitalu było jeszcze kilkuset rannych ciężko i chorych, którzy nie mogli opuścić szpitala. Wkrótce po odejściu sióstr (pod wieczór) przybyli Niemcy SS; rozpoczęła się strzelanina; pierwszych zabito tych, którzy nadludzkim wysiłkiem zrywając się z łóżek, zbliżyli się do schodów i drzwi, czekając wyjścia i ocalenia. Zostali oni od razu zabici przez wchodzących Niemców. Do naszej sali wpadło 2 morderców; jeden świecił świecą (było już ciemno), drugi rewolwerem zabijał, strzelając do leżących z bliska, wśród krzyków: „Bandit, Bandit". Ja ocalałem wraz z kilkoma z naszej sali, bo dojście do naszych łóżek było utrudnione przez inne łóżka. Sala składała się jakby z dwóch sal: ja leżałem w tej drugiej, mniejszej części, do której wejście było zastawione. W pierwszej części sali zabito wszystkich, drugą część cudem wprost ominięto (może i dlatego, że dobiegały już głosy odwołujące morderców), po innych salach słychać było liczne strzały. Egzekucja odbyła się w całym szpitalu. Następnie wpadały liczne kontrole, sprawdzające, czy wszystkich dobito. Udawaliśmy wtedy zabitych; kolega, leżący obok mnie, zrobił sobie krwawą plamę na piersiach i skroni, symulując zabitego. Jeden z Niemców, mówiący po ukraińsku, chodził między zabitymi i dźgał ich karabinem w twarz. Noc była straszna. W pewnym momencie wrzucono do naszej sali przez okno granat, tzw. „pałkę"; koledze memu rozerwało brzuch. Wreszcie podpalono budynek.

Ogień rozszerzał się szybko; ci, którzy starali się wyczołgać do wyjścia, byli zabijani.

Na naszej sali znalazła się jakaś kobieta, która odsuwała łatwopalne materiały od wyjścia i nie dopuszczała ognia na salę. Paliły się inne sale, klatka schodowa; dym, zaduch palących się ciał, pragnienie nie do opisania; ranni chwytali butelki z lekami z braku wody, jeden z moich sąsiadów chwyta butelkę z jodyną, oszalały z gorąca i pragnienia, wypija jej zawartość, trując się śmiertelnie; ja z innymi zwilżam wargi wodą borową. Tak leżeliśmy do rana dnia następnego, kiedy nadludzkim wprost wysiłkiem wyczołgałem się po rozżarzonych zgliszczach. Ponieważ byłem na trzeci dzień po operacji brzucha, popękały mi szwy, z trudem powlokłem się do Podwala. Tu zatrzymali mnie Tatarzy w mundurach niemieckich i skierowali do kościoła Karmelitów.

Po pozostałych na Długiej, żywych jeszcze rannych, którzy jak ja cudem uszli śmierci, wyruszyły bohaterskie siostry P.C. K., które wybłagały od Niemców zezwolenie na dotarcie do rannych i przeniesienie ich.

W ten sposób z kilkuset ciężko rannych, pomordowanych w szpitalu na ul. Długiej 7, ocalało może kilkunastu".

POWIŚLE

(118) Protokół nr 209:

świadek Józefa Świderska, lat ok. 50, zamieszkała w Warszawie, ul. Solec 107; protokołowała Maria Małaszek we wrześniu 1944 w Brwinowie.

„Od 5. IX następuje wycofywanie się z Powiśla powolne. Niemcy od razu nie zajmują dzielnicy, wzywają tylko mieszkańców do opuszczania domów. Już 5. IX dało się zauważyć pierwszych mieszkańców Powiśla z białymi chorągiewkami. Straszny widok, ludzie wynędzniali, bladzi, wychudzeni, wychodzili z okolicznych gruzów. My nie mieliśmy zamiaru opuszczać swego nie zniszczonego dotychczas domu. Ludzie, którzy poddali się, musieli początkowo pomagać przy oczyszczaniu ulic, kopaniu rowów, usuwaniu barykad. Niemcy stosowali tutaj metodę żywych barykad..."

„...Do usuwania barykad, poza którymi znajdowali się niejednokrotnie jeszcze powstańcy, używano mieszkańców, którzy zdecydowali się wyjść. Pod karabinami maszynowymi prowadzono mężczyzn i kobiety pod barykady (na Solcu).

Najgorzej były narażone młode kobiety, które wyszły z gruzów. Pijane żołdactwo niemieckie (Wehrmacht) nie miało na nic względów. Gwałty na porządku dziennym.

Dnia 8. IX wezwano wszystką ludność do opuszczenia domów. Wyszliśmy rano. Półtorej doby zatrzymano nas na dziedzińcu Czerwonego Krzyża (od ul. Czerwonego Krzyża). Wśród kilkutysięcznego tłumu byli i żołnierze AK. Niemcy starali się działać na psychikę naszych żołnierzy, doprowadzali młodszych i mniej odpornych do szału. Twierdzili stale, że za parę godzin zostaną rozstrzelani, wciąż im powtarzali: „Banditen! Banditen!“ Jeden z tych młodych ludzi błagał naokoło kobiety o pierścionek złoty, że chciałby nim przekupić Niemców. Ledwo uspokoiłyśmy go, odsunęłyśmy od tłumu, zasłaniając widok na dyżurujących Niemców“.

(119) Protokół nr 132:

personalia świadka i protokołującego poniższe zapiski nie są redakcji znane.

„Około 15 sierpnia rozpoczęli Niemcy z terenu Uniwersytetu (najsilniejszego punktu obrony niemieckiej) bezładny ogień granatników (przez 2 dni). Duża ilość ciężkich i lekkich granatów, wpadając na podwórze lub ulice, raniła wiele osób cywilnych. W następnych dniach zrzucono bomby zapalające, starając się w ten sposób sterroryzować ludność cywilną. Stan ten bez większych zmian trwał aż do chwili ewakuowania rejonu Starego Miasta, to znaczy do dnia 2 września. W międzyczasie rozniosła się pogłoska, przeze mnie osobiście nie sprawdzona, że Niemcy ludność cywilną a nawet kobiety używają do osłony swych czołgów. W nocy z dnia 2 na 3 nadano przez megafony z terenu Uniwersytetu następujący komunikat w języku polskim, który przytaczam dosłownie: „Uwaga — Warszawa skapitulowała — dowództwo uciekło — wzywa się oddziały polskie do złożenia broni — żołnierze i ludność cywilna mają się kierować do ul. Karowej — rano samoloty zrzucą ulotki, służące jednocześnie jako przepustki dla dowolnej ilości osób“ (nota bene ulotki takie nie były zrzucane). Od tej chwili rozpoczęto likwidację Powiśla przy pomocy wszelkich rozporządzalnych środków, przede wszystkim bomb lotniczych

(burzących i zapalających), ciężkiej artylerii i ognia. Akcję nieprzyjaciel prowadził w ten sposób, że najbliższy szereg domów burzono bombami lotniczymi (burzącymi i zapalającymi). Mocniejsze budynki obrzucano bombami ukośnie w ten sposób burzono głównie partery i schrony, gdzie znajdowała się ludność cywilna (której niejednokrotnie nie zdążono ewakuować). Domy, nie bronione przez AK, nieprzyjaciel podpalał butelkami z benzyną od poddasza i parteru (ludność wypędzano, nie dając nic ratować). Domy zburzone, a nie spalone — podpalano. Ludności zasypanej, która nie zdołała sama wyjść, w wielu wypadkach nie ratowano.

W dniu 5 września nieprzyjaciel doszedł do ul. Radnej i częściowo dotarł do Leszczyńskiej, nasze oddziały przeniosły się na ulicę Drewnianą (do fabryki Fuchsa). W tym dniu lotnicy nieprzyjacielscy zbombardowali bloki domów na Leszczyńskiej, których większość została zrównana z ziemią (piwnice i schrony w tych wypadkach normalnie nie ulegały zniszczeniu). Budynki zwalone zaczęły się palić: dostaliśmy rozkaz na ochotnika odsypywać wejścia w schronach, aby ratować ludność. Po oczyszczeniu pierwszego wejścia (część ludności zdołała przejść do fabryki Fuchsa) zostałem ranny, za chwilę weszli Niemcy — Wehrmacht, powstało zamieszanie; jeden z żołnierzy niemieckich założył mi prowizoryczny opatrunek i kazał trzem cywilnym (starym ludziom) przenieść mnie do Uniwersytetu. Po drodze spotkaliśmy sanitarkę niemiecką, sanitariusze przywołali nas do siebie, ale widząc, że ranny jest cywilem, nie udzielili pomocy. To samo było w szpitalach niemieckich (bardzo gęsto rozsianych na Krakowskim Przedmieściu i okolicy), nigdzie nie przyjmowano ludności polskiej ani nie udzielano żadnej pomocy. Wreszcie dotarliśmy do Karmelitów, gdzie był zorganizowany punkt opatrunkowy dla ludności polskiej. Po drodze (byłem zupełnie przytomny) na Krakowskim Przedmieściu widziałem cywilnych Polaków w wieku od 15—50 lat, zmuszonych pod groźbą śmierci do budowania barykad niemieckich pod naszym obstrzałem; pilnowali ich żołnierze Wehrmachtu i SS z pistoletami maszynowymi, ukryci w pobliskich bramach. Poza tym zmuszono Polaków do noszenia rannych z najdalej wysuniętych placówek niemieckich, oraz pod naszym ogniem; z tych ludzi — jak słyszałem — wielu zginęło. Po dwóch dniach naszego pobytu

u Karmelitów zaczęto nas ewakuować. Podjechały autobusy niemieckie, zabierając nas na Dworzec Zachodni, po czym wysłano nas dalej".

(120) Protokół nr 246:

świadek Zofia Roguska, lat 24, urzędniczka, zamieszkała po opuszczeniu Warszawy w Łowiczu; protokołowała Irena Zgrychowa dnia 22. X. 1944 w Łowiczu.

„Nasza dzielnica (Powiśle) była przez parę dni w niczyich rękach; nocami przechodziły oddziały AK i niemieckie patrole. Ludzi dużo, pierwsi uciekinierzy — ze spalonych domów Nowego Zjazdu; wszyscy okazywali im pomoc. Piekarnia przy ulicy Furmańskiej nr. 8 piekła bez przerwy chleb, wydawała go wszystkim bez kartek i bez pieniędzy po bochenku.

Do naszego domu niemieckie oddziały SS przyszły rano z beczkami benzyny, nafty; kazano opuszczać domy, krzycząc, wymyślając od bandytów. Prawie wszyscy Niemcy mówili po polsku lub rozumieli doskonale, co się do nich mówiło. Strzelanina była ciągła od strony ul. Karowej. Ludzie gromadzili się, naradzali się, co ze sobą zabrać, inni mówili, żeby tak parę granatów, to byśmy się obronili. Znowu wpadli SS z krzykiem, hałasem, bijąc, popychając ludzi, wyrzucali na ulicę. Najgorzej było z chorymi, którzy nie mogli iść; w sąsiednim domu Niemcy zabili staruszka na łóżku i zaczęli w naszych oczach palić pracę wielu lat — nędzny dobytek robotniczy. Do mieszkań przez okna wrzucali otwarte bańki lub butelki z benzyną, a potem granaty i wszystko stawało od razu w ogniu — całe domy, ulice. Ludzie stali z rozpaczą w oczach i zemstą, klęli głośno Niemców, nie licząc się z niczym. Pani X spod nr. 16 rzuciła się na Niemca, wyrwała mu bańkę z benzyną i nie dała podpalić mieszkania. Niemiec SS wepchnął ją siłą do mieszkania i podpalił, z daleka dolatywał nas głos modlitwy pani X, która płonęła, modląc się.

Potem poszliśmy przez miasto ulicą Bednarską, Krakowskim Przedmieściem, gdzieś bocznymi ulicami do Dworca Zachodniego. Po drodze okradano nas ze wszystkiego, odbierano lepsze walizy zegarki, obrączki, pierścionki, nawet buty stawały się łupem SS-manów.

Potem wsadzili nas do pociągu, który jechał w kierunku Pruszkowa. Na stacji Włochy uciekłam".

(121) Protokół nr 247:

świadek Maria Bukowska, lat 40,
zamieszkała po opuszczeniu Warszawy w Łowiczu;
protokołowała Irena Zgrychowa dnia 26. IX. 1944 w Łowiczu.

„7. VIII. 1944 na rozkaz SS ludzie z całej dzielnicy musieli opuszczać domy, które od razu zostały podpalone. Szło nas kilka tysięcy, pędzeni przez SS, popychani. Kto się przewrócił, bito go kolbą karabinową, kto niesie pomoc, dostaje też bicie. Idziemy Bednarską, Krakowskim Przedmieściem do Trębackiej; na placu Marszałka Piłsudskiego oddzielono mężczyzn od kobiet — płacz, narzekanie. W Ogrodzie Saskim strzelanina, z daleka od Hal Targowych słychać strzały powstańców. Oddział SS zaczyna z nas robić żywą barykadę, każą kłaść się na ziemi, biją, popychają, za chwilę tworzy się na ziemi wał żywych ciał, słychać płacz, przekleństwa, SS-mani zaczynają strzelać zza tej żywej barykady.

Ucichło. Idziemy dalej, SS pilnują; Ukraińcy rabują zegarki, pierścionki, drą w kawałki pieniądze. Na Placu Żelaznej Bramy tuż około Hal stoi piramida z walizek ukradzionych, kto ma lepszą walizkę, odbierają i stawiają na stos; widać samochody ciężarowe, wywożące nasz dobytek gdzieś daleko.

Idziemy dalej; strzelanina, podjeżdża auto SS, wysiadają oficerowie, przyglądają się wychodzącym i zabierają z szeregów 3 młode, ładne dziewczęta: dwie siostry N i jakąś mi nieznajomą. Auto odjeżdża, dziewczęta krzyczą, bronią się przed czułościami oficerów SS. Upadła jakaś staruszka, iść dalej nie może. Oficer SS strzela jej w tył głowy, i znowu słychać przekleństwa, i rodzi się bunt i chęć odwetu w sercach tysięcy ludzi.

W kościele na Woli okradają nas z reszty. Wszystkie młode dziewczęta zostają, nieraz 12—14-letnie, my starsze z dziećmi idziemy do Dworca Zachodniego, a potem koleją do Prüszkowa...“

(122) Protokół nr 25:

świadek Górska, lat 50, nauczycielka, zamieszkała w Warszawie, ul. Gęsta.

„We wtorek, dzień pierwszy powstania, przy ul. Gęstej w zakładzie Urszulanek o godz. 5 pp. rozpoczęło się codzienne nabożeństwo popołudniowe. W zakładzie znajdowały się siostry zakon-

ne, lokatorki zakładu świeckie, przeważnie staruszki. Nagle podczas nabożeństwa padły pierwsze strzały, po czym salwy karabinowe. Nikt jeszcze nie wiedział, że rozpoczęło się powstanie. Młody, obecny tamże ksiądz oświadczył, że wyjdzie na ulicę dysponować umierających i opatrywać rannych. Wraz z księdzem wyszło dla niesienia ratunku 6 młodych zakonnych sióstr. Salwy karabinowe nie ustawały, chwilami nasilenie walki wzmagało się. Gdy obecni w kaplicy jeszcze modlili się, wniesiono księdza, który wyszedł na ulicę dysponować umierających. Był ciężko ranny, broczył krwią, po chwili skonał. Siostry nie wróciły. Jedną z nich, ciężko raunną, przyniesiono po kilku dniach, inne zginęły, niosąc pomoc rannym. Pewnego dnia zabito wielu mieszkańców zakładu, a wielu z nich udało się na tułaczkę. Po wyjściu mieszkańców do opuszczonego zakładu wtargnęli Ukraińcy wraz z Niemcami. Niemcy lżyli pozostałe staruszki oraz siostry zakonne i mówili: „Macie Jezusa na ołtarzu, a przetrzymujecie bandytów". Wszyscy rzucili się na rabunek, żądając, aby wydano im kosztowności, zegarki itp., lżąc, gdy ubogie przeważnie mieszkanki zakładu niczego dać im nie mogły. Następnie wezwali wszystkie kobiety do opuszczenia zakładu. Popędzono je płonącymi ulicami na Dworzec Zachodni, nie mając żadnej litości dla staruszek, które w tym tragicznym pochodzie padały na ziemię, podnosiły się, aby znów upaść. Pędzono je stale, zabierając po drodze ostatnie dobro w postaci skromnej garderoby. Zapędzono je na Dworzec Zachodni".

[Uwaga protokołującego: osoba referująca nie przypomina sobie, jakimi ulicami szła; były tak zniszczone, że ich nie poznała.]

(123) Protokół nr 242:

świadek Julia Maraszówna, lat 33, P. C. P.;
protokołowała Irena Trawińska w dniu 23. XI. 1944

„Szpital AK przy ul. Drewnianej, Powiśle. W czasie powstania szpital AK, znajdujący się w szkole przy ul. Drewnianej (nr. 8 zdaje się), po opanowaniu przez Niemców tej części Powiśla — przez kilka dni pozostawiony był własnemu losowi. Po kilku dniach zjawili się nagle Niemcy i rozstrzelali z rewolwerów wszystkich rannych na łóżkach, oraz cały personel sanitarny i lekarzy.

Ilu rannych zginęło wtedy, trudno ustalić. Szpital ten był obliczony na 200 łóżek.

Opowiadał mi to lekarz z tego szpitala, który uratował się cudem".

(124) Protokół nr 93:

świadek Irena Zgrychowa, lat 35, nauczycielka;
protokołowała Irena Trawińska dnia 15. IX. 1944 w Podkowie Leśnej w lesie.

„Byłyśmy sanitariuszkami na punkcie sanitarnym przy ulicy Furmańskiej na Powiślu. W dniu 7 września wpadli Niemcy-SS, grożąc bronią, wymyślając od bandytów, popychając; nakazano personelowi sanitarnemu opuścić punkt, pozostawiając chorych i rannych; na ulicy obrabowano personel, odbierając zegarki, pieniądze i kosztowności, podprowadzono do najbliższej barykady i uszeregowano do rozstrzelania, zdzierając opaski Czerwonego Krzyża i wymyślając od bandytów. Do stojących dowódca niemiecki kilka razy zwracał się z pytaniem: „Czy się boicie?", a gdy padły słowa: „Nie, nie!", nakazywał przygotować egzekucję. Tak wytrzymano nas przez jakiś czas, wreszcie w pewnej chwili dowódca kazał skazańcom szybko uciekać na punkt. Tego samego dnia SS-mani zjawili się powtórnie. Dla zabezpieczenia swego życia kładli się między rannymi. Część żołnierzy była pijana. Zaczęli wydzierać personelowi dokumenty, żądając wódki i dziewcząt na noc. Personel mimo bicia, gróźb bronił się i oparł się żołdactwu. Żołnierze próbowali podpalić szpital i żądali wyniesienia rannych. Przez kilka godzin siostry opierały się temu, dosłownie wydzierając żołnierzom bańki ze spirytusem, przy pomocy którego palili domy. Pod wieczór zarządzono ewakuację. Wypędzeni ranni użyci byli jako zasłony, Niemcy postępowali za nimi w kierunku punktu oporu i strzelali zza nich. Postrzelono śmiertelnie wielu rannych.

Wśród dymu, pożaru i strzelaniny siostry przeniosły rannych na Krakowskie Przedmieście do gmachu Tow. Dobroczynności. W ten sposób pod obstrzałem obróciły 40 razy, za każdym razem wykorzystywali Niemcy rannych jako zasłony. Do Tow. Dobroczynności (Res sacra miser) Niemcy wpadali co chwila, mimo próśb i upomnień o ciszę dla ciężko rannych strzelali do ścian i sufitów, krzyczeli, świecili w oczy latarkami, wreszcie zaczęli wyciągać

młode kobiety spośród personelu i rannych, terroryzując otoczenie bronią i odbezpieczonymi granatami. Mimo obrony sióstr dwie z nich zostały uprowadzone i zgwałcone.

Po dwóch dniach zaczęli zjawiać się Kałmucy, często pijani, zachowywali się jeszcze gorzej, krzyki, wrzaski, chodzenie nago po salach, polowanie na dziewczęta... Rzucili się na pozostające w Zakładzie idiotki, z których jedną zgwałcili. Warta przed szpitalem nie broniła wstępu żołdactwu. Wybuchający kilkakrotnie pożar był wzniecany przez Kałmuków, którzy odwracali uwagę personelu w ten sposób, by bez przeszkód gwałcić młode dziewczęta. Oficer, któremu poskarżono się, powiedział, że żołnierze na wojnie mają swoje prawa. Znać było w tym wszystkim rozprzężenie, wałęsało się pełno dezerterów.

Pewnego dnia wieczorem do Tow. Dobroczynności wpadli SS-mani z rewolwerami, wypędzili rannych i chorych na podwórze i rozstrzelali 12 osób, w tym część rannych.

Siostry udawały się na ulicę zbierać rannych. Takie patrole sanitarne Niemcy ostrzeliwali dla postrachu, strzelając nad głowami i śmiejąc się, o ile siostry okazywały niepokój.

Szpital w „Dobroczynności" przetrwał 4 tygodnie: pod ciągłą grozą gwałtów, rozstrzeliwań i podpaleń ze strony rozbestwionego żołdactwa. Przez 6 tygodni siostry nie rozbierały się, będąc w ciągłej niepewności [życia] tak własnego jak i rannych. SS-mani stale grozili, że muszą skończyć ze szpitalem, budynek spalą, siostry wyrzucą, a ranni i chorzy zostaną i się spalą. Z obserwacji i rozmów z żołnierzami wynika, że część ich rekrutowała się z kryminalistów z ciężkimi wyrokami sądowymi; przechwalali się, że byli w obozach koncentracyjnych, gdzie wykonywali egzekucje, z czego się chełpili. Jeden z SS-manów, którego rannego przyniesiono do szpitala, pod wpływem cierpień wynurzając się siostrze, żalił się na okrucieństwa, jakie popełniali w Warszawie. Opowiadał o stosach trupów na Woli, o strasznych mordach, jakich dopuszczali się na ludności cywilnej i powstańcach, o tym, jak w czasie egzekucji zabijano najpierw matki, potem dzieci, żeby te widziały śmierć matek; powiedział, że historia świata, „die Weltgeschichte", nie widziała podobnych wypadków i „nas Niemców musi spotkać za to kara".

Inni chwalili się, że zabijali młodych ludzi i dokumenty wrzucali w ogień, aby nie można było zwłok zidentyfikować. Za zdobycie stołecznego miasta żołnierze otrzymali awans i urlop. Jadąc na urlop do Rzeszy, wieźli zrabowaną biżuterię, przeznaczoną dla narzeczonych i rodzin (pokazywali to siostrom).

Żołnierze jak i podoficerowie oświadczyli, że mają surowy rozkaz nieudzielania jakiejkolwiek pomocy rannym, twierdząc, że to są bandyci. Jeżeli dawali jakąś pomoc, to ukradkiem, aby inni nie widzieli, gdyż za wszelką pomoc surowo karano. Zabraniano nawet rozmawiać z Polakami.

Niemcy na ogół byli tchórzliwi, bali się iść do natarcia, wchodzić do nieznanych domów i piwnic. Dowódcy wpływali rozmaitymi obietnicami".

CENTRUM

(125) Protokół nr 212:

świadek Wohlschläger, lat ok. 50,
zamieszkały po opuszczeniu Warszawy w Podkowie Leśnej Wsch.;
protokołował Edward Serwański w październiku 1944 w Podkowie Leśnej Wschodniej.

„Dnia 1. VIII zabrany zostałem ok. godz. 17, min. 20 z Alei Ujazdowskich i odprowadzony w większej grupie mężczyzn do gmachu Gestapo przy Al. Szucha na jeden z dziedzińców. Wraz z mężczyznami zabierano i kobiety, które odprowadzano na Litewską. Według wiadomości, jakie później otrzymałem, między mężczyznami byli zabrani z pobliskich domów, a specjalnie z Alei Róż. Po pierwszych masowych obławach puszczono jedynie rolników, którzy w dniu wybuchu powstania przyjechali ze wsi do Warszawy. Podobnie zwalniano osoby, które mogły się wykazać, że mają krewnych za granicą.

Z Alei Szucha wyprowadzony zostałem w grupie ok. 400 osób na ul. Bagatela. Zatrzymano nas przed wypalonym już w 1939 r. gmachem dawnej „Podchorążówki" (później GISZ), stojącym wzdłuż ul. Bagatela a poprzecznym do Alei Ujazdowskich, za domem, gdzie stacjonowała niemiecka policja.

Polecono nam wszystkim rozebrać się do naga, a rzeczy składać w kupkach koło siebie. Wyprowadzano nas w grupach po 10 do 12 ludzi do wypalonego domu.

Zostałem tam wprowadzony w drugiej grupie.

Widziałem stosy trupów. Na stosy te wprowadzano grupkami ofiary, do których podchodzili oprawcy i bronią krótką, strzelając w nadkarcze, zabijali. Wśród rozstrzeliwanych widziałem mężczyznę z dzieckiem na ręku. Najpierw zastrzelono dziecko, a potem ojca tego dziecka. Wśród ofiar były dzieci od lat 4. Rozstrzelano między innymi chłopców od lat 14. Widziałem na stosach starców rozstrzeliwanych, kaleki, między innymi człowieka z protezami. Świadkami tej egzekucji byli oficerowie SS, żandarmi i gestapowcy. Zostałem w ten sposób uratowany, że wywołałem znanego mi dowódcę SS, który po dłuższych targach zgodził się wyprowadzić mnie z gmachu Gestapo i ulokować mnie w koszarach przy Alejach, gdzie przebywałem dni 14. Z tego okresu — dalsze relacje.

Odprowadzony z miejsca egzekucji do koszar, widziałem leżących przed Kasynem ok. 150 trupów, żołnierzy AK. Czy ci żołnierze w czasie próby zdobycia Kasyna byli zamordowani, tego nie wiem. Widziałem natomiast, jak Ukraińcy grabili poległych, kolbami karabinów wybijając ze szczęk złote zęby. Od oficerów pułku SS, kawalerii, którzy byli stałymi świadkami egzekucyj i wracali do koszar, gdzie u nich przebywałem, dowiadywałem się o egzekucjach i ich przebiegach. Ze względu na sytuację, w jakiej się znalazłem, nie mogłem uzyskiwać pełniejszych relacyj. Podaję jedynie to, co mi opowiadano.

Dnia 1. VIII rozstrzelano 980 osób. Stos następnie podlano benzyną i naftą i podpalono.

Od tego dnia począwszy, codziennie trwały podobne egzekucje. Strzelanina trwała cały dzień. Według moich obliczeń dziennie mogło być rozstrzelanych około 1.500 do 2.000 osób. Ofiarami padali mężczyźni z ulic i domów przy Alejach Ujazdowskich, Alei Róż, Piusa, 6 Sierpnia itd. Egzekucyj tych nie widziałem, słyszałem jedynie odgłosy strzelaniny. Liczbę ofiar podaję według siły ognia.

Opowiadając o egzekucjach oświadczali mi, że masowe rozstrzeliwanie mężczyzn przyjęto jako zasadę w walce z polskim elementem.

Dowiadywałem się, że specjalnie mordowali 2 siepacze, którym dawano codziennie 3 litry wódki. Po każdej egzekucji oblewano stos benzyną i naftą i podpalano.

Sturmbannführer Plank, wracając z egzekucji, mówił mi niejednokrotnie, że to, co się tam dzieje, jest niesłychaną zbrodnią. Rzeczy takie dziać się nie powinny.

Egzekucje te trwały na pewno przez dni 14, to znaczy do czasu, jaki przebyłem w koszarach; dnia tego zostałem wywieziony z Warszawy.

Z miejsca mego przymusowego pobytu widziałem, jak codziennie wyruszały kolumny podpalaczy, złożone z Ukraińców, na wyprawy celem palenia ulic.

Dowiedziałem się, że internowanych w Al. Szucha bito i wymuszano zeznania.

O masowym rozstrzeliwaniu mężczyzn w siedzibie Gestapo w Alei Szucha nie słyszałem.

Od oficerów pułku artylerii uzyskiwałem później nowe wiadomości, że egzekucje w „Giszu" trwały codziennie w dalszym ciągu aż do dnia, w którym Anglia i Ameryka uznały AK za kombatantów.

Jak wielka musiała być ilość rozstrzeliwanych, a następnie na stosie spalonych ciał, niech świadczy fakt, że znajomy mój, który mieszkał na placu Unii Lubelskiej, opowiadał mi, że przy otwieraniu okien do mieszkania wdzierało się powietrze przesycone tak intensywnie zapachem spalonych ciał, że nie było można po prostu wytrzymać. Nie mógł sobie w żaden sposób wytłumaczyć tego zjawiska. Wysłuchawszy tego, wyjaśniłem mu przyczyny fetoru.

Świadkami codziennych egzekucyj, a zarazem źródłem moich wiadomości byli:

1. Willy Plank, lat 40, Sturmbannführer,
2. Kurt Ponisch, lat 30, płatniczy pułku,
3. Stippe, rotm.

(126) Protokół nr 115:

komunikat niewiadomego pochodzenia wręczony komórce dokumentacyjnej na ręce Edwarda Serwańskiego przez Irenę Trawińską.

„Aleja Szucha, miejsce centralne egzekucji żołnierzy AK i ludności cywilnej, związanej z powstańcami z ul. Marszałkowskiej, Alei Ujazdowskich, Klonowej, Chocimskiej itd. Ilość zabitych osób w przybliżeniu około 2000".

(127) Protokół nr 32:

świadek mężczyzna lat 40, należący do inteligencji, zamieszkały w Warszawie, ul. Wiejska, róg Piusa.

„W domu tym (narożnik Wiejskiej i Piusa) mieszkało kilku lokatorów zamożnych, posiadających pięknie urządzone wnętrza z obrazami, antykami, kryształami itp. Między innymi rodzina Piłsudskich, krewnych marszałka, bardzo bogatych ziemian, oraz rodzina Chałupczyńskich, również nieprzeciętnie zamożna.

W środę, 2 sierpnia, przybyło Gestapo do dozorcy tego domu z listą lokatorów, polecając mu wskazać mieszkanie Piłsudskich i Chałupczyńskich oraz innych zamożniejszych mieszkańców tego domu.

Dozorca, sterroryzowany, zaprowadził ich najpierw do rodziny Piłsudskich. Obecni byli w domu pp. Piłsudscy, ich gospodyni, oraz 2 obce panie, razem 5 osób. Bez jakichkolwiek przesłuchiwań kazano im stanąć twarzą do ściany w ich mieszkaniu i zamordowano na miejscu.

Podobnie załatwiono się z rodziną Chałupczyńskich (3 osoby).

W kilku dalszych mieszkaniach tego domu tok zajścia był podobny.

Referujący nie pamięta, jak się nazywali inni mieszkańcy. Na końcu do pustego mieszkania wprowadzili dozorcę i chcąc go również zabić, strzelili od tyłu w okolicę karku. Dozorca padł, ale nie został zabity. Rannego opatrzyły panie w domu, potem uszedł, opowiadając o całym zajściu.

Następnego dnia po dokonanym morderstwie oprawcy przybyli znowu i kosztowną zawartość mieszkań pomordowanych zabrali i umieścili w domu sejmowym na Wiejskiej.

Następnie przybyły kolumny podpalaczy, aby zniszczyć dom. Gdy mieszkania napełniły się dymem, a płomienie buchały z piwnic, kazano ludności całego domu wychodzić na ulicę przez płonące piwnice.

Kobiety, płacząc i lamentując, uprosiły inne przejście, ale również wśród niebezpieczeństwa.

Zaznaczyć trzeba, że powstańców w tym domu nie było".

(128) Protokół nr 154:

świadek maturzystka, sanitariuszka, zamieszkała w Warszawie, ul. Natolińska; protokół spisany dnia 29. X. 1944.

„W trzecim dniu powstania łączniczka przynosi rozkaz ewakuowania punktu. Rannych umieszcza się w domach prywatnych pod nr. 5 i 7 przy ul. Natolińskiej. Transport utrudniony. Ciężki obstrzał od strony gmachu Min. Spr. Wojsk. Cekaemy z ul. 6 Sierpnia sieką ku nam. Na tej ulicy w domu RGO był podpunkt. Wpadli Niemcy. Zastali 2 rannych. Jeden uciekł, drugiego zabrali na Szucha. Dochodzi nas wiadomość, że podobno na 6 Sierpnia w klatkach schodowych odbywają się egzekucje. Niemcy wpadają na 6 Sierpnia pod nr. 16. Był tam lekarz NN z asystentką. Niemcy zabrali 3—4 sanitariuszki na Szucha. Tymczasem my miałyśmy za zadanie jak najspieszniej wywieść rannych i punkt zlikwidować. Najtrudniejsze było przejście przez jezdnię pod ciągłym obstrzałem i w obawie ataku niemieckiego.

Spotkałam później niektóre koleżanki, zabrane na Szucha, jedna z nich, bardzo młoda, zupełnie osiwiała. Dziewczyny posadzono na czołg i ruszono z nimi na barykady. Potworny był huk jadącej maszyny i pocisków. Dziewczyny zeskakiwały przy barykadzie i wśród gradu kul przedostawały się na stronę polską. Wolały ryzykować życie niż powrót na Szucha".

(129) Protokół nr 266:

świadek kobieta lat 60, żona emer. urzędnika Miejsk. Tow. Kredytowego, zamieszkała w Warszawie, ul. 6 Sierpnia 18; protokół własny z dnia 23. IX. 1944.

„Dnia 4 sierpnia o godz. 7 usłyszałam głos, że Niemcy dobijają się pod nr. 16, za 10 minut będą u nas. Zdrętwieliśmy, znieruchomieliśmy. Usłyszeliśmy wybijanie drzwi od bramy granatnikami, w jednej chwili gwałtowna strzelanina i przeraźliwe: „Raus!" Po ich wściekłości zrozumieliśmy, że to nasza śmierć, taka nieprzewidywana i nieoczekiwana. W tej decydującej chwili zdjęłam naprędce z łóżka mego męża obrazek Matki Boskiej Szkaplerznej i zabierając jedynie teczkę z dokumentami i opatrunkami mego męża wyszliśmy. Na podwórzu ustawieni byli gestapowcy i Ukraińcy z karabinami, skierowanymi w naszą stronę, i popędzili nas

wśród palących domów i leżących trupów, z rękami podniesionymi, a ja z wzniesionym w górę cudownym obrazem. Po dojściu do kasyna i po pewnych przegrupowaniach popędzili nas w Al. Szucha do Gestapo; jeszcze nie wiedzieliśmy nic i nie przeczuwaliśmy, co z nami zrobią. Aż tu padł rozkaz: „Mężczyźni niech wystąpią!"

Nam, kobietom, powiedziano, że domy nasze spalone, więc nie mamy dokąd iść, a że jest późno, więc na noc przeprowadzą nas do straży pożarnej, i znowu wśród płonących domów szłyśmy zgnębione i zrozpaczone. Noc ta pierwsza bez męża mego, ale z myślą o nim, zdawała mi się upiorna. Z rana Ukraińcy wpadli na górę i część młodych kobiet posłali po trupy niemieckie, starsze kobiety zatrzymując jako zakładniczki. Około godz. 11 rano wyprowadzili nas w Aleje Ujazdowskie pod obstrzał. Był dzień pogodny, niebo błękitne i żar gorącego słońca, a w duszy smutek i ból bezbrzeżny, przy tym już dobę bez jedzenia. Po długich ceregielach, namysłach, zamieszaniu i niepewności Niemcy zdecydowali się część z nas wziąć przed czołgi, aby móc zawieźć na ul. Piusa na stację telefoniczną, do „Pasty" swoim żywność i broń; kilka kobiet wsadzono na czołgi, a część ustawiono po 10 w towarzystwie Niemców, przebranych w nasze płaszcze i opaski, za czołgami. Muszę tu nadmienić, że nie zdawałam sobie sprawy, że jestem w Warszawie; zdawało mi się, że to gród potężny, warowny niemiecki: tyle było wojska, czołgów i niemieckiego rygoru. Wściekłość ich nie miała granic, gdyż za nic nie mogli nas zgrupować: przy tym nie obeszło się bez łez, bo zapowiedzieli, że dzieci i psy zostaną, a i komiczne były sceny, bo Niemcy biegali z rewolwerami, wyrywali matkom dzieci i ich ulubione pieski, wymyślając i grożąc. Taki jeden właśnie rozwścieczony dobiegł do mnie, wyrwał święty obrazek, teczkę i torebkę z dokumentami i rzucił na ulicę. Zapowiedzieli również, że nie wolno mdleć, bo pomocy nie będzie i chorzy zostaną na ulicy. Wreszcie pochód krzyżowy ruszył, a przed nami 3 czołgi, które stanęły róg Piusa i Alei, a my naprzeciwko, oparte o ogrodzenie Parku Ujazdowskiego, każdy huk z czołgów tuż nad uszami. To coś potwornego, coś, co mroziło krew i ogłuszało do ogłupienia, huk, którego nigdy nie zapomnę. Jednocześnie był obstrzał przez naszych i płomienie z palącego się obok domu. Przy każdym huku padałyśmy na ziemię, na wpół żywe. Gdy czołg został zapalony, musiałyśmy go zasypywać ziemią.

Po parogodzinnej męce zawrócili nas z powrotem, a ja byłam w ciągłym niepokoju o obrazek Matki Boskiej Szkaplerznej i o ową teczkę mego męża z całym naszym majątkiem. Tymczasem późno się już zrobiło, zmierzch zapadł, gdy wróciłyśmy do swoich bagaży, które wszak zostały na ulicy. Okazało się, że znowu przybyło parę tysięcy ludzi, tak że nawet na moment nie przypuszczałam, aby można było coś odnaleźć. Na noc zaprowadzili nas do Gestapo na brudne, niechlujne podwórze, jakieś mokre, przy tym szczupłość podwórza nie pozwalała na dobre rozlokowanie się. Głód dokuczał, chłód, dym, kurz, papiery z palących się domów, przy tym obstrzał samolotów, no i gestapowcy czy też Ukraińcy z karabinami, stojącymi w oknach domów, psy wilki, porykujące, i kroki pilnującej nas wachy, które w ciszę nocną wpadały jak echa tysiąca kroków.

Po nocy tej nasza „karawana" wyglądała jak widmo, wybladłe, przerażone, przysypane szarym popiołem z płonących domów. Nerwowo czułyśmy się wyczerpane, zapytując się w duszy, co z nami myślą zrobić. Łzy się kręciły, patrząc na niedolę ludzką, na te matki z kilkorgiem drobnych dzieci, na 12-letnią dziewczynkę, samą, samiutką, na młodą matkę karmiącą dziecinę w wózku. Niedola mas, bodaj czy nie cięższa niż pojedynczego człowieka. Życie ma swoje prawa, więc mimo wszystko ludzie zaczęli się pożywiać, niektórzy mieli nawet bardzo obfite zapasy, my tylko nie, bo i jakże: na śmierć nie idzie się z bagażem.

Tymczasem około 11 rano przyprowadzili nowy transport „apeleńców" (osoby, które zareagowały na apel niemiecki w sprawie opuszczenia Warszawy), około 2000, tak że na tej łące nie można było się pomieścić, by się przesunąć jedno obok drugiego. Były pogłoski, że wywiozą nas do Pruszkowa na roboty, tymczasem najniespodziewaniej powiedzieli, że możemy iść do miasta do swoich i powiedzieć, żeby zaprzestali tej „głupiej" strzelaniny, bo w przeciwnym razie z Warszawy będą gruzy, mężowie zaś nasi, zatrzymani jako zakładnicy, zginą. W pierwszej chwili nie dowierzaliśmy, upatrując jakąś pułapkę; wyprowadzono nas w Aleje czwórkami i konwojowali nas aż pod obstrzał naszych pozycyj do zbiegu ulicy Litewskiej i Marszałkowskiej. Stąd biegłyśmy, jak oszalałe, wołając: „Nie strzelajcie" i machając białymi chusteczkami. Ulic nie poznawałyśmy, tak bardzo zmieniły swój wygląd od wtorku, barykady przy każdej, młodzi, zapaleni powstańcy, roześmiani, jakby

szczęśliwi, pełni nadziei, z opaskami na rękawach. I znowu Warszawa wydała mi się inną, dziwną, prawdziwie polską, lecz daleką od tej naszej dawnej, przedpowstańczej".

(130) Protokół nr 129:

świadek oficer Drang, prawdopodobnie pseudonim; protokołowała „Z".

„Pan NN opowiada, że przy opuszczaniu terenu szpitala Czerwonego Krzyża przez powstańców zdołał się stamtąd wydostać w kitlu lekarskim i przejść do siebie do domu na ul. Czerwonego Krzyża. Stamtąd 3 czy 4 sierpnia został wraz z innymi mężczyznami zabrany do Muzeum Narodowego i potem grupą około 60 popędzony przed czołgami i oddziałem atakujących Niemców przez Al. Sikorskiego w kierunku Brackiej. Na Brackiej za Cristalem była barykada, na którą skierował się atak niemiecki. Chcąc udaremnić ten manewr, pan NN wraz z drugim młodym, energicznym człowiekiem zdecydowali się skierować pędzony tłum na inną stronę i rzucili się z resztą do beznadziejnej ucieczki w kierunku Marszałkowskiej. Niemcy otworzyli za nimi ogień karabinów maszynowych i rzucali granatami. Ludzie padali jak muchy. Zaledwie 9 zdołało dotrzeć do trzeciej czy czwartej bramy od ulicy Brackiej i schować się we wnęce. Brama była zabarykadowana i nie dała się sforsować. Ogień niemiecki trwał. Wobec tego pobiegli dalej. Dotarło już tylko 7 ludzi. Z tych 4 zdołało przez górne okienko bramy przedostać się do wnętrza, 3 pobiegło dalej. Tylko pan NN do następnej dotarł i zdołał się tam przedostać".

(131) Protokół nr 38:

personalia świadka i protokołującego poniższe zapiski nie są redakcji znane.

„W godzinach popołudniowych wtargnęli SS-mani na podwórko domu, krzycząc: „Raus!" Termin wydalenia się z domu miał być natychmiastowy, tak że mieszkańcy nie zdążyli wziąć ze sobą najniezbędniejszych rzeczy.

Uformowani w czwórki, wyruszyli do Gestapo w Al. Szucha. Tutaj oddzielono mężczyzn, osobno kobiety i dzieci. Mężczyzn

zamknięto w więzieniu Gestapo, młodsze kobiety oddzielono od starszych, a więc córki od matek, i polecono pod groźbą kary śmierci dla matek przynieść w przeciągu 2 godzin trupy niemieckie. Każda dziewczyna miała się udać na wyznaczony punkt, gdzie wrzała walka, i przynieść niemieckiego trupa.

Matkom polecono udać się na miasto i głosić wszędzie, że powstanie skończone.

Gdy dziewczyny opuściły podwórze Gestapo, aby udać się na wyznaczone punkty, zatrzymała je żandarmeria, wskazując jako jedyną drogę wyjścia — Mokotów.

Tam udały się też starsze kobiety, pod strzały wrzących walk. Co się następnie stało z córkami, matki się nie dowiedziały, mężowie zostali przypuszczalnie rozstrzelani".

(132) Protokół nr 67:

świadek Henryk Haboszewski, lat 30,
zamieszkały w Warszawie, ul. Selekcyjna 8;
protokołowała Irena Trawińska we wrześniu 1944 w Milanówku.

„Dnia 3 sierpnia wpadają Niemcy i podpalają pawilony nr. 1, 2, 6 i 7, ocalał nr. 5 i 3. W dniu 5 sierpnia pociąg pancerny ostrzeliwuje szpital Czerw. Krzyża tzw. „Na Skarpie". Znaki sanitarne były widoczne; salwa strzałów; zbombardowano pawilon nr. 5 (główny chirurgiczny), zniszczono I piętro z salą operacyjną. Gdy salwy ustały, delegaci szpitala podeszli do pociągu, tłumacząc, że szpital... Odpowiedziano, że nie wiedzieli, że szpital. Wkrótce zjawił się oddział piechoty, nakazując usunięcie się. Na skutek pertraktacji zostawiono nas. Wkrótce z takim samym nakazem zjawia się inny oddział piechoty niemieckiej, na skutek tłumaczeń i próśb zostaliśmy. Dnia 7 września o godz. 11 przybył oddział wojskowy ze sztabem, wyrażając zdziwienie, że jeszcze tu jesteśmy. Wydaje nakaz ewakuacji, dając na to 15 minut czasu. Chaos, zamęt, pośpiech nie do opisania, wszystkich rannych wynosimy. Personel sanitarny wyprowadza, wynosi rannych. Nie było czasu, aby zabrać jakieś osobiste rzeczy — wychodzą wszyscy, jak stali. Eskortują nas Powiślem do Karmelitów, następnie stoimy dłuższy czas przed pomnikiem Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. Kazano czekać. Nikt inny się nie zjawia z dalszymi poleceniami.

Udajemy się do pobliskiej komendy, opowiadamy o wyrzuceniu nas. Otrzymujemy samochód. W ścisku strasznym i umęczeniu przewożą nas na Dworzec Zachodni, skąd pociągiem zostaliśmy przewiezieni do Milanówka.

Dnia 20 sierpnia rozkazem Centrali PCK oddział chirurgiczny i dla młodszych chorych przeniesiono do Pałacu Radziwiłłowej przy ul. Pierackiego nr. 395. Dnia 6 września budynek ten bombardują, wpadają pociski, tzw. „ryczące krowy"; budynek, a zwłaszcza wyższe piętra w płomieniach, drewniane schody wewnętrzne płoną, ranni na II piętrze nie mają możności wydostania się — ratunek niemożliwy; z największym wysiłkiem personel wynosi rannych z I piętra i z parteru, reszta pali się żywcem — sceny okropne. II piętro było specjalnie zapełnione młodzieżą męską. Ocaleni z tego szpitala zostali przeniesieni do piwnic pawilonu nr. 7 (już poprzednio spalonego). Tam następnie dano rozkaz ewakuacji dnia 7 września, nakazano zostawić chorych leżących; personel, lżej ranni opuścili ten oddział; w drodze jednak zawrócono personel — sanitariuszki, lekarzy, którzy powrócili do ciężko rannych. Przez ten czas personel i ranni narażeni są na różne szykany ze strony grasującego żołdactwa: siostry są narażone na napaści i z trudem były obronione przed gwałtami. Pawilon główny nr. 5 jest zajęty przez Niemców, rozgrabiono go doszczętnie, urządzenia, jak aparaty rentgenowskie, wywiezione, urządzenia rozgrabione. Następnie po szeregu dni przeniesiono pozostałych rannych z pawilonu nr. 7 do Szpitala Wolskiego na ul. Płocką 9 (razem z personelem) i w tej chwili następuje przewożenie tychże do Milanówka, do części szpitala, przewiezionego w pierwszej partii".

(133) Protokół nr 55:

świadek Henryk Haboszewski, lat 30.
zamieszkały w Warszawie, ul. Selekcyjna 8;
protokołowała Irena Trawińska dnia 10. IX. 1944 w Podkowie Leśnej.

„Leżałem w szpitalu Czerwonego Krzyża przy ul. Pierackiego. Szpital ten został spalony; nadjechała tzw. „rycząca krowa" i wystrzeliła w szpital swój ładunek; zniszczono I piętro i objęto ogniem. W kilka minut cały gmach był objęty płomieniami. Mało kto wyszedł z życiem. Dzięki temu, że byłem na parterze, przy po-

mocy sióstr wydostałem się; większość rannych zginęła w płomieniach. Szpital wyjątkowo w tym dniu był zapełniony rannymi i wydobytymi spod gruzów — nie było kąta wolnego. Krzyki i jęki dominowały nad trzaskiem ognia i świstem kul. Smażyli się żywcem. Kto mógł, wyskakiwał i dobijał się. Straszny to był widok".

(134) Protokół nr 188:

świadek Janusz Regulski, zamieszkały w Podkowie Leśnej, i Anna Chomiczowa, siostra obozu pruszkowskiego; protokołowała Irena Trawińska w październiku 1944 w Podkowie Leśnej.

„Klinika położnicza przy ul. Starynkiewicza była okupowana przez oddział SS i Ukraińców i używana do ostrzeliwania sąsiednich ulic. Dnia 19. VIII po wyjściu oddziałów SS klinika przeszła straszliwą noc: kobiety wśród bicia, ryków, strzelania przez pozostałych były gwałcone, zarówno chore jak i ciężarne, pielęgniarki i siostry zakonne".

(135) Protokół nr 21:

świadek pielęgniarka ze Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie.

„Początek akcji dnia 1. VIII o godz. 17, min. 5—10. Pierwsze strzały padają od Nowogrodzkiej i Żelaznej. Teren szpitala zaczyna być ostrzeliwany przez Niemców z okien Wojsk. Instytutu Geograficznego. Pada pierwszy zabity spośród partyzantów, nazwiskiem Morawski. Wkrótce później szpital jest ostrzeliwany także z Domu Medyków. W pierwszych dniach powstania ranni AK i Niemcy umieszczani są na tych samych salach. Później Niemcy dziękują za pomieszczenie swych rannych. Zachodzą wypadki krycia się Niemców w szpitalu.

W dniu 4. VIII jeden z pawilonów szpitala, tzw. „Obserwacja", zostaje ostrzelany z niemieckiego czołgu. W dniach 5—7 sierpnia na skutek rozrzucenia ulotek, wzywających do wychodzenia na zachód z białymi chorągiewkami, szereg osób pada ofiarą Ukraińców. W szpitalu ma miejsce pogrzeb zabitych, a także zmarłych chorych. Dnia 8 następuje znów pogrzeb na terenie szpitala. W dniu 9

Ukraińcy zjawiają się na terenie szpitala. Przeprowadzono pierwszą szczegółową rewizję rzekomo w poszukiwaniu broni, właściwym celem jest grabież zegarków i kosztowności. Następnego dnia członkowie SS nakazują wszystkim mężczyznom opuścić szpital dla wylegitymowania się. Pozostawiono po jednym lekarzu na oddział i najbardziej niezbędnych urzędników. Z zabranych nikt do szpitala nie wrócił.

W nocy z 13 na 14 AK wycofuje się z Wojsk. Instytutu Geograficznego i Domu Turystycznego, z gmachu Poczty przy Żelaznej. Ukraińcy opanowują w dniach następnych szpital i rządzą się w nim. Dokonywane są akty gwałtu i terroru. Zachodzą wypadki strzelania po oddziałach. Napływająca do szpitala ludność, która tu szukała schronienia, zostaje przez nich wypędzona. Do szpitala przyprowadzono 14-letnią dziewczynkę: ofiarę gwałtu, którą umieszczono na oddziale. Z 15 na 16 ma miejsce bestialska noc w oddzielnej Klinice Położniczej. Kobiety są gwałcone. W dniu 16 Klinika przenosi się na teren szpitala. W dniu 17 posterunek niemiecki, złożony z kilku żołnierzy, zostaje wypędzony. W dniach następnych ponawiają się wciąż nocne wizyty po oddziałach w poszukiwaniu kobiet oraz rewizje i grabież w mieszkaniach personelu szpitalnego. Brani są zakładnicy, dwukrotnie po 10 osób, osobno. Sprawozdawczyni, czując się sama zagrożona, ucieka ze szpitala 23 wieczorem na podwodzie transportu żywnościowego".

(136) Protokół nr 208:

świadkowie — lekarze (dr Rydigier i dr Pertkiewicz),
siostry zakonne i pielęgniarki Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie;
protokół spisany dnia 26. VIII. 1944 w Brwinowie;
personalia świadków i protokolanta poniższych zapisków nie są redakcji znane;
protokół przyjęła Maria Małaszek.

„Dnia 26. VIII około godz. 18 przybyło do RGO 180 osób z Warszawy ze Szpitala Dzieciątka Jezus, Oddział Wewnętrzny, Skórny, Gruźliczy. W tej liczbie personel, siostry, sanitariuszki i sanitariusze, oraz chorzy. Z lekarzy przybyli dr Rydigier i dr Pertkiewicz.

Szpital Dz. Jezus do 6. VIII był w rękach Polaków, po wycofaniu się powstańców Wermacht objął w posiadanie szpital. Od 13. VIII grasowali Ukraińcy, mieszkali tam i robili, co chcieli, wprowadzając nastrój niepokoju i grozy. Jedna z lekarek, która

w tym czasie leżała w klinice położniczej, twierdzi, że gdy 13. VIII wpadli Ukraińcy na Klinikę, to dokonali gwałtu na kilku chorych i pielęgniarce w oczach wszystkich.

W szpitalu dał się odczuwać niedostatek żywności, jarzyn i kartofli nie widzieli w ciągu 3 tygodni.

Dnia 15. VIII zabrano ze szpitala około 400 mężczyzn, w tej liczbie niektórych lekarzy, sanitariuszy i chorych zdrowszych i nie związanych ze szpitalem, lecz przypadkowo tam będących. Wzięto ich jakoby na komendę miasta do wylegitymowania na parę godzin, gdyż przypuszczalnie między nimi mogli być powstańcy.

Od 15. VIII przed szpitalem w ciągu kilku dni stał tank dla bezpieczeństwa mieszkańców. Wzięci do wylegitymowania już nie wrócili (wg zeznania żony jednego z sanitariuszy wziętego do legitymowania, dostała ona wiadomość od męża z Piotrkowa, a miano ich wysłać do Łowicza).

25. VIII około południa kazano w ciągu 1 i ½ godziny szpital ewakuować. Chorych wraz z personelem było około 1.600 osób. Ewakuacja trudna ze względu na krótki czas i stan chorych. Siostry miłosierdzia chciały zostać z ciężko chorymi. Grożono śmiercią, jedynie 5 siostrom udało się pozostać z ciężko chorymi, ale i te później musiały być ewakuowane. Ewakuacja w okropnych warunkach, chorzy, niejednokrotnie bezsilni, musieli iść kilka kilometrów do Dworca Zachodniego pieszo pod konwojem. Chore z Kliniki Położniczej z małymi dziećmi na ręku wprost upadały pod ciężarem. Konwój zatrzymano w Tworkach na nocleg. Ponieważ w Tworkach nie było miejsca, przeznaczono chorych do poszczególnych miejscowości wzdłuż linii Grodzisk. Po drodze część chorych i personelu zatrzymała się u znajomych.

Dnia 27. VIII po przenocowaniu chorzy szpitala Dzieciątka Jezus wysłani zostali do Częstochowy do szpitala".

(137) Protokół nr 187:

świadkowie Janusz Regulski, lat 45,
Anna Chomiczowa, lat 30, siostra obozu pruszk., i inni;
protokołował Janusz Regulski,
protokół przyjęła Irena Trawińska w październiku 1944 r. w Podkowie Leśnej.

„Na terenie Szpitala Dzieciątka Jezus Niemcy ustawili karabiny maszynowe i urządzili skład amunicji, rozlokowawszy tam Ukra-

ińców, którzy atakowali kobiety i bili personel. 25. VIII zjawił się oddział SS i nakazał ewakuację w ciągu 20 minut całego personelu oraz lżej chorych. Około 1200 osób zostało w ten sposób wywiezionych bez żadnych rzeczy osobistych, narzędzi i środków leczniczych. Grabieni i bici przez SS i Ukraińców, popędzeni zostali na Dworzec Zachodni, skąd pociągami wywieziono ich do szpitala w Tworkach. W szpitalu na miejscu został jeden lekarz i około 300 ciężko chorych. Tegoż dnia w szpitalu wieczorem Ukraińcy szaleli, gwałcąc kobiety i dwie siostry zakonne".

(138) Protokół nr 502:

świadek Antoni Spandowski, lat około 30, dziennikarz, zamieszkały w Warszawie, ul. Złota 8, w czasie powstania w Szpitalu Dzieciątka Jezus; protokół własny.

„Żałuję, że nie prowadziłem w tym okresie dziennika, w najbardziej jednak prymitywnych obliczeniach nie przypuszczaliśmy na chwilę, że rozgrywka z niemieckim okupantem potrwa dłużej niż kilka dni. Byliśmy skłonni przypuszczać, że będzie to raczej kwestią doby. A kiedy rozgorzały walki, przeżywaliśmy tak intensywnie rozgrywający się dookoła nas dramat, że mimo absolutnej bezczynności brakowało nam czasu na techniczne utrwalenie przeżyć. Stąd we wspomnieniach niniejszych znajdą się pewne braki. Będą jednak one dotyczyły tylko chronologii wypadków. Jeżeli zaś w opisach znajdą się drobne nieścisłości, to należy policzyć je na karb specyficznych warunków i atmosfery i usprawiedliwić je brakiem najprostszych form i środków przekazywania informacyj, przyjętych powszechnie wśród jako tako zorganizowanych społeczności.

Kiedy około godz. 17 dnia 1 sierpnia padły pierwsze strzały, przypuszczaliśmy, że to jeszcze jeden incydent uliczny, może jeszcze jedno oblężenie zabarykadowanych w jakimś domu bojowców. Czekaliśmy więc na wiadomości. Strzelanina przedłużała się, i to było niepokojące, bo wobec technicznej przewagi Niemców starcia uliczne kończyły się szczęśliwie dla nas niemal tylko wtedy, kiedy szybko się likwidowały. Wreszcie jednak rozeszła się pogłoska, że nie chodzi tym razem o lokalny wypadek, że to „już". Warszawa w ogniu.

Szybko napływające wiadomości oszałamiają nas. Na drapaczu chmur powiewa flaga polska. Za chwilę bojowcy nasi opanowują gmach Wojskowego Instytutu Kartograficznego i na jego wieżyczce pojawia się biało-czerwona chorągiew. Strzały grzmią bez przerwy. Nowogrodzka jest pod stałym obstrzałem. Po drugiej stronie ulicy jest już „Wolność".

W zmierzchu zapadającego dnia krwawa łuna podnosi się w okolicy dworca. I już pędzi po salach wieść, że dworzec zdobyty, baraki niemieckie spalone, resztki niemieckie stawiają rozpaczliwy acz beznadziejny opór. Tej nocy nie śpimy ani na chwilę. Warujemy przy oknach, staramy się przez mrok, przez zbitą gęstwę zieleni wypatrzeć posuwającą się tyralierę naszych. Dym przewala się kłębami, powietrze przenika zapach spalenizny, jazgot broni automatycznej rozlega się bez chwili przerwy, krwawa łuna wisi nad Warszawą. Jesteśmy wszyscy najlepszej myśli. Jutrzejszy dzień przyniesie oswobodzenie. Nie ma wśród nas nikogo, który by przewidział, że za prawie cztery tygodnie będziemy szli po gruzach kilku dzielnic naszej stolicy do Dworca Zachodniego poganiani przez ludzi w obmierzłych zielonkawych mundurach.

Świtający dzień przynosi znamienne zdarzenie. Do szpitala zajeżdża karetka wojskowa z rannymi. Na dziedzińcu stają niemieccy żołnierze z rozpylaczami i pod taką osłoną odbywa się wyładowanie niemieckich rannych. Jest ich sporo. Plotka powiększa ich liczbę, każdy chciałby zobaczyć Niemca, zranionego w otwartej walce. Tego dnia wyjaśnia się, że my, zamknięci w Szpitalu Dzieciątka Jezus, pozostajemy na razie jeszcze pod władzą niemiecką. Niemcy są jednak przerażeni i w ich zachowaniu znajdujemy najlepsze potwierdzenie naszego przekonania i naszej wiary w rychły dzień wyzwolenia.

Kontakt z miastem całkowicie przerwany. Pozostajemy zdani na aprowizację szpitalną. Nie ma kartofli. Spędzamy dzień głodni, cóż to jednak znaczy wobec faktu, iż jutro przyjdą nasi żołnierze.

Nic się właściwie nie dzieje takiego, co by nas bezpośrednio dotyczyło, żyjemy jednak w niesłychanym podnieceniu i zdenerwowaniu. Wieczorem odbywa się reorganizacja dyżurów lekarskich i służby szpitalnej. Powstanie wybuchło nad wieczorem, kiedy w szpitalu pozostaje w zasadzie tylko personel dyżurny. Brak więc lekarzy i sióstr. Z trudem udaje się obsadzić wszystkie oddziały.

Reorganizacja ta budzi w nas złe przeczucia. Czyżby powstanie miało potrwać dłużej?

Niestety, dni przemijają. Zostajemy stopniowo pozbawieni wody, gazu, prądu elektrycznego, zaczynamy na dobre głodować. Kartofli i chleba ani na lekarstwo. Ustala się niezmienne menu: trzy razy dziennie zupę z kaszy jęczmiennej lub jaglanej, i to w małych porcjach. Szpital nie ma zapasów. Mimo woli myśli się ciągle o jedzeniu.

Przychodzą jednak większe nieszczęścia. Na teren szpitala wkracza wojsko niemieckie. Na drugim piętrze jednego z pawilonów wojsko niemieckie ustawia ciężkie karabiny maszynowe i pod osłoną międzynarodowego znaku Czerwonego Krzyża strzela całymi nocami do naszych w mieście. Wieczorami oddziały niemieckie wymaszerowują na pozycje przeciw Politechnice i WIK-owi. Na terenie szpitala ustawiono „ryczącą krowę". Nad naszymi głowami przelatują pociski. Liczymy przerażeni: raz, dwa, trzy, przeważnie sześć. A potem słuchamy, jak w bohaterskim, walczącym mieście rozlega się w tej samej kolejności sześć detonacyj. Znowu czarne kłęby dymu podnoszą się nad Warszawą to tu, to tam, i każdy z nas myśli z trwogą o najbliższych, którzy w domu pozostali, o walczących i ginących. Dym zalega cały szpital. Płonie Wola. Przedziera się z niej do szpitala jedna z sióstr i opowiada rzeczy, w które w tym momencie nie jesteśmy jeszcze zdolni uwierzyć. Płonie Ochota i Kolonia Staszica. Przez kłęby dymu słońce przebija się z trudnością, świecąc krwawo. Zdaje się, że cały świat się pali.

Codziennie przywożą rannych Niemców. Karetki niemieckie poprzedza samochód pancerny, obsługa karetki składa się z uzbrojonych żołnierzy. Wszyscy strzelają do naszych gniazd. Widziałem przy tej sposobności, jak poległ jeden z Niemców. Karetka z samochodem wjechała z Nowogrodzkiej na teren szpitala. Jeden z żołnierzy, bardzo młody, miał najwyżej 18 lat, wyszedł na ulicę i począł strzelać z broni automatycznej do polskich pozycyj. Nagle upadł z roztrzaskaną głową. Nasze siostry szpitalne mimo trwającej strzelaniny wyszły na ulicę i przyniosły jego zwłoki. Na jezdni pozostała leżąca broń. Wtedy Niemcy zażądali od sióstr, aby przyniosły ją na dziedziniec szpitalny. Nie chciały. Wtedy Niemcy zagrozili użyciem broni, jedna z sióstr ostatecznie więc

poszła i przyniosła z ulicy broń. Wjeżdżając i wyjeżdżając ze szpitala Niemcy gęsto strzelali jakby dla dodania sobie animuszu. Mamy w szpitalu dezerterów niemieckich. Jeden przyszedł ze zranionym palcem, rannego w ucho przyprowadzili dwaj inni żołnierze, i żaden z nich nie chce opuścić szpitala. Jeden z żołnierzy prosi lekarzy, aby go ukryli i nie wyjawili jego obecności. Drugi podejmuje się wykonywać najgorsze roboty w kuchni. Oddają lekarzom broń i w sposób przykry nawet dla wroga proszą o „przechowanie" ich przed grozą frontu. Lekarze są w głupiej sytuacji, zważywszy, że na terenie szpitala kwaterują przecież oddziały niemieckie.

Co wieczór po zapadnięciu ciemności Niemcy idą na pozycje. Wracają nad ranem we wściekłych humorach. Ponoszą bardzo wielkie straty. Codziennie dowiadujemy się, że taki a taki poległ. Z nami, chorymi, usiłują nawiązać kontakt. Są wśród nich tacy, którzy rozumieją trochę po polsku. „Litują" się nad nami. Jednego razu jakiś chory poprosił Niemca o papierosa. Potem cała sala zagroziła mu, że jeżeli kiedykolwiek jeszcze raz o coś poprosi Niemca, zostanie przykładnie obity. Lekcja pomogła.

Walki dokoła nas przybierają na zaciętości. W akcji poczynają brać udział czołgi. „Tygrysy" jeżdżą po ulicy Chałubińskiego. W pewnej chwili pod naszymi oknami „tygrys" oddaje strzał z ciężkiego działa i w efekcie u nas z brzękiem wylatują wszystkie szyby. Ponieważ coraz częściej zdarzają się wypadki, że zabłąkane kule wpadają do sal, większa część chorych przenosi się na wewnętrzne korytarze. Panuje tam zaduch niemożliwy do zniesienia. Niezliczona ilość much nie daje chwili spokoju. Służba stara się utrzymać jaki taki porządek, niesłychana jednak ciasnota i całkowity brak muchołapek uniemożliwiają zwalczenie tej plagi.

Niemcy przychodzą nas pocieszać, że wszystko będzie dobrze, skoro tylko załatwią się z tymi „bandytami" w mieście. Każdorazowo protestujemy przeciwko temu określeniu i rzeczywiście odnosi to pewien skutek. Coraz częściej Niemcy mówią „powstańcy".

Zwolna ogarnia nas rozpacz. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nie ma mowy o szybkim zwycięstwie. Panuje powszechne przekonanie, że powstanie potrwa co najmniej dwa tygodnie. Żartem wypowiadam zdanie, że potrwa ono co najmniej cztery tygodnie. Podnosi się wrzawa protestów i oburzenia: „kto by to przetrzy-

mał?“ Rzeczywiście trudno w to uwierzyć. Warszawa płonie od końca do końca, i jeżeli wojska sowieckie nie przyjdą z odsieczą, spłonie rychło doszczętnie.

Jednego dnia wychodzi ostre zarządzenie, zabraniające po zapadnięciu zmierzchu wyglądania przez okna. Wszystkie okiennice mają być zamknięte, nie wolno zbliżać się do okna, rozmowy są zabronione. Posterunki niemieckie otrzymały nakaz strzelania do każdego dostrzeżonego z zewnątrz człowieka. Gwiżdżemy sobie na to zarządzenie i w ciemności nikt nas nie dojrzy. Czujemy jednak, że na coś się zanosi.

Od pierwszego dnia powstania byliśmy w ogniu walki. Kolejno upadały nasze pozycje. Po zdobyciu Filtrów i budynków przy ul. Starynkiewicza zacięty opór stawiały na naszym odcinku dwie jeszcze m. in. pozycje: Politechnika i Wojskowy Instytut Kartograficzny. Koncentrowanie oddziałów i ciężkiej broni wskazywało na to, że Niemcy przygotowują się tu do zdecydowanego ataku.

Okazało się niebawem, że przypuszczenia nasze były trafne. Oddziały niemieckie przygotowywały atak na Politechnikę i Wojskowy Instytut Kartograficzny. Na wieżyczce WIK-u powiewała dotąd bez przerwy flaga polska. Sama wieżyczka przedstawiała obraz niesłychanego zniszczenia. Lżejsze i cięższe pociski potrzaskały ją do tego stopnia, że trudno było zrozumieć, w jaki sposób utrzymać się tam mógł jeszcze maszt. Jednego dnia celny pocisk strzaskał podstawę masztu, który upadł. Mimo ciągłego obstrzału jeden z obrońców dotarł do wieżyczki i ustawił ponownie chorągiew.

Z obrońcami WIK-u szpital ma niejaki kontakt. W murze, otaczającym teren szpitalny, od ul. Nowogrodzkiej wybito otwór. Tą drogą odbywa się komunikacja. Należało pod obstrzałem szybko przebiec ulicę. Obrońcy WIK-u kilka razy przychodzili na teren szpitala, przynosząc nam trochę żywności. I odwrotnie: siostry szpitalne przechodziły na teren WIK-u dla udzielenia pomocy rannym. Wysuwały one najpierw chorągiewkę z Czerwonym Krzyżem i po chwili wychodziły na ulicę. Na ogół wycieczki te odbywały się bez przeszkód, kilka razy jednak Niemcy ostrzeliwali grupę sióstr.

W ogóle ulice były jak wymarłe. Wytknięcie głowy z domu groziło śmiercią. Jednego razu siostry przyniosły z ulicy młodego mężczyznę, który uległ silnemu szokowi nerwowemu. W chwili wybuchu powstania schronił się on z szeregiem innych osób w jakimś gmachu urzędowym. Po kilku dniach całkowitej głodówki kilka osób zdecydowało się wyjść na ulicę. W chwilę po wyjściu przywitano ich salwą strzałów z broni automatycznej. Dwaj mężczyźni i jedna kobieta zostali na miejscu zabici, czwarty mężczyzna uległ szokowi nerwowemu, i kiedy siostry przyniosły go na noszach do szpitala, nie chciał uwierzyć w to, że nie jest ranny. Z Ogrodu Pomologicznego przy ul. Chałubińskiego codziennie rozlegały się krzyki i jęki rannych błagających o ratunek. Niemcy strzelali bezlitośnie do wszystkich, których zoczyli. Wśród ofiar, jakie padły w Ogrodzie Pomologicznym, były przeważnie kobiety, i to albo takie, które wybuch powstania zastał w ich ogródkach działkowych, albo też takie, które po kilku dniach głodowania wybrały się cichaczem do ogrodu dla zdobycia jakiegokolwiek pożywienia.

Była to zaiste krwawa ironia. Zabarykadowani w domach i my, chorzy w szpitalu, głodowaliśmy permanentnie, a przed naszymi oczyma leżał wspaniale uprawiony ogród, pełen jarzyn, kartofli i owoców. Cierpieliśmy męki prawdziwie tantalowe. Głód jest naprawdę wielkim bodźcem, zdawało się też nam, iż znaleźliśmy się na dnie niedoli. Czy przypuszczał kto z nas, że będziemy żałowali tych czasów? Doszło niebawem do tego. Po dłuższych przygotowaniach Niemcy przypuścili atak na Politechnikę i teren WIK-u. Przeżywaliśmy noce rozpaczy i tryumfu na przemian. Ogień palny i artyleryjski szalał. Nad Politechniką pękały jedna po drugiej race świetlne. Raz po raz przychodziły nowe „komunikaty". Nie pytaliśmy, skąd i od kogo. Wystarczyło nam, że przynosiły dobre wiadomości. Złym nie chcieliśmy wierzyć. Strzelanina chwilami wzmagała się, to znowu nieco przycichała. Ale trwała, i to było dla nas znakiem, że nasi się bronią. W szpitalu nikt nie spał. Siostry zakonne odprawiały nabożeństwa za pomyślność naszych żołnierzy. Byliśmy podnieceni do ostatnich granic.

Rano nie ujrzeliśmy już flagi polskiej na wieżyczce WIK-u. Jeszcze raz jej miejsce zajęła swastyka.

Żołnierze niemieccy przynieśli wiadomość, że Politechnika również padła. Wkrótce do szpitala dotarły siostry ze szkoły pielęgniarek, sąsiadującej z Politechniką i Ministerstwem Komunikacji, które stale znajdowało się w rękach niemieckich. Pocieszyły one nas wiadomością, że tylko część Politechniki została zdobyta. Do dziś dnia nie wiem, jak się tam rzeczywiście przedstawiała sytuacja. Równocześnie do szpitala przyniesiono ciężko chorego starszego mężczyznę z bloków oficerskich przy ul. Koszykowej. Mieszkańcy tych bloków po upadku Politechniki otrzymali nakaz ewakuacji. W drodze wyjątku pozwolono tego chorego przenieść do szpitala. Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się od naocznych świadków, że wszystkich mężczyzn wziętych w Politechnice Niemcy rozstrzelali na ulicy. Było ich ok. 150. Byli wśród nich i nasi żołnierze, i nie zaangażowani w walkach mężczyźni, którzy schronili się tu w chwili wybuchu powstania.

Obrońców WIK-u spotkał lepszy los. Po wyczerpaniu ostatnich możliwości obrony, nie mogąc przeciwstawić niczego „tygrysom", wycofali się przez Al. Gen. Sikorskiego do Poczty Dworcowej, która wytrwała do dnia kapitulacji.

Wspomnianego już chorego mężczyznę przynieśli do szpitala 2 jeńcy włoscy. Opowiadali oni nam, w jaki sposób Niemcy traktują Włochów, którzy opowiedzieli się po stronie Badoglio. Z początkowo dużej liczby jeńców w Warszawie pozostały niedobitki. Traktowani są jak bydło. Odżywianie ich jest tak nędzne, że rośnie przerażająca liczba zgonów z wygłodzenia i wyczerpania. Walki w Warszawie stworzyły doskonałą okazję do przetrzebienia resztek. Zupełnie świadomie i celowo Niemcy wysyłają Włochów na najbardziej zagrożone odcinki dla wykonania prac całkowicie niepotrzebnych. Włosi wyrażają się o Niemcach i o Mussolinim z największą nienawiścią.

Zdobycie najbliższych nam pozycyj polskich otworzyło nam oczy na grozę sytuacji. Po raz wtóry w czasie tej wojny Warszawa przeżywa regularne oblężenie, tym straszniejsze od pierwszego, że obecny przeciwnik nie liczy się już zupełnie z żadnymi względami na ludność cywilną. Niemilknący ostrzał z broni automatycznej wspiera bombardowanie lotnicze artyleryjskie i najcięższa rzecz — sui generis — miotacze ognia. Nad Warszawą wiszą bez przerwy ogromne łuny i aż dziw, że w tym piekle mogą żyć i tym

bardziej bronić się ludzie. Pojmujemy wreszcie, że pomoc z zewnątrz jest nieodzownie konieczna.

Na terenie szpitala istnieje zakonspirowany radioodbiornik. Słuchamy w podnieceniu komunikatów radiowych z Londynu, że pomoc się przygotowuje, że już idzie. Podnosi to nas na duchu, ale tymczasem Warszawa płonie i płonie.

W pierwszych dniach powstania docierają do nas komunikaty gen. Bora. Orientujemy się nieco, choć niedokładnie w sytuacji, w jakiej znalazła się Warszawa. Po salach toczą się gorące dyskusje. Przecież w niedzielę przed powstaniem wysunięte czołgi niemieckie przeszły przez szosę między Targówkiem a Drewnicą, w odległości jakichś 3 km od Wisły. Gdzie się znajdują obecnie wojska niemieckie? Co się z nimi stało? Gubimy się w domysłach.

Sytuacja w szpitalu staje się coraz gorsza. Z powodu braku prądu elektrycznego unieruchomiony został rentgen, kwarcówka, krótkofalówka. Jest to zwykła złośliwość Niemców, ponieważ sąsiednie budynki, zajęte przez nich, posiadają nadal dopływ prądu. Leczenie chorych natrafia na ogromne trudności. Siłą rzeczy badania odbywają się tylko osłuchowo. Wszystkie najbardziej nowoczesne urządzenia lecznicze stają się bezwartościowe. Lekarze wertują stare podręczniki medyczne, szukając zapomnianych sposobów badań. Na przykład, z powodu unieruchomienia elektrycznej wirówki badanie moczu odbywa się archaicznym sposobem przy pomocy pipetki. Głodujemy coraz bardziej, a odczuwamy to tym więcej teraz, gdy teren walk odsunął się od nas poza granice widoczności. Mnie w miejsce naświetlań krótkofalowych zaordynowano długą i bolesną kurację zastrzykami. Powinienem się przy tym jak najlepiej odżywiać. Patrzę całymi godzinami na zegarek i obliczam co chwila, jak długo będę musiał czekać na talerz zupy. Jeżeli mimo to wracam powoli do zdrowia, to jest to zjawisko niebywałe i wręcz nieprawdopodobne, przeciwne wszelkim zasadom wiedzy i logiki. „Zupełnie nie rozumiem — mówi do mnie lekarz żartem — dlaczego pan dotąd nie umarł. Trzeba będzie po wojnie napisać pracę na temat diety głodowej w przypadku pańskiej choroby". Znacznie później, kiedy już po wyjściu z Warszawy opowiadałem o tej głodówce innemu lekarzowi, ten wyraził przekonanie, że jakość pożywienia nie odgrywa większej roli, główna rzecz w tym, żeby nie konsumować płynów. O ironio. W okresie 3 ty-

godni jedyną potrawą niepłynną był kawałek niewypieczonego i niemal rozpływającego się, acz wspaniałego chleba, który siostry z niebywałym nakładem sił i energii upiekły na 15 sierpnia w dzień Matki Boskiej.

Przez dłuższy okres czasu pozostajemy bez wody. Sączącą się z rur piwnicy wodę zbiera się dla kuchni. Niemcy odcięli dopływ wody, aby pozbawić miasto możliwości gaszenia pożarów. Pralnia jest nieczynna. Bielizna szpitalna, pracowicie wyłatana, drze się obecnie w strzępy. Nasza bielizna osobista, przepocona i cuchnąca, budzi wstręt. Brud i nieporządek przenika wszędzie. Lekarze i personel szpitalny upadają ze znużenia. Jedna z sióstr, pełniąca bez przerwy dyżur nocny, ma 39° gorączki. Z największą trudnością udaje się ją przesunąć do grupy sprawującej dyżur dzienny. Do pracy zaciągają się ochotniczo osoby, które przypadkowo znalazły się na terenie szpitala. W naszym pokoju sprząta obecnie ochotniczka, kobieta w podeszłym wieku. Pokazuje nam fotografie swoich synów. Najstarszy siedzi w Oświęcimiu, aresztowany w czasie jednej łapanki AK. Najmłodszy syn, zaangażowany w małym sabotażu, został krótko przed powstaniem zaaresztowany. Średni przed powstaniem pożegnał się z matką i żoną i poszedł na wyznaczony posterunek. Jego żona z niemowlęciem znajduje się w mieszkaniu przy ul. Noakowskiego. „To jest mocny dom — pociesza się kobieta — może im się nic nie stanie". Oczy ma suche, ale wiemy, że ją to wiele kosztuje. Gdy ktoś usiłuje poddać w wątpliwość celowość tych wszystkich ofiar, kobieta oburza się i energicznie protestuje. Jest zimno. My, którzyśmy pozostali w pozbawionych szyb pokojach, odczuwamy to szczególnie dotkliwie. Szyby w drzwiach wewnętrznych wyleciały również, przynajmniej częściowo. Stąd przeciągi szaleją i przepocona bielizna nie może uchronić od zimna. W korytarzach na odmianę panuje zaduch niemożliwy do zniesienia. Leżą tu przeważnie ludzie starsi. Kiedy śpią, wymizerowani i zmęczeni, wydaje się, że leżą same zwłoki. Wrażenie to potęgują niezliczone muchy, które łażą po twarzach i rękach. Chorym brak już sił na opędzanie się. Noc nie daje przed nimi ochrony. Ilekroć zagrzmi w pobliżu działo, muchy budzą się i latają w ciemności. Dostają się pod koce, wpadają w rękawy i trzeba się rozbierać do naga, aby się ich pozbyć. Ktoś przynosi plotkę, że mamy być wyewakuowani.

Mamy kilku rannych z AK. Pierwsi z nich ulokowani zostali na oddziale chirurgicznym. Niemcy przychodzą i przyglądają im się. „To są bandyci". Odnosimy wrażenie, że zabiorą ich na rozstrzał. Następnych naszych rannych konspirujemy na innych oddziałach. Jest też jeden ranny, starszy człowiek, który nie brał udziału w walkach. Mieszkał przy ul. Grójeckiej. Dom został zdobyty i podpalony. On sam na 4 piętrze zbierał gorączkowo potrzebne rzeczy. W pewnej chwili wpadł do mieszkania Ukrainiec. Strzelił 2 razy. Jedna z kul trafiła w klatkę piersiową, druga strzaskała ramię. Ranny pozostawiony na łasce losu ocknął się i zdołał wydostać z płonącego domu. W niewytłumaczony sposób opłotkami wyszedł z najbardziej zagrożonych miejsc. Na ulicy zoczył go z dala żołnierz niemiecki, który oddał do niego salwę z automatycznego karabinu. Szczęśliwie chybił. Ranny upadł na ziemię, udając zabitego, a po chwili wyczołgał się za najbliższy płot. Tam go znalazły siostry szpitalne. W szpitalu założono mu opatrunek, ramienia jednak nie można było prześwietlić. W opatrunku leży szereg dni. Obawia się gangreny. Wszystko zależy od szczęścia. Brak materiałów opatrunkowych uniemożliwia założenie nowych opatrunków. W innym pokoju leży podporucznik AK ze strzaskaną nogą. Jest zawsze pogodny, niewymagający, nigdy nie narzeka i pewno z tego powodu stał się pupilkiem naszych sióstr. Chorzy, którzy nie palą, oddają jemu swoje papierosy. Sklepik, który istniał w szpitalu, uległ likwidacji. Właściciele rozdali bezpłatnie najpierw cukier pośród najbardziej chorych, a obecnie rozdają bezpłatnie papierosy. Są to wprawdzie tylko „junaki", ale jak się okazuje, są to czasami wspaniałe papierosy.

Jednego dnia Niemcy zabrali swoich rannych z naszego szpitala. Żołnierze niemieccy odtransportowali ich do szpitala na Koszykowej. Według ich relacji, ranni mają być zebrani w jednym miejscu i wyewakuowani z Warszawy. Chodzą znowu plotki o nieuchronnym odwrocie niemieckim. Jedna z wiadomości mówi, że transport rannych wysłany do Rzeszy wrócił do Warszawy, ponieważ pod Kutnem są już Rosjanie. Żołnierze niemieccy są już zdenerwowani, codziennie niemal żegnają się już „na zawsze", ale jakoś zawsze wracają.

Podczas zabierania rannych Niemców wyleźli z kryjówek dezerterzy niemieccy. Między nimi a żołnierzami z konwoju odbyła się

gorąca rozmowa. Dezerterzy byli zaniepokojeni „wycofywaniem się“ wojska i pragnęli „wycofać się“ również, ale przy tym oświadczali stanowczo, że na linię walki więcej iść nie chcą. Nie wiem, jakie otrzymali zapewnienie, dosyć, że opuścili teren szpitala. Opowiadali przy tym, że jadą do „Heimatu“.

Wycofanie rannych Niemców ze szpitala — jak się okazało — nie oznaczało bynajmniej wycofania się z Warszawy. Najbliższe dni przyniosły wyjaśnienie sytuacji. Otóż po oczyszczeniu najbliższego terenu z „band“ polskich, linie niemieckie przesunęły się, a teren szpitala jako „tyły“ oddany został Ukraińcom. W naszym życiu szpitalnym była to zmiana tak zasadnicza, że stanowiła ona moment przełomowy, dzielący nasze dzieje na 2 okresy. Pierwszy okres, w którym przeżyliśmy tyle przykrości z Niemcami, skończył się. Nasze przypuszczenia, że nic gorszego spotkać nas nie może — okazały się fałszywe, w następnych bowiem dniach przeżywaliśmy takie piekło, że cały ten drugi okres w pamięci zaciera się w szczegółach, traci wymierność czasu i zgoła pozory rzeczywistości. Dni i noce zlewały się ze sobą, zdarzenia postępowały po sobie z błyskawiczną szybkością, nie pozostawiając nam chwili wytchnienia, wypadki każdej godziny biły nas obuchem w głowę i dzisiaj dziwię się tylko, żeśmy wtedy wszyscy nie powariowali. Wtedy dopiero potrafiliśmy zrozumieć i wyobrazić sobie los mieszkańców Woli.

Objęcie terenu szpitala przez tzw. Ukraińców połączyło się z ewakuacją lżej chorych. Któregoś wieczoru wyszedł rozkaz niemiecki, aby chorzy, którzy mogą chodzić, opuścili teren szpitalny. W ciemnościach wieczornych zebrała się grupa kilkuset chorych z lekarzami. Wśród niesłychanego podniecenia Niemców grupa ta wymaszerowała na Dworzec Zachodni. W ostatniej chwili pozwolono na dalszy pobyt w szpitalu płucno-chorym. W szpitalu odgrywały się dramatyczne sceny. Jeden chory zawrócił, aby zabrać dokumenty. Zdenerwowany Niemiec, obwieszony fantastycznie pasami nabojów do broni automatycznej, mierzy do niego z karabinu i ryczy po niemiecku, że jeszcze jeden krok, a położy go trupem. W piwnicach, którymi przechodzi się na teren zbiórki, chorzy i siostry zakonne wśród płaczów odmawiają modlitwy za konających. Słowa litanii wbijają się w pamięć i tkwią tam bezmyślnie w oczadziałej i otępiałej głowie, mieszając się z jednym

wnioskiem „więc to już koniec?“ Po raz pierwszy zobaczyłem naocznie, że takie zwroty literackie jak: „męża oderwano od żony, syna od matki“ itp. wywodzić się mogą z rzeczywistości.

Wśród ryków i krzyków transport wyszedł na ul. Oczki. W ostatniej chwili lekarz wyreklamował mnie. Wracam piwnicami na mój oddział. Idę całkowicie wyczerpany. Najzupełniej obcy mi ludzie witają mnie z radością: „Jeszcze jeden“. Czuję się poniekąd jak zmartwychwstały z grobu. Widzę zemdlone kobiety, płaczące dzieci. Docieram z trudnością do mojego oddziału, przechodzę obok pustych łóżek, odpowiadam na parę pytań i śmiertelnie znużony kładę się w pustym pokoju do łóżka. Zasypiam twardo.

Przez parę dni nie mieliśmy żadnej wiadomości o chorych, którzy odeszli. Później okazało się, że umieszczono ich w słynnym obozie pruszkowskim. Tam leżąc na ziemi, ledwie przysypanej słomą, prowadzili w dalszym ciągu leczenie przy całkowitym braku lekarstw i środków leczniczych. Transport wyprowadzili ze szpitala Ukraińcy. Opowiadano, lecz nie ręczę za prawdomówność tych wieści, że w czasie marszu na Dworzec Ukraińcy zastrzelili szereg chorych, którzy nie mogli nadążyć. Podobno strzelali z czoła oddziału w nogi, a który z chorych, trafiony kulą, padł — tego dobijali. Nie widziałem tego sam, a plotki lubią przesadzać. Niezależnie jednak od tego stwierdzam, że może to być prawdopodobne.

Następnego dnia wyprowadzono ze szpitala kobiety z „terenu“. Zwrot ten przyjął się na określenie osób, które przybyły do szpitala z miasta. Przez ulicę Chałubińskiego prowadziła trasa wyznaczona dla tych grup ludności, które dobrowolnie lub przymusowo opuszczały Warszawę. W podziemiach „Romy“ przy ul. Nowogrodzkiej urządzono punkt koncentracyjny dla ludności zdobytych w tej okolicy domów. Stamtąd codziennie mniejsze lub większe grupy ludzi wychodziły w kierunku Dworca Zachodniego. Grupy te szły na ogół bez straży, co było rzeczą najzupełniej zrozumiałą wobec faktu, że droga do dworca prowadziła wyłącznie przez teren zajęty przez Niemców, a więc wykluczający ucieczkę. Jedyną taką możliwość przedstawiał nasz szpital, do którego wejść można było bramą przy ul. Nowogrodzkiej, odległą kilkadziesiąt kroków od ulicy Chałubińskiego. Mimo grożącego niebezpieczeństwa z każdej grupy „urywała“ się pewna liczba odważniejszych, którzy szukali azylu w szpitalu. Mimo ciężkiej sytuacji każdy przecież wierzył, że ostatecznie

powstanie zakończy się zwycięstwem, i kto zasmakował już wolności, ten nie bardzo tęsknił za powrotem pod władzę niemiecką. Z biegiem czasu nazbierało się w szpitalu sporo ludzi z terenu. Pogarszało to jeszcze bardziej naszą opłakaną sytuację aprowizacyjną, pragnęliśmy jednak ich zatrzymać. W tych wielkich dniach panowało wśród nas niezapomniane braterstwo.

Bliższe objaśnienia do rozkazu niemieckiego o ewakuacji lżej chorych a następnie chorych z „terenu" mówiły, że lekarze niemieccy przeprowadzą szczegółowe badanie pozostałych, a wszyscy ukrywający się zdrowi zostaną rozstrzelani. W tych warunkach większość zdecydowała się opuścić szpital. Niemniej sporo ich jeszcze zostało. W moim pokoju zakonspirował się młody mężczyzna, który po dłuższych naradach zapisany został jako reumatyk, tę bowiem dolegliwość trudno zbadać i stwierdzić.

W następnych dniach przybywało znowu ludzi z „terenu". Badania lekarskie nie nastąpiły i wszyscy ryzykanci utrzymali się do dnia ewakuacji całkowitej szpitala. Okazało się jednak wkrótce, że wybrali gorszy los.

Ukraińcy wszechwładnie opanowali teren szpitala. Zaraz na początku swego urzędowania przeprowadzili swoistą rewizję w opuszczonych gmachach i zakładach szpitalnych. W przyległym gmachu Anatomicum porozwalali zamknięte drzwi, porozbijali szafy z preparatami, poniszczyli cenne zbiory, urządzenia i przyrządy, poszukując gwałtownie złota i wódki. Wódka stanowiła, zda się, jedyny cel ich życia. Przez cały czas nie widziałem ani razu Ukraińca w trzeźwym stanie. Zatracili oni zupełnie podobieństwo do człowieka. Włóczyli się po oddziałach bez pasów, w porozpinanych bluzach, w rozchełstanych koszulach, zarośnięci, bez czapek, zataczając się i wywracając sprzęty, cuchnęli straszliwie. Sam widok napawał grozą. Chodzili stale uzbrojeni i każdemu przykładali pistolety do piersi. Uzbrojenie ich zresztą było fantastyczne. Posiadali przedpotopowe bębenkowce, ale także mauzery, a kilku nosiło amerykańskie pistolety automatyczne. Na chwilę nie wypuszczali broni z ręki. Nie wiem dlaczego, czy z obawy, czy też dlatego, że rola, jaką pełnili, sprawiała im pełną satysfakcję... Były momenty, w których nas mimo całej grozy sytuacji wręcz śmieszyli. Jednego np. razu znaleźli wózek rowerowy, ten wojenny środek komunika-

cyjny zaimponował im niebywale. Odtąd mogliśmy całe dnie obserwować, jak Ukraińcy na zmianę jeździli tym wózkiem wśród niebywałych ryków radości po drogach i ścieżkach szpitalnych. Innym razem zarekwirowali gdzieś konia z dorożką; nie można było nie śmiać się, kiedy się widziało, jak 4 Ukraińców jeździło bez przerwy dorożką. Miejsce na koźle było specjalnie uprzywilejowane, dlatego też co chwila zmieniali obsadę woźnicy. Powożenie sprawiało im niebywale wiele uciechy, z trudem też przybierali namaszczone miny, które jeszcze bardziej powiększały komizm sytuacji. Zachowywali się jak dzieci, które marzą o tym, że będą dorożkarzami, „kiedy dorosną". Okrucieństwo Ukraińców nie miało charakteru sadystycznego. Była w nim pierwotna dzikość, przypominająca czasy, kiedy zwycięski wódz oddawał swoim żołnierzom zdobyte miasto na łup, i dlatego też odpowiedzialność za wszystkie wyczyny Ukraińców spada na niemiecką rękę kierującą tym ślepym mieczem.

Na próżno usiłuję wskrzesić bardziej szczegółowy obraz tych dni, któreśmy spędzili z Ukraińcami. Był to okres takiego nieprzerwanego terroru, że straciliśmy poczucie rzeczywistości i rachuby czasu. Żyło się wtedy odgłosem stuku żołdackich butów, wrzawą dzikich gonitw, krzyków, ryków i płaczu. Zdawało się, że żyjemy w szpitalu dla wariatów, i dziw, żeśmy wyszli ze zdrowymi zmysłami. Pora przedpołudniowa była stosunkowo spokojna. Nie wiem, czy w tych godzinach Ukraińcy pełnili służbę, czy spali po całonocnych orgiach. W każdym razie mieliśmy większy spokój, głównie prawdopodobnie z tego powodu, że nie byli jeszcze tak pijani. Właściwe piekło zaczynało się po południu. Wszyscy Ukraińcy byli już wtedy pijani i równocześnie niesłychanie agresywni.

Brak mi słów na opisanie tej gehenny, jaką przeżyły w szpitalu kobiety. Wydaje mi się to czasami niewiarogodne i prawdopodobnie nie wierzyłbym w to, gdybym sam nie był świadkiem.

Pierwszy wypadek z tej dziedziny zdarzył się jeszcze w okresie, kiedy w szpitalu przebywało wojsko niemieckie. W tym czasie zdarzały się sporadyczne wypadki wtargnięcia Ukraińców na teren szpitalny. Przychodzili oni z wizytą do chorej Rosjanki. Niemcy ich zasadniczo usuwali, ale niezbyt energicznie, albowiem wizyty całych grup pijanych Ukraińców powtarzały się stale. Podczas jednej z takich „wizyt" 2 Ukraińcy wciągnęli do pustego pokoju 2 kobiety i dokonali na nich gwałtu. Po tym wypadku Niemcy dali za-

pewnienie, że Ukraińcom wstęp do szpitala został zabroniony. Mimo rzekomego zakazu Ukraińcy przychodzili w dalszym ciągu do szpitala, i na dalsze ekscesy nie trzeba było długo czekać. Przechodząc przez korytarz, w którym leżały chore kobiety, Ukrainiec zobaczył piętnastoletnią dziewczynkę, która czuwała przy łóżku chorej matki. W oczach kilkudziesięciu chorych kobiet Ukrainiec rzucił dziewczynkę na łóżko matki i zgwałcił ją. Tego rodzaju gwałty powtórzyły się jeszcze szereg razy, nie wszystkie jednak — ze zrozumiałych względów — dotarły do wiadomości ogółu. Można więc zrozumieć, jaki postrach padł na kobiety, z chwilą gdy teren szpitalny — wbrew pierwotnym zapewnieniom — oddano pod straż Ukraińcom. Niebawem najgorsze przypuszczenia zaczęły się sprawdzać — mało tego — rzeczywistość przeszła wszelkie wyobrażenia.

Wraz ze zbliżającym się zmierzchem rozpoczynały się w szpitalu dzikie gonitwy. Biada kobiecie, która nie zdążyła w czas ukryć się przed rozjuszonymi żołdakami. Każdy dzień przynosił szereg gwałtów, których grozę podnosił fakt, że Ukraińcy z upodobaniem tworzyli „ogonki". Kobietę, która wpadła im w ręce, gwałciło normalnie najmniej 5 Ukraińców. Ze szczególnym zapałem poszukiwali Ukraińcy sióstr-pielęgniarek, może dlatego, że w większości były bardzo młode. Biedne zagonione dziewczyny ledwo się utrzymywały na nogach.

Kryły się w najrozmaitszy sposób. Zamykały się w pokoju. Banda Ukraińców szturmowała do drzwi, inna banda patrolowała w szafach, gdzie się dało. Jedna z posługaczek uciekła przed Ukraińcem na strych i tam zakopała się w stosie gruzu, popiołu i sadzy. Jeden z Ukraińców upodobał ją sobie i ścigał ją bez wytchnienia. Kiedy jednym razem udało jej się szczęśliwie zmylić pogoń w naszym pokoju, wpadła w taki histeryczny śmiech, żeśmy myśleli, że zwariowała. Wszystkie zresztą siostry bliskie były obłędu. Emocje były zbyt silne na człowieka o mocnych nawet nerwach. Myśmy byli zupełnie bezradni; bezbronni wobec uzbrojonych Ukraińców, mogliśmy tylko pomagać pielęgniarkom w ukryciu się. W chwili gdy nadchodzili Ukraińcy, siostry-pielęgniarki wskakiwały do naszych łóżek. Zakrywaliśmy je całkowicie kocami, tak iż pijani Ukraińcy nie spostrzegali podstępu. Raz tylko Ukrainiec dostał należytą odprawę. Zatrzymał on jednego z młodych lekarzy i zażądał od niego wskazania miejsca, gdzie ukryły się siostry. Lekarz odmó-

wił, a kiedy Ukrainiec zagroził mu, że go zastrzeli — odpowiedział, że nic mu po takim życiu. „No, to chodź“ — mówi Ukrainiec i ciągnie go na dziedziniec. Sprawa przedstawiała się groźnie. Tuż przed wyjściem lekarz odwrócił się, znokautował Ukraińca i szczęśliwie uciekł. Na drugi dzień przyszli Ukraińcy pytać, gdzie jest ten lekarz, co „naszego komandira“ tak w „zuby“ uderzył, że mu ot takie jajo wyrosło. Przez szereg dni trwały gwałtowne, ale na szczęście bezskuteczne poszukiwania. Jednego razu Ukrainiec zoczył starszą posługaczkę, około 60-letnią kobietę, wypoczywającą w łóżku. „Ja jestem stara“ — mówi kobieta. „Nic nie szkodzi — w zęby ci nie będę patrzył“ — odpowiedział Ukrainiec i zgwałcił ją.

Szczytem wszystkiego był pamiętny napad na klinikę położniczą. Około 50 Ukraińców wtargnęło tam jednego wieczoru i pogwałcili niemal wszystkie położnice. Zgwałcone zostały kobiety, które dopiero co urodziły. Jedna z położnic, zgwałcona w dzień po porodzie przez pięciu Ukraińców, nazajutrz zmarła na skutek zakażenia. Po tym wypadku kobiety z oddziału ginekologicznego, położniczego i gruźliczego przenosiły się na każdą noc na nasz oddział i spędzały noce w piwnicach lub gdzie się dało.

Ukraińcy cierpieli na manię prześladowczą. Awanturowali się, stale twierdząc, że posiadamy w szpitalu ukrytą broń i strzelamy do nich z ukrycia. Zarzuty te były pozbawione wszelkich podstaw, niemniej wystarczyły Ukraińcom do zainaugurowania nowej zabawy, wzorowanej na przykładzie niemieckim. Rozpoczęło się mianowicie pobieranie zakładników. Wieczorem zabierali Ukraińcy 10 osób, kobiety i mężczyzn spośród personelu lekarskiego, pielęgniarskiego i chorych. Zakładników trzymali w Gmachu Wojskowego Instytutu Kartograficznego i nazajutrz rano zwalniali. Powtórzyło się to kilka razy. Spośród zakładniczek wybierali sobie Ukraińcy kobiety, które musiały im towarzyszyć w całonocnej orgii. Jedną z takich ofiar odwiedzili nazajutrz w gmachu służbowym i tam zgwałcili znowu „kolejką“, zarówno ją samą jak i inne schwytane w tym mieszkaniu kobiety.

W końcu dowództwo niemieckie, które nie tak dawno objęło całkiem nieproszoną opieką nasze szpitale, wycofało się na z góry wybrane stanowisko. Delegacji lekarzy oświadczono wręcz, że ma się porozumieć bezpośrednio z Ukraińcami. Że teren nasz oddano Ukraińcom, którzy są niezmiernie czuli na punkcie swego prestiżu i iry-

tują się na wszelkie interwencje niemieckie, które w tych warunkach przynoszą nam tylko szkodę.

Spróbowano więc i tego środka. „Komandir" najuroczyściej przyrzekł, że ukróci swawolę swych żołnierzy, na poczekaniu kazał rozstrzelać jednego z Ukraińców za błahe przekroczenie, po czym napił się z nim wódki i oświadczył, że ze szpitala padają strzały — i w rezultacie nic się nie zmieniło. Porozumienie z Ukraińcami było zresztą całkowicie wykluczone, ich mentalność bowiem była najzupełniej nam obca. Nie można było im wytłumaczyć, że zgwałcenie kobiety jest dla niej dramatem i nieszczęściem. „My ci nic złego nie zrobimy — mawiali Ukraińcy — nawet zapałek dostaniesz". Gwałt uważali za coś zupełnie naturalnego. Dziwili się i oburzali, że pielęgniarki uciekają na ich widok. Uważali to za dowód wrogiego do nich nastawienia. Z tymi ludźmi nie można było znaleźć wspólnego języka...

Warszawa płonęła i walczyła, a radio londyńskie tłumaczyło nam cierpliwie, że wyprawa lotnicza nad Warszawę jest zbyt kosztowna, bo tyle a tyle procent samolotów ulegnie zagładzie.

Nadszedł pamiętny dzień 24 sierpnia. Dzień minął jak wszystkie poprzednie. W nocy rozpoczął się atak radziecki na Pragę. Daremnie siliłbym się na opisanie naszych uczuć. Nie spaliśmy ani minuty. Kanonada zbliżała się, rosła, strzały artyleryjskie zlewały się w nieprzerwany huk, grzmiały coraz bliżej, coraz bliżej. Zakładaliśmy się, o której godzinie opuszczą nas Niemcy i Ukraińcy, aż dziw, żeśmy z radości ze skóry nie wyskoczyli.

A potem stała się rzecz straszna. Kanonada zaczęła oddalać się i cichnąć. Rano słychać już było tylko zwykłą strzelaninę w mieście.

Około godz. 10 dnia 25 sierpnia do szpitala przyszedł nakaz ewakuacji, która się miała odbyć o godz. 12. Gorączkowo pakujemy nasze rzeczy. Po z górą półtoramiesięcznym pobycie w łóżku czuję się osłabiony, zapakowanie skromnego dobytku nie trwa jednak długo. Siedzimy przy swych pakunkach i czekamy, a nuż może przyjdzie zmiana rozkazu. Może jednak nas zostawią. Mimo wszystko, cośmy przeżyli, a może właśnie dlatego, chcemy zostać na miejscu i doczekać się w Warszawie tej chwili, kiedy Niemców już nie będzie.

Jeszcze raz nie spełniły się nasze nadzieje. O godz. 12 wpadają na oddział Ukraińcy i wyrzucają nas z korytarzy. W łóżkach pozostają niedołężni chorzy, starcy, ranni, wszyscy, którzy nie mogą samodzielnie chodzić. Pijani już Ukraińcy rozkazują otwierać piwnice, bo zaraz mają rzucać zapalające granaty. Cały personel lekarski, pielęgniarski i pomocniczy musi razem z nami opuścić szpital. Jesteśmy przekonani, że ci, którzy pozostaną, będą wymordowani. Szybko żegnamy się z pozostającymi. Na dziedzińcu ustawiamy się parami. W pewnej chwili z trzaskiem otwiera się jakaś okiennica i na bruk wypada młoda kobieta. Z pokaleczonymi nogami wpada w nasze szeregi, na pół obłąkana. Jak się okazało, postanowiła pozostać z rannym mężem. Ukraińcy wpadli do pokoju, zamknęli drzwi i w oczach męża zamierzali ją zgwałcić. Zdołała im się wyrwać, rzuciła się na okno i pod ciężarem okiennica szczęśliwie wyłamała się. Jakaś starsza kobieta z rozpaczą pcha wózek do przewożenia chorych, na którym spoczywa jej chory mąż. Prosi wszystkich o pomoc, błaga Niemców na kolanach, czepia się ich rąk, ale ostatecznie oddzierają ją od chorego. Idzie z nami półżywa.

Przechodzimy przez cały teren szpitala. Przy wyjściu na ulicę Oczki ustawili się Ukraińcy. Zdzierają z rąk zegarki, rewidują i zabierają kosztowności. Gestapo i SS-mani przyglądają się temu z pobłażliwymi uśmiechami. Jeden z Ukraińców stoi z harapem i od czasu do czasu bije przechodzących. Coś mu się we mnie nie podobało, bo podnosi harap, zamierza się i zostałbym obity, gdyby inny Ukrainiec z nagła nie uderzył go w zęby. Wali się jak długi na ziemię, a tymczasem ja przechodzę.

W budynku przejściowym stoją Niemcy i Ukraińcy i przyglądają się wychodzącym chorym. Tu i ówdzie wybierają sobie kogoś, odłączają z pochodu i odstawiają na bok. Jakaś kobieta skomli u nóg Niemców, błagając ich o wypuszczenie zatrzymanego męża i syna. Pada krótki rozkaz i obaj zostają za budynkiem rozstrzelani.

Na ul. Oczki ustawia się powoli długi wąż ludzi. W spiekocie słonecznej czekamy na wymarsz. Dokoła nas uwijają się Niemcy i Ukraińcy. Przyglądamy się okolicznym potrzaskanym kulami budynkom. Czekanie się przedłuża. Słabniemy coraz bardziej. Jakaś kobieta z oddziału położniczego dostaje krwotoku. Sanitariuszki zdobywają gdzieś nosze i za chwilę przenoszą koło nas zemdloną kobietę. Jej rozkraczone, gołe nogi oblane są całe krwią. Siadamy

na swych pakunkach. W tej chwili przychodzi rozkaz: do wymarszu. Podnosimy się i znowu czekamy. Trwa to w nieskończoność. Wreszcie ruszamy.

Idziemy ul. Oczki, Suchą, Filtrową, przez Plac Narutowicza i Kopińską na Dworzec Zachodni. Idę w ogonie pochodu. Na jezdni na skrzyżowaniu ul. Oczki i Suchej leży wielka plama krwi. Na Filtrowej tarasują drogę spalone konie. Na skwerze przy ul. Łęczyckiej leży kilka trupów ludzkich, ułożonych systematycznie i porządnie w rządek. Idziemy obok spalonych budynków jednej z najładniejszych dzielnic Warszawy. Widzimy naocznie, że domy te nie spłonęły od pocisków zapalających. Zostały po prostu podpalone. W okolicy gmachu wojewódzkiego na chodniku stoją fotele. Siedzą w nich Niemcy, zajęci w tej chwili wyjadaniem konfitur ze słoików. Na balkonie na pierwszym piętrze jednego ze spalonych domów przy ul. Filtrowej leży wielki bernardyn. Patrzy na nas z filozoficznym spokojem. Na Pl. Narutowicza płonie wielki budynek około kościoła. Z ul. Kopińskiej pozostało tylko wspomnienie. Na całej długości naszej trasy nie spalone były jedynie bloki oficerskie przy ulicy Koszykowej, gmach urzędu wojewódzkiego, jeden dom przy ul. Asnyka, oraz dom akademicki na Pl. Narutowicza. Reszta spalona lub wręcz w gruzach.

Na Filtrowej jedna z sióstr zakonnych nie nadąża za pochodem. Podchodzi do niej oficer SS, kopie walizę, która pada na jezdnię, otwiera się i rozwala, grozi siostrze browningiem i popycha ją do przodu. Zakonnica płacząc łączy się z nami. Zarządzono krótki odpoczynek. Walimy się jak kłody na ziemię. Niektórzy z nas mają wysoką gorączkę, wielu jest takich, którzy odzwyczaili się od chodzenia. Ja sam przeszło półtora miesiąca leżałem nieprzerwanie w łóżku. Dziwię się, żeśmy zdołali ujść taki kawał drogi. Okazuje się, że człowiek wiele może zrobić, gdy musi.

Kilkoro ciężej rannych, słabszych, zwłaszcza starszych ludzi, dobywa resztki sił. Zatrzymują się i opierają się o drzewka, o gruzy i mury, odpoczywają parę sekund dla wytchnienia. Nagle zajeżdża samochód ciężarowy. Najsłabsi mają pojechać nim do celu podróży. Okazuje się, że nie ma najsłabszych. Nikt nie chce wsiąść do samochodu. Strach przed Niemcami dodaje sił. W gromadzie każdy czuje się pewniejszy. Siłą lekarze i sanitariuszki pakują na samochód pewną ilość staruszek i starców. Dworzec Zachodni jest

zabarykadowany. Musimy obejść płoty i zasieki. Przedłuża to znowu drogę. Niektórzy w desperacji rzucają do rowu swoje pakunki, które z takim trudem dodźwigali dotąd. Ogarnia nas rozpacz. Wleczemy się znowu dalej, przechodzimy pod tunelem, przebywamy wśród upadków torowiska i lądujemy wreszcie uszczęśliwieni na peronach dworcowych. Część natychmiast lokuje się w wagonach towarowych, reszta czeka. W niesłychanym natłoku roztarasowujemy się na ziemi. Ukradkiem robię dwa zdjęcia fotograficzne.

W pewnej chwili robi się zamieszanie. Jedna z kobiet zaczyna rodzić. Przez całą dobę miała bóle. Obecnie zaczyna się, zdaje się, na serio. Jej towarzyszki układają ją na rozłożonych pakunkach. Położnica leży i jęczy. Chwilę trwa poszukiwanie odpowiedniego lekarza. Znaleziono go wreszcie i przychodzi. Usuwamy się z pola widzenia i lokujemy się w innym miejscu. Położnicę otaczają kobiety. Dwoje jej drobnych, wystraszonych dzieci z przerażeniem obserwuje, co się dzieje z matką.

Sanitariuszka przynosi nam trochę wody do picia.

Po długim czekaniu podprowadzono pociąg elektryczny. W mig zapełnia się. Ja odjeżdżam trzecim transportem już nad wieczorem. I wygrałem na tym. Jak się okazało, dwa pierwsze transporty poprowadzono ze stacji w Pruszkowie do odległego o około 3 km obozu przejściowego. Na interwencję lekarzy Niemcy zgodzili się na skierowanie nas do szpitala w Tworkach. Oba więc pierwsze transporty powróciły do Pruszkowa i poczekały na nas. Późnym wieczorem wyruszyliśmy do Tworek. Zakład dla umysłowo chorych w Tworkach w większej części był przez Niemców zajęty. Z tego głównie powodu zatrzymano nas przed bramą przez dłuższy czas i dopiero po północy wprowadzono na teren szpitalny. Lekarze polscy nie otrzymali zawiadomienia o naszym przybyciu, nic więc nie przygotowano. Lokujemy się w betonowych piwnicach. Niektórzy rozkładają na cementowej posadzce płaszcze, rzucają się na nie i zasypiają natychmiast snem kamiennym. Zdobyłem gdzieś krzesło i na nim spędzam noc całą.

Od wczesnego rana toczą się narady lekarskie nad dalszymi naszymi losami. Decyzje zmieniają się co chwila. Szpital nie jest w stanie przyjąć takiej liczby chorych. W południe nagle zapada

decyzja. Mamy być umieszczeni w szpitalach w Podkowie Leśnej i Milanówku. W ciągu kilkunastu minut podjeżdża pociąg EKD. Nie zjadłszy obiadu, jedziemy dalej.

Szpital w Podkowie Leśnej, jak się na miejscu okazuje, jest całkowicie przepełniony. Przyjąć może jedynie 2 kobiety na oddział gruźliczy. Roztarasowujemy się na trawnikach, zobojętniali na wszystko. Nad wieczorem lekarze podnoszą nas na nogi. Mamy iść do Brwinowa, gdzie otrzymać mamy na noc salę miejscowego kina. Przyszłość przedstawia się beznadziejnie. Lekarze poufnie radzą nam, abyśmy na własną rękę starali się znaleźć sobie punkt oparcia. W pewnej chwili podejmuję decyzję. Wsiadam do kolejki i jadę przed siebie. Szczęście mi sprzyja. Jeden z podróżnych zaprasza mnie do siebie na noc. Następnego dnia dojeżdżam do Grodziska i stąd kilkoma pociągami towarowymi docieram do rodziny.

Znowu jeden rozdział życia zamknięty. Długi czas upłynął, zanim przyzwyczaiłem się do normalnych warunków życia, przedpowstaniowych. Trudno mi było zrozumieć, że można chodzić po ulicach, jeść chleb i kartofle, że nie słyszy się huku wystrzałów, że powietrze może być czyste, noce ciemne, nie rozjaśnione łunami pożarów, niebo gwiaździste.

Przeszedłem rekonwalescencję pomyślnie. Jestem już znowu zdrowy i cieszę się z tego. Następnym razem może mi szczęście będzie bardziej sprzyjało. Nie chcę już więcej leżeć w szpitalu.

owie Leśnej
ociąg EKD.

kazuje, jest
iety na od-
zobojętniali
nogi. Mamy
niejscowego
rze poufnie
sobie punkt
do kolejki
różnych za-
jeżdżam do
ocieram do

as upłynął,
ycia, przed-
chodzić po
wystrzałów,
one łunami

już znowu
zczęście bę-
talu.

PRUSZKÓW

VII

Dulag 121 (Durchgangslager) — Pruszków. Obecne tereny warsztatów kolejowych w miasteczku położonym 18 km od stolicy na trasie do Żyrardowa — to epilog powstańczej gehenny. Ewakuowaną z Warszawy ludność gromadzono w nie przygotowanych do masowego pobytu halach, w nadzwyczaj prymitywnych warunkach.

Z daleka dochodzą odgłosy bitwy, świeci łuna nad Warszawą. Lecz tu w pruszkowskim obozie — spokój przerywany tylko pojedynczymi strzałami. Mimo to rzeczywistość niemniej straszniejsza niż poprzednio. Rodziny, które powstanie przebyły wspólnie, muszą się teraz rozłączyć, ludzie podejrzani politycznie idą do obozu koncentracyjnego, zdolni do pracy — do obozów pracy, chorzy i ranni do różnych miejscowości na teren „Generalnej Guberni". Dla tych ostatnich Pruszków był ostatnim etapem przed wolnością, dla większości był pierwszym etapem nowej udręki, która w całej pełni rozpoczynała się dopiero w Rzeszy.

(139) Protokół nr 164:

świadek dr W. Wolffram, kobieta, lekarz obozu pruszkowskiego;
protokół wręczony komórce dokumentacyjnej za pośrednictwem Haliny Kaźmierczakowej, zamieszkałej w Warszawie, ul. Glogera 3.

„...Transporty zaczynają przyjeżdżać w niedzielę 6 sierpnia, lecz nie rozładowywane jadą dalej. W poniedziałek zaczynają przychodzić piechotą i pociągami. Poniedziałek, wtorek to Wola; środa, czwartek, piątek — Ochota. Ludzie ci są bardzo zmaltretowani, bo przechodzili przez drugi obóz na Zieleniaku. Sobota, dwunastego, dalszy ciąg Filtrowej, Sucha, początkowe masy z Grójeckiej, końcowe z Alei Jerozolimskich. Transport ten bardzo duży i baraki zatłoczone. Przez niedzielę i poniedziałek obóz powoli prawie zupełnie pustoszeje. W poniedziałek, czternastego pod wieczór, niewielki transport, po części z Alei Jerozolimskich, po części z Mokotowa; stan względnie dobry, rannych nie ma. Przez cały tydzień następny na barakach względnie pusto. Był jakiś transport z Nowogrodzkiej do Marszałkowskiej, transporty mężczyzn z Pragi, przywieziono w części szpital Dzieciątka Jezus. We wtorek, 22, przyjechał duży transport ludzi z Mokotowa. Tegoż dnia, o ile się nie mylę, wprowadzono do obozu nałapanych na ulicach lub po mieszkaniach Pruszkowa ludzi z „kennkartami“ warszawskimi lub nawet pruszkowskimi.

Środa, 23 sierpnia, kilkaset osób z Milanówka, głównie młodzi mężczyźni.

24. VIII, pod wieczór, Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat (nie więcej jak 2.000 osób).

25. VIII — dalszy ciąg szpitala Dzieciątka Jezus.

26. i 27. VIII — mężczyźni nałapani z nakazu po domach w Rembertowie, Wesołej, Babicach i Włochach. Po południu 400 dzieci od 0—5 lat z domu podrzutków im. ks. Boduena na Nowogrodzkiej. Następne parę dni znów niewiele. Troszkę Praga i okolice znad Wisły, jak Zielonka, Kobyłka, trochę Mokotowa, Żoliborza, Ma-

rymont, Bielany, trochę połapanych z miejscowości położonych między Warszawą a Pruszkowem.

W czwartek, 31 sierpnia, wieczorem zaczyna się Starówka. Cały piątek, sobota i niedziela przychodzą bez przerwy do późnej nocy po dwadzieścia kilka transportów dziennie. Bardzo zły stan fizyczny. Plus minus 40 do 50% ludzi jest lekko rannych lub chorych. Plus minus 3—4% ciężko rannych, przeważnie ciężkie poparzenia twarzy i rąk. Według relacyj tych ludzi najciężej ranni nie są w ogóle przywożeni. W nocy z 2 na 3 września nocowało w obozie 43.000 ludzi. Innym wejściem przyprowadzono nowy transport rannych mężczyzn.

W niedzielę, 3 września, głuche wieści o przywożonych samochodami powstańcach. Na teren ich nie zwożą. Podobno umieszczają w koszarach zaraz obok, a co robią dalej — nie wiadomo. Jedna z sióstr, która jest sekretarką w wagonie, podobno podsłuchała, jak Niemcy mówili między sobą, że tych bandytów trzeba powystrzelać.

Poniedziałek, wtorek — jeszcze dalszy ciąg Starówki i zaczyna się Powiśle. Też bardzo duże ilości (kilkanaście dziennie). Ludzie bardzo zmęczeni i chorzy. Rannych mniej niż ze Starego Miasta.

Od piątku, 8 września, już idzie całe Śródmieście, Tamka, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Smolna itp. przymusowo, inne na ochotnika.

Przeważnie kobiety, starzy i dzieci, dużo rannych; wielkie przygnębienie. W piątek albo w sobotę o 12 w nocy przy wyładowywaniu na torze transportu przez nieuwagę czy też umyślnie puszczono pociąg z drugiej strony po sąsiednim torze. 9 osób z wysiadających zostało zabitych, 12 rannych.

Po niedzieli, 10 września, ilość przyjedżających znacznie się zmniejsza. Przychodzi nadal trochę z Powiśla do Placu Trzech Krzyży.

Czerniaków, bardzo zmaltretowany; około 17 — Wawrzyszew, Bielany, Żoliborz za Placem Wilsona.

W sobotę, 16 września, przywieziono wszystkich mężczyzn wybranych na Włochach od lat 16 do 50. Przedefilowali tylko przez obóz; przeładowano ich zaraz na transport.

Transporty przyjedżają na ogół pociągami elektrycznymi (3 lub 6 wagonów), plus minus 400 lub 800 osób...“

(140) Protokół nr 190:

dwaj świadkowie — Janusz Regulski, przemysłowiec, zamieszkały w Podkowie Leśnej, pracownik obozu pruszkowskiego, i Anna Chomiczowa, siostra obozu pruszkowskiego. Sprawozdanie I zespołu członków RGO w Pruszkowie.

„...Obóz ten uruchomiony został dn. 6. VIII. 1944 pod kierownictwem SS i żandarmerii i do chwili objęcia obozu przez Wehrmacht, to jest do dnia 11. VIII, ludność ewakuowana otrzymywała jedzenie jedynie ze zbiórki okolicznej ludności, zorganizowanej przez ośrodek zdrowia w Pruszkowie. Od chwili objęcia obozu przez wojsko warunki się nieco poprawiły, wprowadzony został pewien stały system organizacyjny.

Dowódcą obozu został pułk. Sieber, który wraz z podległym mu oddziałem wojskowym zarządzał sprawami związanymi z ochroną i organizacją życia w obozie; wysiedlonymi natomiast zarządzał wyłącznie lokujący się w tzw. „zielonym wagonie"... [?] pod dowództwem Sturmbannführera Diehla i jego zastępcy Untersturmführera Wetke, składający się z kilkunastu gestapowców i żandarmów. Obok „zielonego wagonu" stały 2 wagony towarowe, służące jako więzienie obozowe. Lekarzem naczelnym był Stabsarzt König, zastępcą jego Stabsarzt Klener oraz przejściowo, w okresie większego nasilenia, 5—6 oficerów-lekarzy niemieckich. Przy pełnieniu swoich funkcyj lekarze podlegali dyrektywom i wskazówkom miejscowego Gestapo.

Personel polski na terenie obozu składał się z kilkunastu lekarzy, częściowo zgłaszających się dobrowolnie, częściowo wyciąganych spośród ewakuowanych z Warszawy, dalej z kilkuset sióstr-sanitariuszek oraz paru mężczyzn, którzy pod różnymi pretekstami uzyskiwali prawo wchodzenia i pracy w obozie.

Należy tu zadokumentować, że cały ten polski personel, nie stanowiący żadnej organizacji, lecz złożony wyłącznie z osób indywidualnie i z własnej inicjatywy zgłaszających się do pracy w obozie, pracował z olbrzymim poświęceniem, nie patrząc na trudy i ryzyko osobiste. Personel ten w walce z władzami niemieckimi o wyswobodzenie z obozu ludzi, tworzył siłę, której nie mogły zwalczyć żadne przepisy ani represje ze strony władz niemieckich. Dziesiątki tysięcy ludzi zostały przez nich wydobyte z obozu jako ranni czy chorzy, w ogromnej części pod pretekstem chorób, przy olbrzy-

miej inwencji co do sposobów wydobywania, przy dużym ryzyku osobistym. Szereg sióstr zostało ukaranych przez władze policyjne odebraniem przepustek, aresztem, dwie zostały wywiezione do obozu karnego w Ravensbrück po długotrwałym więzieniu w Pruszkowie. Żadne jednak groźby ani represje nie mogły powstrzymać ochotniczego personelu polskiego od pełnej poświęcenia pracy, która do ostatniej chwili była kontynuowana z tym samym nasileniem, pomimo że Niemcy z całą siłą starali się przeciwdziałać przeróżnym i coraz to nowym sposobom stosowanym przez ofiarne siostry. Ta pełna odwagi i poświęcenia działalność zasługuje na głębokie uznanie. Nie zmienia tego obrazu fakt pobierania przez niektóre mało etyczne jednostki opłat za różnorodną pomoc, a nawet w pewnych wypadkach i wyzysku. Nadużycia w dzisiejszych czasach wszędzie się zdarzają, a więc i tutaj.

Wywożona z Warszawy ludność przyjeżdżała pociągami towarowymi przez bramę nr. 14 do Warsztatów Kolejowych. Tutaj była ona wyładowywana i wprowadzana do obozu pod gęstą eskortą żandarmerii. Żołnierze niemieccy nie mieli prawa pomagać ani chorym, ani rannym przy wysiadaniu z wagonu, ani też starszym osobom przy przenoszeniu pakunków, robił to właśnie [personel] polski, zbyt jednak nieliczny w stosunku do olbrzymich mas napływającej ludności, ażeby pomoc ta mogła być choć w części wystarczającą. Transporty przychodziły dniem i nocą. Zdarzył się raz okropny wypadek, kiedy nocą na ludzi, znajdujących się na torze, najechał pociąg towarowy, idący bez widocznego światła i bez ostrzeżenia ze strony służby kolejowej. Zmasakrowanych zostało wtedy 12 osób.

Od bramy 14 olbrzymie transporty ludzi ciągnęły powoli w kierunku hali rozdzielczej nr. 5, oddalonej od wejścia o około 1½ km. Te korowody ludzi, nie znających swego losu, przerażonych, często przeciążonym własnym bagażem, starych, chorych i rannych, przedstawiały okropny widok. Już po drodze personel polski pomagał przy przenoszeniu rzeczy, transporcie rannych, dając szybko zbiedzonej ludności krótkie informacje, jak powinna się zachować przy segregacji i jakimi sposobami dążyć muszą do wydostania się na wolność. Straże niemieckie jak mogły utrudniały te rozmowy i pilnowały, ażeby pojedynczy ludzie z transportów nie byli przez

personel polski oddzielani i chowani czy to do kuchni, czy w ambulatorium, co pomimo tego ciągle miało miejsce.

Równocześnie rozdawany był chleb i pomidory. Kuchnia, obsługująca olbrzymie rzesze, zorganizowana była przez polski personel i korzystała z urządzeń, istniejących już w warsztatach kolejowych. Wydawano rano i wieczorem kawę i trochę chleba oraz w dzień zupę jarzynową dobrze przygotowaną. Dziennie wydawano do 50.000 porcyj. Pomimo to poważna część wysiedlonych zup nie otrzymywała z powodu trudności dostania się do kuchni, względnie z powodu braku własnych naczyń. Z powodu olbrzymiego natłoku w pewnych okresach wiele dzieci jedzenia nie otrzymywało, a nawet zdarzały się wypadki śmierci dzieci z głodu.

Okropne sceny rozgrywały się przy segregowaniu ludzi. I tak np. w dn. 2. IX oddzielono męża od żony z trojgiem dzieci małych, pomimo że żona była kaleką o jednej nodze i z protezą. W innym wypadku przeznaczono na roboty ojca, zaś jego sześcioro dzieci chciano oddać do sierocińca. Dopiero na płacz gromadki dzieci wysłano je razem z ojcem na roboty.

Segregacja ta odbywała się na torach kolejowych bezpośrednio po wejściu transportu do bramy lub też przed halą nr. 5. Zasady segregacji były następujące: uznani byli za niezdolnych do pracy w Niemczech: matki z dziećmi do lat 15, kobiety ponad 50 lat, oraz mężczyźni — początkowo ponad 60, a później ponad 50 lat, wreszcie kobiety ciężarne od 6 miesięcy ciąży, chorzy i ułomni. Wszyscy pozostali byli przeznaczeni na wyjazd do pracy w Niemczech, przy czym kolejarze i tramwajarze wywożeni byli oddzielnie. W pierwszych tygodniach oddzielano również kobiety od mężczyzn spośród zdolnych do pracy w Niemczech i wywożono oddzielnie.

Segregacja według tych zasad przeprowadzana była nie przez lekarzy, lecz przez urzędników wojskowych z niesłychaną bezwzględnością. Rodziny, nie uprzedzone o tym, były rozdzielane, a płacz i prośby wywoływały dziką reakcję ze strony Niemców w postaci bicia, popychania i kopania. Rodziny, mające często rzeczy swoje wspólnie spakowane, nie miały czasu na rozdzielenie ich między sobą i popychane, i maltretowane rozchodziły się z zamienionymi bagażami czy też wierzchnim ubraniem. Płacz czy prośby nieszczęśliwych wywoływały wybuchy wściekłości ze strony Niemców, którzy nie cofali się przed biciem pięściami nawet

kobiet. W pewnym wypadku oficer, prowadzący segregację, ujrzał za stojącym pociągiem kogoś przechodzącego, rzucił się tam, rozległy się 4 strzały, po czym z uśmiechem na twarzy wrócił do swojej dzikiej pracy. Prowadzący segregację nie uznawali żadnych zaświadczeń o chorobach, mówiąc, że będzie to badane na poszczególnych halach. W istocie rzeczy jednak w olbrzymim natłoku ludzi, dochodzącym do 5.000 w każdej z hal, dostać się mogła do lekarza jedynie drobna część rzeczywiście chorych.

Niezdolni do pracy w Niemczech kierowani byli do hali nr. 1, zdolni zaś do pracy — w okresie kiedy oddzielano mężczyzn od kobiet — kobiety do hali nr. 4, mężczyźni do hali nr. 6. Później skutek rozebrania hali nr. 6, mężczyźni z kobietami byli w hali nr. 3, względnie 4.

Hala nr. 2 stanowiła ambulatorium, gdzie lekarze niemieccy kwalifikowali chorych; stąd największa ilość ludzi z obozu wyszła pod pretekstem chorób, i tutaj miało miejsce największe nasilenie pracy personelu polskiego w kierunku wyswobadzania ludzi z obozu.

Poszczególne hale, mieszczące od 2—5.000 ludzi każda, były zupełnie nieprzygotowane do mieszkania w nich ludzi. Brud strapszliwy i błoto pokrywały betonowe podłogi pomiędzy rowami rewizyjnymi, wypełnionymi gnijącymi odpadkami pełnymi brudu i robactwa. Przez cały okres 2 miesięcy doły te ani razu nie były oczyszczane ani nawet zalewane wapnem. Ludność lokowała się w tych dołach na ziemi, czasem na nielicznych matach słomianych lub też na rozrzuconych połamanych częściach wagonów. W okresie większego zgęszczenia warunki były tak potworne, że znaczna część ludności wolała koczować pod gołym niebem, szczególnie na hali nr. 1, niezależnie od zimna, a często i deszczu. Wypadki omdlenia, a nawet śmierci wśród starych i dzieci były na porządku dziennym. I tak np. w dniu 3. IX zmarło na hali nr. 1 ośmioro małych dzieci wskutek niemożności dostarczenia im jedzenia.

Prawdziwie dantejskie sceny rozgrywały się przy załadowywaniu pociągów ludźmi z hali nr. 1. Ogromny ten tłum ludzi, przeważnie niezdolnych do pracy, starych, dzieci i chorych, wypuszczony przez jedną tylko bramę, tłoczył się do wyjścia, gniotąc słabszych. Rozlegały się ciągle straszliwe krzyki, zdarzały się wypadki uduszeń. Straże niemieckie nie przykładały żadnych starań do utrzy-

mania porządku, cały wysiłek swój natomiast skierowywały do wyszukiwania wśród tłumu zdolnych do pracy i młodszych, odciągając ich na bok i zwracając z powrotem do hali nr. 1, często pomimo zaświadczeń o chorobach, a nawet kart niemieckich lekarzy, stwierdzających niezdolność do pracy. I tu kontrolę tę przeprowadzali urzędnicy urzędów pracy i żandarmerii bez udziału lekarzy. Płacze i krzyki rozpaczliwe towarzyszyły temu korowodowi do wagonów.

Pomocy lekarskiej ludność przebywająca w obozie była prawie zupełnie pozbawiona na skutek minimalnej ilości środków opatrunkowych oraz lekarstw. Lekarze niemieccy zajęci byli wyłącznie sprawdzaniem, czy podający się za chorych nie są zdolni do pracy w Niemczech, przy czym tylko najcięższe choroby, widoczne kalectwa brane były pod uwagę. Wprawdzie w drugim okresie zorganizowano na terenie obozu szpital w hali nr. 8, miał on na celu jednak raczej kontrolowanie chorób i zaleczenie mniejszych ran w celu uzyskiwania dalszego ludzkiego materiału do pracy.

Pierwszy transport, jaki nadszedł do Pruszkowa w dniu 6. VIII z Woli w ilości 3.000 ludzi, składał się przeważnie z kobiet i dzieci, pędzonych pieszo 15 km, w okropnym stanie. Wiele z nich miało starte stopy do żywego ciała, z wbitymi kamieniami i żwirem w rany. W tym też okresie w Pruszkowie rozstrzelano szereg grup młodzieży podejrzanej czy to na skutek ran, czy też wieku o udział w powstaniu. Ludzie z pobliskiej wsi Kanie mówili, że została tam rozstrzelana również większa grupa ludzi z obozu w Pruszkowie.

Największe nasilenie ludzi w obozie miało miejsce w dn. 1. i 2. IX — około 75.000 osób, kiedy padło Stare Miasto. Ludzie szli w stanie okropnego wycieńczenia, duża ilość wydobytych z gruzów, dużo rannych i kontuzjowanych, większość prawie bez rzeczy osobistych, gdyż wypędzani byli ze schronów jakoby tylko dla zliczenia, a bezpośrednio potem pędzono ich dalej bez możności zabrania jakichkolwiek rzeczy.

W tym okresie wprowadzono znaczne obostrzenia w obozie, utrudnienia do ostatnich granic zwolnień z obozu; wszyscy ranni byli przesyłani na kontrolę do hali nr. 8.

W dniu 5. IX, kiedy spodziewano się przyjazdu ze Szwajcarii delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w „zielonym wagonie", kazano podpisać wybitniejszym przedstawicielom RGO

i polskiemu personelowi sanitarnemu z góry ułożoną deklarację, stwierdzającą, że w obozie wszystko jest w porządku. Tekst tej deklaracji później był ogłoszony w „Nowym Kurierze Warszawskim“ w zmienionej redakcji. Teksty w załączeniu.

Na skutek ulotek, zrzucanych z samolotów w Warszawie w dn. 7, 8 i 9 września, miało miejsce w ciągu paru godzin każdego z tych dni dobrowolne wyjście ludności cywilnej z centrum miasta. Pozostałe izolowane okręgi walk, jak Żoliborz, Mokotów, nie wzięły w tym udziału. Największe nasilenie wychodzenia miało miejsce w dniu 7. IX, w następnych dwóch dniach ilość ta stopniowo malała. Razem szacować można ilość ludzi, którzy wyszli w tych trzech dniach, na około 80—100.000 ludzi.

W tym samym czasie przeszły przez Pruszków 3 transporty mężczyzn w wieku od 15 do 55 lat, wysiedlonych z Włoch.

W tym to okresie czasu zaznaczyło się wyraźnie pewne zmiękczenie kursu w obozie. Wyraziło się to w lepszym ustosunkowaniu się władz do personelu polskiego, w zmniejszaniu utrudnień przy zwalnianiu do szpitali, w możności indywidualnych zwolnień przez Gestapo, wreszcie w pewnej dbałości w oczyszczaniu hal. Zbiegło się to z uznaniem AK za stronę wojującą, znikło też w znacznej mierze określenie „bandyci“.

W drugiej połowie września główny napływ ludności miał miejsce z Czerniakowa, Powiśla, do Nowego Świata włącznie, stopniowo w miarę zdobywania tych dzielnic. Po zdobyciu osiedla Sadyba na Czerniakowie miał miejsce charakterystyczny wypadek: wysiedloną ludność zebrano razem i niemiecki generał dowodzący miał do nich przemowę, w której stwierdził, że wojska niemieckie nie walczą z ludnością cywilną, że niepotrzebnie wywołane powstanie jest wyłącznie przyczyną jej udręczeń. Tym niemniej jednak wojsko bierze ludność pod swoją opiekę, zabezpieczy jej dach nad głową, chleb i pracę, że ludność będzie należycie traktowana, rodziny nie rozdzielane i w spokoju będzie mogła przeżyć ten ciężki okres. Mowa ta zrobiła na zbiedzonej i umęczonej ludności jak najlepsze wrażenie, tak dalece, że rozległ się płacz radości. W parę godzin potem, tak pocieszona ludność znalazła się w obozie w warunkach wyżej opisanych, w obliczu bestialskich funkcjonariuszów, rozbijających rodziny na części. Również niezależnie od pięknej mowy generała niemieckiego w tejże Sadybie, według relacyj le-

karzy, ulokowani tam z Powiśla i dolnego Mokotowa ciężej ranni zostali wobec niemożności ich wywiezienia w schronach wybici. To samo miało miejsce w szpitalu ZUS-u na Czerniakowskiej, gdzie między innymi zginął prof. dr Górecki i dr Dziewanowski z żoną. Przez obóz w Pruszkowie przeszła również ludność przymusowo ewakuowana z Zielonki, Anina i Bielan.

Dnia 17. IX przywieziono do obozu 2 oficerów polskich w mundurach. Jeden z nich jakoby nazywał się kapitan Piasecki. Po zdjęciu im opasek z oczu, z którymi przyjechali, oprowadzono ich po halach, po czym wywieziono. Łącznie z nimi przyjechały dwie sanitariuszki w mundurach, jedna z nich z wojska gen. Berlinga. Zostały one w obozie początkowo przydzielone jako sanitariuszki do ambulatorium, po paru jednak dniach wywieziono je do obozu wojskowego pod Gdańskiem łącznie z dziewczętami AK z Mokotowa.

W tym czasie nadjechała wreszcie od dawna zapowiadana delegacja Czerwonego Krzyża szwajcarskiego. Składała się ona z 2 Szwajcarów. Zwiedziła ona niektóre hale, po czym odbyła konferencję z lekarzami polskimi, w której władze niemieckie nie brały udziału. W imieniu lekarzy polskich dr Kiełbasińska zdała sprawozdanie ze stanu obozu, po czym jeden z lekarzy polskich zabrał głos i oświadczył, że musi stwierdzić, że w obozie nie jest dobrze i że lekarskie władze niemieckie nie honorują diagnoz lekarzy polskich, że stan sanitarny jest poniżej wszelkiej krytyki, że segregację prowadzą nie lekarze, lecz żandarmi. Lekarz ten, kobieta, pomimo nieobecności na zebraniu władz niemieckich, została bezpośrednio aresztowana, ale po 2 dniach zwolniona bez prawa wejścia do obozu. Pomoc Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla obozu wyraziła się w nadesłaniu 2 wagonów mleka skodensowanego i innych produktów spożywczych.

Dnia 25. IX przyszedł do obozu pierwszy transport ze zdobytych przez Niemców południowych krańców Mokotowa. Ewakuacja Mokotowa trwała do 28. IX. W tym czasie nadszedł również pierwszy transport jeńców wojennych, oficerów i żołnierzy AK w liczbie 1.200 osób, w tym pewna ilość kobiet. Zostali oni izolowani w oddzielnej hali nr. 7, do której wstęp był dla wszystkich wzbroniony. Tegoż dnia Gestapo wpuściło do hali tej kilkunastu

żołnierzy niemieckich, którzy byli w niewoli polskiej na Mokotowie, celem wyszukania Polaków, którzy mieli się z nimi źle obchodzić. Żołnierze ci rzeczywiście wyszukali około 20 Polaków, którzy zostali wyprowadzeni. Wielu z nich pobito i wreszcie wszyscy zabrani zostali przez Gestapo. Wkrótce potem wystąpił dowódca obozu płk. Sieber do Sturmbannführera Diehla i po gwałtownej wymianie zdań, w której oświadczył, że to są jeńcy Wehrmachtu i policja nie ma do nich żadnych praw, odebrał ich z powrotem. Trudno ustalić, czy wszyscy powrócili. Dowódca obozu pułk. Sieber nakazał wojskowym Polakom wydać w pierwszym dniu biały chleb. W dniu 28. IX grupa ta w sprawnych kolumnach przemaszerowała przez obóz i została załadowana do wagonów, następnie zaplombowanych. Mówiono, że odjechali oni na razie do obozu w Skierniewicach.

Tegoż dnia przybyła do obozu delegacja AK w osobach: podpułkownika, ubranego po cywilnemu i z opaską biało-czerwoną na ramieniu, dr Bartoszewskiego, kierownika szpitala na Jaworzyńskiej, oraz hr. Tarnowskiej jako przedstawicielki Czerwonego Krzyża. Sturmbannführer Diehl wezwał parę osób spośród personelu polskiego obozu i zlecił oprowadzenie delegacji po obozie, udzielenie wszelkich informacyj, oświadczając przy tym, że on i władze niemieckie nie będą asystowali przy oprowadzaniu, natomiast będą w pobliżu w razie potrzeby wyjaśnienia jakichkolwiek faktów. Delegacja przybyła na teren obozu około 4 po południu. W tym czasie właśnie odszedł z opóźnieniem pierwszy transport z jeńcami wojennymi z AK z Mokotowa. Wyższy oficer Wehrmachtu niemieckiego wyraził wobec tego gotowość cofnięcia pociągu, jeżeli podpułk. AK sobie tego życzy, wobec jednak trudności technicznych poproszono pułkownika, ażeby pojechał na stację Pruszków, gdzie pociąg został zatrzymany, co też i miało miejsce. Przez ten czas pozostali członkowie delegacji byli przez personel polski szczegółowo oprowadzeni po obozie, stwierdzili jego stan i otrzymali wszelkie wyjaśnienia co do systemu funkcjonowania obozu, po czym delegacja wyjechała do Milanówka i Podkowy Leśnej, ażeby zapoznać się ze stanem szpitalnictwa. W tym czasie w szpitalach było zarejestrowanych ponad 7.000 chorych i rannych, przy czym władze niemieckie stwierdziły, że można by jeszcze zna-

Kuchnia podzielona została na poszczególne działy:

a) kuchnia dla niemowląt, początkowo prowadzona przez p. Wołyńską, a w drugiej połowie trwania obozu przez Miejski Ośrodek Zdrowia pod kierownictwem p. Lipińskiej;

b) kuchnia dla dzieci do 5 roku życia;

c) kuchnia dla chorych;

d) kuchnia dla personelu kuchennego i sanitarnego;

e) kuchnia ogólna.

Ogólne kierownictwo kuchni spoczywało w rękach p. Boguckiej.

W okresie istnienia obozu, a zwłaszcza od 6 sierpnia do połowy października br. przebywało w obozie od 5.000 do 45.000 osób dziennie, natomiast kuchnie mogły przygotować jedynie do 35.000 porcyj obiadowych. Rzecz oczywista, że nie wszyscy mogli otrzymać posiłek ze względów czysto technicznych. Nadmienić wypada, że i z innych przyczyn tysiące osób nie mogły korzystać z tych posiłków, a mianowicie ze względu na dokonywane w porze obiadowej transporty, klasyfikacje i przeprowadzanie z jednych baraków do drugich. Poza tym pewna ilość osób nie otrzymywała posiłków na skutek obecności brutalnego elementu, który korzystając z siły fizycznej zdobywał wielokrotnie posiłki ze szkodą dla innych, a zwłaszcza dla starych i chorych. Wielokrotne interwencje u odnośnych władz, jak również przedsiębrane środki zaradcze (bariery, zagrody, nadzór i perswazje) celem usunięcia tych niedociągnięć nie odniosły pożądanego skutku.

Wyżywienie dzienne składało się z trzykrotnych posiłków: rano i wieczorem kawa czarna nie słodzona w ilości $^1/_2$ litra oraz chleb razowy w ilości 200—250 gramów, w południe $^1/_2$ litra zupy jarzynowej, krupniku, kartoflanej, czasem z dodatkiem makaronu, lub pomidorowej. Wymienione ilości są raczej orientacyjne ze względu na to, że ludność częstokroć posiadała różnej wielkości naczynia, jak wazoniki, polewaczki, spluwaczki, wiadra, kubki od termosów, lub nie posiadała ich wcale. Brak odpowiedniej ilości naczyń był ciągłą troską Delegatury, mimo że kilkakrotnie były dostarczane na teren obozu większe ilości naczyń (talerze, salaterki, pudełka od konserw), lecz te były skwapliwie przez ludność przywłaszczane i wywożone.

Jakość wymienionych wyżej posiłków pod względem kalorycznym była niewystarczająca z powodu braku tłuszczu, mięsa i cu-

kru. Przez cały bowiem okres trwania obozu dostarczono do kuchni cztery krowy (kilkakrotnie fotografowane przez sprawozdawców wojennych) oraz dwa konie, których śmierć spowodowana została nieszczęśliwymi wypadkami. Z powodu braku odpowiednich sum Delegatura nie była w stanie zaopatrzyć kuchni w tłuszcze, sporadycznie zaś ofiarowane, nie zaspokajały koniecznych potrzeb.

Kuchnia była zabezpieczeniem przed wywiezieniem do Rzeszy, zwłaszcza w pierwszym okresie obozu, i była etapem do wyjścia z obozu (uzup. Ch.) *)

Organizacja poszczególnych baraków.

Na terenie obozu znajdowało się 9 używalnych hal, każda z nich otoczona w pewnej odległości drutem kolczastym i nadzorowana przez posterunki niemieckie. Poruszanie się między halami było zabronione. Hala nr 5 była przejściową i tam głównie odbywała się selekcja osób na zdolnych i niezdolnych do pracy w Rzeszy. W wyniku selekcji niezdolnych do pracy kierowano do hali nr 1 celem dalszej wysyłki na tereny GG, jak np. Łowicz, Skierniewice, Piotrków, Częstochowa, Kielce, Sędziszów, Skarzysko-Kamienne, Miechów, Starachowice, Końskie, Opoczno, Głowno, N. Sącz, N. Targ, Limanowa i bezpośrednie okolice tych miast. Uznanych za zdolnych do pracy, tak mężczyzn jak i kobiety, oraz niepełnoletnich, lecz fizycznie silniejszych, umieszczano początkowo w baraku 6, a po rozmontowaniu i rozebraniu tegoż w baraku nr 4. W baraku 3 lokowano kolejarzy i tramwajarzy wraz z rodzinami. Z baraków nr 3, 4, 6 wywożono do obozów pracy w Rzeszy, jak np.: Halle, Zelle, Norymberga, Wrocław, Mauthausen, Falkensee, Prusy Wschodnie, Oświęcim, Groningen, rejon Hamburga i Stuttgartu. Barak nr 2 stanowił izbę chorych, w której urzędowali lekarze polscy i niemieccy. Do izby chorych dostawała się, niestety, zaledwie znikoma część chorych i rannych, ponieważ na przejście do tego baraku wymagano zaświadczenia lekarza niemieckiego, które z przyczyn technicznych trudne było do uzyskania (dwóch lekarzy i najczęściej brak miejsca w izbie chorych). Z tego baraku kiero-

*) Sprawozdanie członków Komitetu uzupełniała w ich obecności Irena Trawińska. Oznaczano to w protokołach: „uzup. Ch.".

wano ludzi ciężko chorych do szpitala na terenie Pruszkowa lub jego okolicy, ewentualnie na barak 1. Niejednokrotnie jednak zdarzały się wypadki kierowania ludzi ponownie na baraki, z których wysyłano do robót. Barak nr 2 posiadał poddział 2b, kierowany przez lekarzy-jeńców bolszewickich, o charakterze szpitala zakaźnego, obserwacyjnego dla chorych na gruźlicę i czerwonkę. Barak nr 8 stanowił tzw. szpital obozowy pod kierownictwem lekarza Polaka Rudzkiego, co do którego działalności członkowie Delegatury na podstawie własnych obserwacyj powzięli daleko idące zastrzeżenia. Barak nr 7 był początkowo pomieszczeniem przejściowym, a po kapitulacji Mokotowa i Żoliborza stał się pomieszczeniem dla oddziałów AK, po ich zaś wyjeździe — dla mężczyzn wraz z rodzinami, zatrudnionych czasowo przy robotach fortyfikacyjnych. Ostatni barak nr 13, tzw. dom B-ci Jabłkowskich, był i jest pomieszczeniem dla osób używanych do wywozu pozostawionego w Warszawie mienia publicznego.

Celem zorganizowanego stałego źródła informacji, jak również utrzymania porządku przy wydawaniu posiłków dla wysiedlonych powołana postała przez Delegaturę instytucja kierowników poszczególnych hal, rekrutująca się z wysiedlonych. Kierownicy ci mieli za zadanie udzielanie wszelkich informacyj a zwłaszcza pouczanie o sposobach zachowania się podczas klasyfikacji, przekazywanie międzybarakowej poczty i odnajdywanie poszukiwanych osób.

Kierownicy zorganizowali azyl dla wysiedlonych, którzy byli przygotowani do zwolnienia lub wyprowadzenia, aby nie zagarnięto ich do transportu (uzup. Ch.).

Ponieważ chorzy, ranni i inni („inni" dotyczy ludzi, których chciano wyprowadzić wraz z chorymi (uzup. Ch.), skierowani do miejscowych szpitali, mogli opuścić obóz tylko przy użyciu jakiegoś środka przewozowego, Delegatura zorganizowała obozową stajnię, składająca się z 3 koni i czterech pojazdów, uzyskanych od komendantury spośród mienia pozostawionego przez wysiedlonych na terenie obozu, których dalej wywieziono transportem kolejowym. Stajnia ta zajmowała się przewozem rannych, chorych i niedołężnych z bramy nr 14, gdzie wyładowywano z pociągów wysiedlonych z Warszawy do izby chorych lub z tejże izby do szpitali pruszkowskich lub stacji kolejki EKD. Niejednokrot-

nie, zwłaszcza w okresach tłumnego przewożenia, wysiedlonych do obozu (Wola, Ochota, Stare Miasto, Powiśle, Czerniaków, Mokotów, Żoliborz i Śródmieście), wytężona praca stajni okazywała się niewystarczająca i członkowie Delegatury sprowadzali z miasta ludzi dobrej woli z wozami i końmi często po 20—30 dziennie. Przyjęła się zasada, że im więcej było środków przewozowych, tym łatwiej było opuścić obóz. Toteż wszystkie wozy, przywożące produkty żywnościowe, kierowane były przez Delegaturę do choćby jednokrotnego wywiezienia rannych. Zwłoki ludzi zmarłych w obozie, częstokroć w liczbie 5—7 dziennie, wywożone były również przez stajnię obozową na odległy cmentarz żbikowski.

W miarę organizowania stajni Delegatura nadała jej charakter placówki wszechstronnej, a ze względu na nasze specjalne cele wielce pożytecznej. Przez długi czas stajnia była jedyną drogą do wyprowadzenia z obozu mężczyzn (uzup. Ch.).

Ogólne uwagi i spostrzeżenia.

Przewodnią myślą Delegatury w okresie pracy w obozie była troska o roztoczenie należytej, w miarę możności wszechstronnej opieki nad nieszczęśliwymi mieszkańcami Warszawy, oraz usunięcie zauważonych niedomagań, których jednak całkowita likwidacja nie leżała w jej mocy. Działacze RGO, Delegatura Pruszków, robili wszystko, co było w ich mocy, by wprowadzić czynniki organizacyjne w niesieniu pomocy na terenie obozu. Skromne były jednak możliwości Delegatury m. Pruszkowa wobec ogromu potrzeb i nieszczęścia, których widownią był obóz pruszkowski. Wysiłki przedstawicieli RGO były wielkie w stosunku do ich możliwości personalnych i materialnych i były cennym i jedynym organizacyjnym podtrzymaniem akcji pomocy społeczeństwa (uzup. Ch.).

Wszystkie baraki, w których umieszczano wysiedlonych, nie odpowiadały elementarnym wymogom higieny: olbrzymie przestrzenie poszczególnych hal zasłane były częściami rozmontowanych maszyn, różnego rodzaju złomem, zanieczyszczone smarami, odpadkami, zalane wodą itp. Zupełny brak słomy uniemożliwiał jakikolwiek, bodaj kilkugodziny wypoczynek strudzonym i do ostatnich granic wyczerpanym wysiedlonym. Nadmienić wypada, że

według prowizorycznych obliczeń Delegatury przez obóz w czasie od 6. VIII do 30. X przeszło 650.000 wysiedlonych, którzy drogę z Warszawy do obozu przebyli pociągami lub pieszo.

Obliczenia ostrożnie uwzględniają to, że:

ludność Warszawy oblicza się	1.100.000	
ludność pozostała na Pradze, S. Kępie		150.000
straty w czasie powstania		150.000
ludność, która nie przeszła przez obozy,		200.000
przez inne obozy, jak Ursus, przeszło		50.000
	1.100.000	550.000
czyli przez obóz pruszkowski przeszło z terenu Warszawy	550.000	(1.100.000 — 550.000)
Spoza Warszawy (Wawer, Anin, Zielonka, Kobyłka, Tłuszcz, Łomianki, Młociny, Wawrzyszew, Boernerowo, Włochy, Jelonki i ludność z łapanek okolicznych)	100.000	
Razem przeszło przez obóz pruszkowski:	650.000	

Transportami do Rzeszy i Guberni wywieziono z obozu plus minus 400.000 ludzi (komenda obozu podaje cyfrę plus minus 350 tysięcy). Liczba zwolnionych oficjalnie i wyprowadzonych nielegalnie mogła sięgać plus minus 100.000. Do Niemiec transportami wywieziono plus minus 150.000 wysiedlonych i b. wielu mężczyzn, czyli około 1/4 części ludności obozu (uzup. Ch.). Niejednokrotnie hale były dosłownie przepełnione i mieściły do 10.000 osób każda. Pobudowane ad hoc klozety były niewystarczające, a brak urządzeń kanalizacyjnych wewnątrz baraków sprzyjał zanieczyszczaniu tak z zewnątrz jak i wewnątrz baraków, wskutek tego zaduch tam panujący był częstokroć nie do opisania. Wszelkie starania i wysiłki w tej dziedzinie nie odniosły pożądanego skutku. Grupa porządkowa składała się z małej ilości radzieckich jeńców wojennych i podlegała tylko i wyłącznie komendanturze obozu.

Z chwilą stwierdzenia, że szereg osób z powodów uprzednio wymienionych nie otrzymywało wydawanych posiłków, Delegatura

zarządziła rozdzielanie zaraz po przybyciu do obozu w drodze do baraków pożywienia w postaci: porcji chleba, pomidorów i cebuli. Niezależnie od tego w wypadkach stwierdzenia, że pewna ilość osób nie otrzymała pożywienia z tych czy innych względów, organizowano lotną sekcję, której zadaniem było donoszenie żywności pominiętym. Starano się również, by osoby stare, chore, słabe i dzieci były w miarę możności zaopatrzone w treściwsze pożywienie. Oczywistą jest jednak rzeczą, że wszelkie wysiłki zmierzające ku temu, aby nasycić wszystkich, którzy byli głodni i spragnieni, uwzględniwszy szybko zmieniające się tłumy wysiedlonych, nie dały nawet w przybliżeniu zadowalającego efektu.

Celem dalszej pomocy w wyżywieniu i uniemożliwieniu niepowołanym elementom wyzyskiwania nieszczęśliwych wysiedleńców przez pobieranie nadmiernych cen za produkty żywnościowe — Delegatura organizowała lotne kantyny, pozostające pod kierownictwem inż. St. Zabielskiego, których zadaniem było dostarczenie żywności, papierosów i przedmiotów pierwszej potrzeby po cenach zakupu. O użyteczności tych kantyn świadczy [fakt], że obrót dokonany np. w okresie od 25. 9. do 13. 10. wynosił blisko pół miliona złotych.

Obok działu gospodarczego, organizowanego przy pomocy Delegatury, istniał również dział lekarsko-sanitarny, składający się z lekarzy i personelu sanitarnego, często pracującego fachowo i ofiarnie, często jednak niewykwalifikowanego i najzupełniej nieodpowiedniego.

Personel sanitarny i lekarze w większości przydzieleni byli do izby chorych (barak nr. 2), a poza tym do każdego poszczególnego baraku. W drugim okresie trwania obozu do baraków nr. 4 i 5 przydzielono również po jednym lekarzu niemieckim. Stwierdzono, że pomoc lekarska i sanitarna niejednokrotnie nie była wystarczająca, ponieważ z jednej strony przeważająca większość wysiedlonej ludności po przejściach warszawskich wymagała bezwzględnie opieki lekarskiej, z drugiej zaś strony organizacja pomocy lekarskiej pozostawiała wiele do życzenia. Zauważone przez Delegaturę braki i niedociągnięcia w służbie lekarskiej i sanitarnej były przedkładane odnośnym organom lekarskim. Organizacja tego działu nie leżała w kompetencji Delegatury, a wszelkie interwencje nie odnosiły pożądanego skutku.

Dużą rolę w pracach Delegatury odegrało udzielanie informacyj i pouczeń o sposobach zachowania się podczas klasyfikacji, przy przechodzeniu do innych baraków, podczas ładowania ludzi do wagonów, badań lekarskich itp.

Interwencje w związku z niejednokrotnie brutalnym zachowaniem się niektórych funkcjonariuszy podczas powtórnej segregacji przy ładowaniu transportów, jak również uzgodnienia różniących się częstokroć zarządzeń 3 władz, działających na terenie obozu, narażały niejednokrotnie członków Delegatury na osobiste zniewagi.

Celem ułatwienia kontaktów ludzi, zamkniętych w obozie, z ich rodzinami i przyjaciółmi, organizowano dostarczanie z zewnątrz paczek i listów. Akcja ta cieszyła się dużym powodzeniem, oddając zwłaszcza zamkniętym niespodziewanie duże usługi w dostarczaniu żywności i odzieży. Niejednokrotnie liczba dostarczanych paczek przekraczała dziennie 300 sztuk. Poza całokształtem prac na terenie obozu Delegatura zorganizowała również od dn. 18. VIII. akcję niesienia pomocy chorym i rannym, przebywającym w szpitalach warszawskich, a mianowicie: w Szpitalu Dzieciątka Jezus, w Szpitalu Wolskim, Św. Stanisława, na Koszykowej, na Chocimskiej i w „Naszym Domu“ na Bielanach, a po ostatecznej kapitulacji Warszawy w szeregu szpitali w śródmieściu. Wyjazdów dokonywano regularnie dwa razy w tygodniu, początkowo pojazdami konnymi, później samochodem ciężarowym, uzyskanym staraniem Delegatury. Przeciętnie zabierano do 3 ton żywności, której poważną i cenną pozycję stanowiło białe pieczywo w ilości przeciętnie 250 kg oraz niejednokrotnie tłuszcze i mleko skondensowane.

Jeśli przyjmiemy pod uwagę, że w niektórych szpitalach stwierdzono początkowo objawy szkorbutu i puchliny głodowej, że przejazdy dokonywane były niejednokrotnie w czasie ożywionych działań wojennych na terenie Warszawy oraz że pojazdy te w drodze powrotnej wykorzystywane były przez Delegaturę do przewożenia rannych i zdrowych z Warszawy do rodzin, zamieszkałych w Pruszkowie i okolicy, jak również korespondencji, roznoszonej następnie na miejscu lub wysyłanej w dalsze okolice, akcję tę De-

legatura poczytuje sobie za jedną z chlubniejszych w szeregu swych prac. Nadmienia się, że samochód poza przewożeniem rannych służył również do przewożenia środków lekarskich i opatrunkowych oraz do przeprowadzenia częściowej ewakuacji szpitali.

Gorączkowa praca obozowa około 20 sierpnia została przerwana uroczystą wizytą księdza biskupa Szlagowskiego, który odwiedził wszystkie baraki, rozmawiał z wysiedlonymi, próbował posiłków i pocieszał strapionych. Przed opuszczeniem każdego baraku biskup błogosławił rzesze wysiedlonych, a wzruszony niedolą garnących się do niego, zwłaszcza zbiedzonych dzieci i wysiedlonych matek, płakał wraz z nimi. Moment udzielania błogosławieństwa nietowiastom przeznaczonym na wyjazd do Rzeszy, któremu towarzyszył chóralny płacz, był tak mocny i chwytający za serce, że nawet na twarzach towarzyszących przedstawicieli władz obozowych malowało się jednocześnie zdumienie i wzruszenie.

W połowie września nadeszły do obozu dwa wagony z Genewy z darami Międzynarodowego Czerw. Krzyża, przeznaczonymi dla wysiedlonych z Warszawy. Wagony te zawierały żywność (mleko skondensowane, mleko w proszku i zupy w proszku) oraz środki lekarskie. Pierwszy wagon został rozdzielony przez Delegaturę Pruszków na wszystkie szpitale miejscowe i dostępne warszawskie oraz placówki charytatywne, z uwzględnieniem również potrzeby obozu. Drugi wagon został rozdzielony przez warszawskie RGO. W ślad za wspomnianymi darami odwiedził obóz przedstawiciel Międz. Czerw. Krzyża z Genewy, który w rozmowach z przedstawicielami personelu obozowego zebrał obfity materiał do swego protokołu wizytacyjnego. Podczas rozmowy na skutek interwencji Delegatury zapowiedział wysyłkę dalszych wagonów w większej ilości.

Najboleśniejszym momentem w ciężkiej, odpowiedzialnej pracy naszej Delegatury był fakt zmuszenia jej do podpisania oświadczenia, które w pismach ukazało się w redakcji całkowicie zmieniającej jego sens. Podpisanie nastąpiło na skutek kategorycznego żądania władz niemieckich, co zostało zaznaczone w podpisanym oświadczeniu. Przedłożone do podpisu oświadczenie brzmiało:

„... że wysiedlona ludność Warszawy przebywająca w obozie w Pruszkowie znajduje się w o tyle dobrym położeniu, o i l e n a t o p o z w a l a j ą w a r u n k i, że ma dostarczane środki żywnościowe i zapewnioną opiekę lekarską. Prócz tego korzysta z opieki duchowej i materialnej. Niniejsze oświadczenie składamy na żądanie władz niemieckich bez przymusu". Niepodpisanie powyższego oświadczenia groziło między innymi natychmiastowym usunięciem całego personelu polskiego i zastąpieniem go personelem niemieckim.

W sprawie oświadczenia w prasie:

Na wezwanie Sturmbannführera mjra Diehla stawiła się delegacja RGO m. Pruszkowa do tzw. zielonego wagonu (Komenda); zaproszono tylko prez. RGO ks. Tyszko i wiceprez. dra Mazurka, nie pozwalając na zabranie tłumacza. W zielonym wagonie przedłożono delegatom i jeszcze kilku osobom z terenu obozu spośród personelu do podpisania deklarację w języku niemieckim po przemówieniu Diehla, wykluczającym sprzeciw. Tłumaczyła tekst siostra Tyszkiewiczówna Alicja — nie znana bliżej delegatom — i według jej tłumaczenia tekst przedłożony i podpisany w tych warunkach brzmiał:

„My, niżej podpisani kierownicy, współpracownicy i współpracowniczki Polskiego Komitetu RGO, Delegatura w Pruszkowie, oświadczamy, że oswobodzona ludność z Warszawy, przebywająca w przejściowym obozie w Pruszkowie, znajduje się w o tyle dobrym położeniu, o ile na to pozwalają miejscowe warunki. Ma dostarczane środki żywnościowe i zapewnioną opiekę lekarską, prócz tego korzysta z opieki duchowej i materialnej. Dalej oświadczamy, że w obozie nie dzieją się nadużycia. Niniejsze oświadczenie składamy na żądanie władz niemieckich, bez przymusu".

Po odczytaniu tego tekstu delegaci RGO wyrazili sprzeciw, zarzucając brutalność przy selekcji, rozrywanie rodzin wbrew zarządzeniom władz, uniemożliwienie wszelkich interwencji RGO, brutalność w stosunku do osób interweniujących, usuwanie ich itp. W odpowiedzi na to Diehl wysunął: że jeżeli nie wyciągnął konsekwencji z faktu znalezienia bomby zapalającej w paczce żywnościowej, z faktów nielegalnego wyprowadzania na legitymacje per-

sonelu obozowego, z faktów wyłudzania pieniędzy i przedmiotów wartościowych przez niektóre siostry i z innych niedopuszczalnych faktów, popełnionych przez wysiedlonych, to nie okazał się nieludzkim i podpisanie tego rodzaju deklaracji należy mu się. Gdy podniesiono ponownie zarzuty, oświadczył, że w razie niepodpisania deklaracji konsekwencje z wymienionych faktów zostaną wyciągnięte i personel polski opuści obóz i zostanie zastąpiony przez przygotowany w tym celu personel niemiecki. Groźba uniemożliwienia niesienia jakiejkolwiek pomocy skłoniła do złożenia podpisów. W powzięciu tej decyzji nie odgrywały roli kwestie bezpieczeństwa osobistego, lecz wola niesienia dalszej pomocy w beznadziejnej sytuacji obozu, choćby za cenę kompromitacji nazwisk. Delegaci podpisali tekst niemiecki, a w chwilę potem w zamęcie i pośpiechu, jakby wytworzonym specjalnie (przybycie na teren gen. von dem Bacha), podpisali bez możności odczytania tekst polski.

Ukazanie się deklaracji w tekście zniekształconym w prasie wywołało całkowite zaskoczenie i konsternację działaczy nie mających możności zareagowania (uzup. Ch.).

Podane w niniejszym sprawozdaniu prace i poczynania Delegatury nie zmniejszyły nieszczęścia wysiedlonych, nie zdołały usunąć wielu braków i usterek, lecz przyniosły może choć drobną ulgę w ogromie ich nieszczęść, choćby tylko przez pełne miłości i współczucia, ofiarne i skwapliwe niesienie pomocy przez społeczeństwo m. Pruszkowa dla swoich rodaków.

Wizyta biskupa Szlagowskiego.

W czasie wizyty biskupa Szlagowskiego Sturmbannführer Diehl zapytywał Eksc., jakie są jego życzenia, i składał różne zapewnienia. Wszystkie te zapewnienia, że ustaną rozrywania rodzin, że wszelkie ulgi będą zrobione, pozostały bez żadnego skutku. Dosłownie z chwilą opuszczenia przez biskupa zielonego wagonu padały zarządzenia sprzeczne z tymi zarządzeniami i żadne ulgi, żadne zmiany na lepsze nie nastąpiły. Zauważył to i wypowiedział z oburzeniem w rozmowie z członkami zarządu RGO komendant obozu z ramienia Wehrmachtu".

TEKST

oświadczenia przedstawicieli RGO oraz personelu polskiego w obozie w Pruszkowie, złożonego na żądanie władz niemieckich.

Tekst podpisany:

Pruszków, dnia 5 września 1944 r.

My, niżej podpisani kierownicy polskiego komitetu RGO, współpracownicy i współpracowniczki, stwierdzamy swoim podpisem, że oswobodzona spod terroru cywilna ludność Warszawy, która się obecnie znajduje w Pruszkowie w obozie dla wysiedlonych z Warszawy, jest traktowana o tyle dobrze, o ile na to pozwalają warunki. Ma ona dostarczane wyżywienie i zapewnioną opiekę lekarską.

Stwierdzamy również, że żadne nadużycia i bezprawia nie mają miejsca oraz, że ze strony władz niemieckich polski Komitet RGO nie doznał żadnych trudności w niesieniu pomocy materialnej i duchowej.

My, niżej podpisani, stwierdzamy, że powyższe wyjaśnienie składamy bez przymusu na życzenie władz niemieckich.

(—) Dr Jadwiga Kiełbasińska
lekarz naczelny

Edward Tyszko
proboszcz i prezes polskiej
Rady Głównej Opiekuńczej

Tekst ogłoszony w prasie:

Niżej podpisany kierownik polskiej Rady Głównej Opiekuńczej w Pruszkowie oraz wszyscy jego współpracownicy oświadczają niniejszym pod przysięgą, poświadczoną podpisem, że ludność cywilna ewakuowana z Warszawy i uwolniona od terroru, która znajduje się w obozie przejściowym w Pruszkowie, otrzymuje dobre pomieszczenie, wystarczające wyżywienie oraz pod każdym względem odpowiednią opiekę lekarską, w takim stopniu, jak warunki na to pozwalają. W dalszym ciągu potwierdza się, że nikt nie jest źle lub niesprawiedliwie traktowany.

Zapewnia się niniejszym, że pod względem opieki cielesnej i duchowej praca polskiej Rady Głównej Opiekuńczej nie napotyka na żadne trudności ze strony kompetentnych władz niemieckich.

My, niżej podpisani, oświadczamy jak najdobitniej, że powyższe oświadczenie zostało złożone przez nas dobrowolnie oraz na własne życzenie.

(—) Tyszkiewicz
p. o. przełożona sióstr

Dr Mazurek
wiceprezes polskiej
Rady Głównej Opiekuńczej

Maria Dreszerowa
siostra

(142) Protokół nr 220:

świadek Zula Kwiatkowska, lat ok. 30, nauczycielka, siostra P. C. K., w czasie powstania siostra Szpitala Maltańskiego; protokół własny.

„Do Pruszkowa przyjechałam z 7 na 8 sierpnia w nocy. Zmęczonym i głodnym ludziom powiedziano jeszcze na Dworcu Za-

chodnim, że w obozie czeka na nich gorący posiłek i wygodny, spokojny nocleg. W późniejszych tygodniach 2 razy dziennie przebiegałam drogę z dworca EKD Tworki do obozu i do dziś dnia nie wiem, jakimi drogami prowadzono nasz transport do obozu, tak długa i kręta była ta droga. Zmęczeni, zziębnięci znaleźliśmy się wreszcie w obozie w hali nr 1. Porozrzucane w nieładzie kawałki desek, drągów, szyn, kupki śmieci, kałuże wody — tak wyglądała sala, gdzie „przygotowano" dla pogorzelców, zabranych w 90% bez najmniejszego bagażu, „wygodny" nocleg. Płacz głodnych dzieci przypomniał nam, że obiecano gorący posiłek. Otrzymaliśmy 8. VIII o godz. 6 trochę czarnej, gorzkiej kawy i kromki czarnego chleba.

Do Pruszkowa przyjechałam z kilku pielęgniarkami bez żadnego bagażu. To ułatwiło siostrom z mego szpitala i mnie zamieszanie się między siostry pruszkowskie P. C. K., a następnie przy ich pomocy wydostanie się za bramę. Ja zostałam w obozie do pomocy pruszkowiankom. By oswoić żandarmów z moim widokiem, zabierały mnie wszędzie z sobą. Nie zapomnę mojej pracy w ambulatorium. Z lekarstw widziałam walerianę, krople żołądkowe, jodynę, wodę utlenioną; z opatrunków: bandaże, watę, ligninę; z narzędzi — dosłownie nic. Na korytarzu i schodach dziesiątki pacjentów, którym lekarz ani siostra najofiarniejsza przeważnie nic pomóc w tych warunkach nie mógli. Ciężko chorych pozwalano odsyłać do szpitali.

Magazyny w pierwszych dniach zasilane były przeważnie z ofiar prywatnych. I tu muszę podkreślić wielką ofiarność Pruszkowa i okolicy. Mimo trudności czynionych przez żandarmerię przy wjeździe, jak i na terenie obozu, ciągle zajeżdżały wozy z prowiantami.

W kuchni w pierwszych dniach przy wielkich, przeszło 300-litrowych kotłach stały też pruszkowianki. Czynnych kotłów z początku było chyba nie więcej jak 6. Dla niemowląt gotowano osobno na małej kuchence w małych garnuszkach czy nawet w zwykłych miskach.

Prawdziwą katorgą było roznoszenie posiłków. Nosiłyśmy w wielkich koszach od mleka lub woziłyśmy te „kanki" na ręcznych kolejarskich wózkach, co też niewiele ułatwiało pracę. Po kilku dniach pozwolono nam na dzień zabierać z hal mężczyzn do

pomocy przy rozwożeniu. Rano i wieczorem rozdawałyśmy czarną gorzką kawę i kromki czarnego chleba, w południe — zupę. Żywność otrzymywała tylko niestety część pogorzelców. Mimo najofiarniejszej pracy przez dzień i noc nie mógł personel w tych warunkach uczynić nic więcej. Dodajmy jeszcze do tych trudności wałęsającego się i węszącego po wszystkich kątach żandarma, ich krzyki, wymyślania, poszturchiwania, bicie kolbą czy nawet strzelanie „dla postrachu", przy której to okazji nie obywało się często bez ran, nawet ran śmiertelnych. Tą metodą starali się Niemcy „nauczyć" nas karności. Próby ucieczki z obozu karane były tylko kulą.

I tu znów muszę podkreślić wielką, bezinteresowną ofiarność Pruszkowa w pomocy do wydostania się z obozu. Nie odstraszały wymyślania, bicie czy wywożenie sióstr z transportami do Rzeszy. W szeptem podawanych wiadomościach z pierwszych dni obozu pruszkowskiego mówiło się o padających na terenie obozu trupach nie tylko uciekających, lecz i sióstr, które ułatwiały ucieczkę.

To pewne, że strzały rozlegały się często, tak często, że przestaliśmy już na nie reagować i dopytywać, co je spowodowało.

Od połowy sierpnia komendę obozu przejęło wojsko. Wprawdzie po kilku dniach zaczął także urzędować „zielony wagonik" z żandarmerią, ale od tego czasu warunki w obozie zmieniły się na lepsze. W kuchni, w jarzynialni, krajalni chleba, umywalni, magazynie był „prawie" stały personel („prawie" stały, gdyż akcja pomocy w uwalnianiu kwitła w dalszym ciągu), pracujący na dwie zmiany. Naprawiono i dobudowano kotły do gotowania, z hali nr 2 a później i 8 porobiono „szpitale", w których choć brudną matę chory miał, zwiększono znacznie personel sanitarny, któregoś dnia nawet zaszczycił swą obecnością teren obozu wagon kąpielowy i odwszawialny, z których to dobrodziejstw dwa czy trzy razy mógł korzystać personel kuchenny. Na halach gdzieniegdzie pojawiły się maty słomiane do spania, pobudowano więcej jak prowizoryczne ustępy, ale porządek na halach został ten sam — porozrzucane narzędzia, deski, szyny, bajora błota, kanały po halach pełniusieńkie śmieci i odpadków przeróżnych, roje much. Tak wyglądały wychwalane przez „szmatławiec" jasne, czyste hale obozu pruszkowskiego.

Wiem, że jako Polka nie mogę i nie zapomnę „dobrodziejstw“ obozu pruszkowskiego, ale jako szary, zmęczony człowiek choć na trochę chcę o tym zapomnieć“.

(143) Protokół nr 173:

Świadek Kaniewski, lat 45, handlowiec, zamieszkały w Warszawie, ul. Niemcewicza 9.

„Dostaliśmy się więc po raz drugi do obozu pruszkowskiego. Pierwszym razem było to, gdy mnie z żoną i córeczkami wyrzucono z mieszkania na Niemcewicza 9, dnia 11 sierpnia. Siedzieliśmy wówczas tylko 3 godziny. Teraz po 3 miesiącach niewiele się zmieniło na „piątce“, o tyle, że ubikacje na hali dla robotników zostały zamknięte; panował tam wówczas niemożliwy zaduch, a za to urządzono poza halą taką zwyczajną latrynę. Także odżywianie było lepsze: chleb i zupa albo też suchy obiad, tj. chleb z pomidorami. Co do rozmieszczenia jednakże nie poprawiono niczego. Trzeba było znowu szukać sobie deseczki pod głowę i nakryć się płaszczem na gołej ziemi. W połowie nocy, gdyśmy już porządnie zmarzli, nakrywaliśmy płaszczami dziewczęta, a oboje z żoną maszerowaliśmy tam i z powrotem po hali, aby się zagrzać. Spędziliśmy w ten sposób 7 nocy i 6 dni. Wzięto nas z łapanki po mieszkaniach w Nowej Wsi, mimo że tłumaczyłem żandarmowi to i owo po niemiecku. Wdał się chętnie w rozmowę, ale kazał się ubierać i zabrał nas ze sobą.

Najprzód wpędzono wszystkich do „piątki“. Tu w przejściu odbyła się pierwsza segregacja, i to nie według papierów, ale na optykę. Komenda brzmiała: na „czwórkę“, na „dwójkę“, na „jedynkę“ itp., a żołnierze odbierali wydzielonych i kierowali do poszczególnych baraków. Ja zostałem bez wahania przeznaczony na „czwórkę“. Oglądam się za rodziną: cała moja trójka również na „czwórkę“. Znaleźliśmy się znów razem w hali nr 4. Był to barak z przeznaczeniem na roboty do Niemiec. Rozpytuję się, kiedy nas wywiozą? Gdy zbierze się 2000 osób. Obejrzałem się. Mogło być już jakieś tysiąc, nie było więc czasu do stracenia.

Zakrzątnąłem się odpowiednio i zostałem mianowany „Hallenleiter“. Dostałem opaskę na ramię i otrzymałem instrukcje od Niemców. Do moich funkcyj należało utrzymanie porządku przy

kolejce do zupy, przy rozdzielaniu chleba itp. Każdy barak miał swego lekarza-Polaka. Zaraz więc w hali nr 4 utworzył się tłum wokół doktora, który badał chorych. Orzeczenie otrzymywał do podpisu doktor naczelny, Niemiec König, i według uznania albo kontrasygnował, jeśli był w odpowiednim humorze, albo też darł kartkę twierdząc, że to symulacja. Kto na „czwórkę" dostał poświadczenie, przeprowadzony był na „dwójkę", skąd wychodziło się z obozu.

Na terenie obozu znajdował się tzw. zielony wóz, czyli wagon dawniejszej IV klasy, z biurkami i maszynami do pisania. Tam urzędowało Gestapo. Kogo tu wezwano, nie miał się czego śmiać. Ja tam też byłem, gdyż obracałem się swobodnie po całym obozie. Spotkałem znajomego Niemca, który chciał mnie zaangażować do pracy biurowej do... (w protokole miejscowość nie podana), chodziło o Brunwerke; przybył właśnie po partię ślusarzy i potrzebował także kilkunastu handlowców. Mówił, że będę mógł zabrać ze sobą rodzinę, że będę miał dobrze w baraku przy fabryce. Podziękowałem mu i poprosiłem, aby raczej dopomógł mi do wydostania się na miasto Pruszków. Zaśmiał się i poszedł.

Nazajutrz wyruszał transport do Niemiec. Leutnant zawołał mnie i wydał rozkazy. Rano o godz. 7 i pół musiałem wyszeregować ludzi z rodzinami: kolejowcy, tramwajarze, ślusarze itd., a na końcu ci bez zawodu, czy jak on to określił: „Mist" (gnój).

Gdy wystąpiła pierwsza grupa na peron, oddzielono kobiety od mężczyzn i ładowano do wagonów po 40, wagon zamykano i plombowano i dołączano konwój. Później na stacji przeznaczenia rodziny miały się znów połączyć. W ten sposób ładowali się osobno do wagonów kolejarze, tramwajarze itd. według zawodów. Leutnant zapytywał mnie, czy wszystkich ludzi wyekspediowałem, za co byłem osobiście odpowiedzialny; powiedziałem, że tak. Żandarmi zrobili rewizję baraku i zaraportowali, że jest „leer" (pusty). Ukrytych przez nas w ubikacji na klucz zamkniętej oczywiście nie znaleźli. Był człowiek, który poświęcił się dla wszystkich i od początku pełnił funkcję kierownika Hal. Miał setki razy okazję wydostania się na wolność, ale nie skorzystał z niej. Pozostał, ratując ludzi, szczególnie najbardziej zagrożonych chłopców. Zasłużył na krzyż po wojnie. W dodatku nie umiał ani słowa po niemiecku, ale żandarmi i SP mieli do niego zaufanie. Otrzymał nawet kie-

dyś 24 godziny oficjalnego urlopu i odwiedził swoją rodzinę. Wrócił. Raz zawołał mnie, bo Niemcy chcieli z nim pić, a on znudził się już bardzo, nie mogąc się z nimi dogadać. Byli żołnierze z Turyngii, z Meklemburgii, zrobili obozowe przekąski, ale Niemcom najbardziej zależało na wódce: służyłem za tłumacza. Znam wszystkie niemieckie narzecza, bo odbywałem wojskowość w Bawarii.

Od konwojentów dowiedziałem się dokładnie, jaki jest los wywiezionych do Niemiec. Prosto z Pruszkowa cały materiał ludzki dostaje się do dwu punktów: Durchgangslager (obóz przejściowy) — jeden pod Wrocławiem, drugi pod Berlinem. Pierwszy obsługuje Bawarię, Austrię, Śląsk, a więc południe Niemiec, drugi — Brandenburgię, Pomeranię itp., czyli północ. Różne przedsiębiorstwa, fabryki zbrojeniowe, instytucje oraz zakłady prywatne zgłaszają swoje zapotrzebowanie i otrzymują potrzebną ilość kwalifikowanych pracowników. Najprzód w obozie poddaje się ludzi zabiegom sanitarnym, wykąpanie, odwszawienie, szczepienie. Obóz posiada prycze, łaźnie, jadalnie, przestrzega się wzorowego porządku.

Następnie przeprowadza się segregację. Urzęduje Arbeitsamt i Gestapo. Przedkłada się papiery, wypełnia się szczegółowy kwestionariusz, odpowiada się na pytania, co robiło się podczas wojny i przed wojną, jaką ma się specjalność. Inteligencję uznają najczęściej za pracowników niewykwalifikowanych, a więc włączają do grupy prostych robotników. Zdarza się jednak, że ktoś się nie spodoba na optykę albo ma wyraźnie w kennkarcie zaznaczoną swoją pozycję społeczną, wówczas zostaje zaraz odłączony. Przekazują go do obozów koncentracyjnych. Już miałem wiadomość o znajomym z Oranienburga. W Durchgangslager są poszczególne baraki, np. szewców, krawców, monterów, dziewcząt przeznaczonych do przędzalni i innych. Gdy nadejdzie zamówienie, wysyła się odpowiednią ilość sztuk ludzkich. Najważniejszą władzą jest tu Arbeitsamt.

Skoro partia robotników znajdzie się w miejscu przeznaczenia, dostaje się do „Gemeinschaftslager". Tu panują warunki znacznie łagodniejsze. Człowiek otrzymuje koc, szczotkę do zębów, grzebień oraz regulamin dnia; zostaje przydzielony do jakiegoś przodownika pracy. W pewnych terminach wolno mu wychodzić na

miasto z oznaką „P“ jako Polak. W tych obozach są pracownicy różnych narodowości.

Pewna rodzina inteligencka z Poznania, z którą byłem razem w Pruszkowie, została zatrudniona na roli pod Berlinem, wszyscy troje razem.

Widziałem też taką scenę: na peron w Pruszkowie zajechały równocześnie dwa pociągi: jeden, do którego załadowano tych z baraku I, jadących w nieznane, więc np. do Częstochowy, starców, kobiety z drobnymi dziećmi, i drugi pociąg, dla IV, czyli do Niemiec. Pewna znajoma mi panienka została w ten sposób oddzielona od matki i rodzeństwa. Był płacz i krzyk, gdyż kobiety żegnały się z okien dwu pociągów, a żadna nie wiedziała, dokąd jedzie. Ja w tych sprawach mam już pewne doświadczenie, jestem bowiem teraz po raz trzeci wysiedlony. Gdy Niemcy weszli do Gdyni w roku 1939, zabrali nas zaraz do Gdańska, do Langfuhr. Tu oświadczono nam, że zwolnieni będą ci, co służyli w wojsku niemieckim. Zgłosiło się nas dosyć dużo, ale bynajmniej się do nas dobrze nie odnoszono. Był rozstawiony szereg stolików, przy każdym po dwóch młodych gestapowców może 20-letnich; na chybił trafił podszedłem do jakiegoś stolika i musiałem przedłożyć wykaz osobisty. Natychmiast Niemiec huknął na mnie: „A, kupiec, mam cię! Ciebie mi właśnie było potrzeba. Przyjemnie było rozjeżdżać własnym samochodem?“ — „Nie miałem nigdy samochodu“. — „No więc miałeś motocykl?“ — „Nie, nie posiadałem nawet roweru“. — „Kłamiesz, gdzie masz broń?“ — „Nie mam broni. Rewolweru potrzebują ludzie bogaci dla ochrony swego mienia, ale nie tacy skromni pracownicy jak ja. W Polsce nie było wolno posiadać broni“. — „Kłamiesz, jesteś członkiem Związku Zachodniego“. — „Nie jestem“. Gestapowiec obracał z pasją mój wykaz osobisty w ręku, wreszcie rzucił go towarzyszowi. Indagacja zaczęła się od nowa, mniej więcej w ten sam deseń. Byłem zmęczony i przerażony, powiedziałem mu, że mnie już raz o to wszystko pytano, ale nie pomogło. Musiałem znów odpowiadać. Wreszcie zwolniono mnie.

Inni albo się zdenerwowali, albo dali się sprowokować brutalnym obejściem, i tym kazano odstąpić na prawo, poszli wszyscy do Stutthofu. Najciekawsze było to, że poświadczenie zwolnienia, wydane mi dnia 23 września 1939, wypełnione było na formularzu,

który musiał już dawno przedtem być wydrukowany. Figurowała bowiem miejscowość „Gdingen", poprawiona ołówkiem na „Gotenhafen".

Przeniosłem się do Poznania, skąd uciekłem w przeddzień nowego wysiedlania. Nazajutrz po moim wyjeździe do Warszawy matkę moją zabrali na Główną.

Niech sobie nikt nie wyobraża, że wyjazd na roboty to jest po prostu wyjazd na roboty. Nie! Celem jest zawsze jakiś obóz — albo przejściowy, albo obóz pracy. A jeśli chodzi o inteligencję, to najczęściej kieruje się ją do koncentracyjnych, żeby ją tam zniszczyć.

Nasza aprowizacja polegała przede wszystkim na tym, że kupowaliśmy żywność poprzez parkan, a warta nie robiła trudności, raczej przymawiała się o smakołyki. Wołało się: „Macie chleb, macie masło, kiełabsę — co kosztuje?" Zgromadzeni za parkanem pruszkowianie odpowiadali: „Górala" rzuć przez płot, to ci dam". I leciały z góry nad parkanem pieniądze, słonina, chleb, bułki, nieraz wprost na głowy żołnierzy.

Po barakach jednakże kręcili się gestapowcy i oglądali sobie ludzi. Pod tym względem nie było ani jednej chwili spokojnej. Ja z żoną i córkami wydostałem się w końcu z pomocą RGO i Cz. Krzyża, pracowano nad tym z zewnątrz, żeby nas wyratować. Ale przeżyliśmy okropne chwile — już wolę o tym nie myśleć. Moją opaskę Hallenleitera otrzymał natychmiast ktoś inny. W każdym razie nie ma ani słowa prawdy o tym, co pisano o owej ewakuacji w gazecie o Pruszkowie. Warsztaty w Pruszkowie to typowy obóz pracy, gdzie ludzie mają źle, gdzie rozłącza się rodziny, skąd kieruje się materiał ludzki do dalszych obozów, stosownie do zapotrzebowania niemieckiego rynku pracy.

(144) Protokół nr 196:

Świadek Jerzy Kawecki, lat 32, inż. dypl., zamieszkały w Warszawie, ul. Genewska 5; protokół własny, spisany dnia 17. IX. 1944 r. w Brwinowie.

„...Ewakuacja urządzeń Warsztatów trwała do połowy września, daty mego opuszczenia obozu.

Ustępy pobudowano przed halami, a tylko w hali nr. 2 w oddziale dla zakaźnych były oddzielne. Tak samo w hali nr. 8. Cała hala nr. 5 była zalana wodą.

Hala nr. 6 była specjalnie brudna, i to do tego stopnia, że nie było dosłownie miejsca na położenie się.

Woda, jaką pito w obozie, pochodziła z kranów pożarnych. Hale nr. 1, 2, 5 i 6 posiadały szeregi dołów rewizyjnych w podłodze (szer. ca 1,2 m, głęb. ca 1,00 m), czyli powierzchnia użytkowa hali malała przez to o 25—40%. Doły te ciągnęły się wzdłuż, ew. w poprzek bloku sanitarnego.

Dla przykładu podaję szkic b. sanitarnego nr. 2 (w części, gdzie odbywała się selekcja chorych przez lekarzy niemieckich oraz w której było ambulatorium). Tu, w tej hali, szczególnie te doły dawały się we znaki (chorym). Były wypadki wpadania do tych dołów (szczególnie nocą — powodujące potłuczenia, a nawet złamania kończyn).

Poza tym wszystkie hale (oprócz drugiej) posiadały w podłodze najrozmaitsze otwory, dochodzące wprost do 2 m głębokości, pozostałe po zdjęciu maszyn z podstawami i urządzeniami, wymagającymi zagłębień w podłodze. Doły te stawały się z czasem siedliskiem brudu jako pewnego rodzaju śmietniki, tym bardziej, że (wskutek prawdopodobnie niezrozumienia rozkazów) straż stojąca na zewnątrz hal nie zawsze nocą wypuszczała ludzi do ustępów.

Z powodu braku miejsca do leżenia w hali nr. 6 wysiedleni sypiali nawet w wagonach (podstawionych do demontażu hali) oraz wspinali się po drabinie na suwnicę elektryczną i spali w małej budce kierowcy suwni (ca 1,0 × 1,5 m), a nawet na pomoście suwnicy, wąskim ca 70 cm i leżącym około 7,00 m ponad podłogą hali — bez poręczy (pomost był drewniany i w miarę czysty).

Jak była brudna podłoga w hali nr. 6 (kostka drewniana), świadczy fakt, że wysiedleni decydowali się na karkołomne wspinaczki po słupach i drabinach pod strop hali, aby zedrzeć ze świetlików zasłony papierowe i wyścielić nimi jakoś podłogę, aby móc się położyć.

W części hali dla zakaźnych chorych w baraku nr. 2 trzy pokoje miały prycze drewniane, trzy zaś miały zwykłe półki magazynowe z deskami o odstępie pięter — 0,7 m, bardzo brudne; trudno

było położyć się na nich nawet zdrowemu człowiekowi. Spało się w trzech kondygnacjach.

Jedynym barakiem, który nie zmienił swego początkowego przeznaczenia, była kuchnia. Włączono do niej: 1) barak obok stojący (warsztat uczniów ślusarskich), zamieniając go na chlewnię, oraz 2) otwarty z boków, a więc przewiewny magazyn, który służył jako skład jarzyn, przede wszystkim zaś jako sypialnia dla personelu (ilość zmienna, stale rosnąca od liczby początkowej kilkunastu i przekraczającej w chwili mojej ucieczki z obozu liczby 200-tu).

Część personelu spała na parterze tego magazynu na betonie, pokrytym tylko matami trzcinowymi, w budkach zrobionych z takich mat, a część na pięterku w najgorszych warunkach z powodu obecności wielkiej ilości waty szklanej — całe tumany szklanego kurzu unosiły się w powietrzu.

Kuchnia była przez cały czas azylem dla wielu setek osób, które postanowiły nie poddać się i czekać na sposobność do ucieczki, a które przez czas swego pobytu w kuchni stanowiły jej personel. Kierownictwo kuchni pomagało nam w tym, wyzyskując rozdźwięk między Wehrmachtem a SS (wstęp żandarmerii na teren kuchni był wzbroniony).

Na specjalne podkreślenie zasługuje praca kierowniczki kuchni pani E. B. Ona pierwsza była w kuchni (już o godzinie 4 min. 30) i ostatnia odchodziła, gdy już wszyscy ukończyli pracę (często bardzo późno w nocy). Jej to wiele osób ma do zawdzięczenia to, że nie pojechały do Niemiec.

Przed 1 września nastąpiła wizytacja gen. niemieckiego, a mniej więcej na 2 tygodnie przed przyjazdem Komisji Międzynarodowej Czerwonego Krzyża ze Szwajcarii Niemcy wydali szereg zarządzeń. I tak zrobiono generalne porządki w hali nr. 6. 5. 7 i 1. Do hali nr. 1 zainstalowano łóżka. Przed halami poprawiono klozety. Około 10. IX. wprowadzono pociąg kąpielowy z odwszawialnią pojemności 23 osób na godzinę.

Personel był niewystarczający do obsługi obozu w pełnym stanie (około 30 tys. ludzi — 28 sierpnia). Wielki brak naczyń ogromnie utrudniał akcję wyżywienia.

Na specjalną pochwałę zasługuje praca RGO.

(145) Protokół nr 28:

świadek Mazurkiewicz, dyrektor gimnazjum.

„...Tłumy osób, które przesunęły się przez Pruszków, trudno jest ująć cyfrowo. Przeważnie były to transporty kolejowe, niekiedy piesze, czasem też z EKD. Na ogół wszystkie kierowano do „Warsztatów", nadto była pewna liczba tych, które zostały z miejsca rozpuszczone. Były owszem raz dwie takie kolejki EKD, ale to wyjątkowo. Doliczając do tego tych, co uciekli poza transportami, dałoby się może w przybliżeniu ustalić liczbę dwa tysiące osób nie objętych obozem przejściowym.

Jeżeli zapytam o liczbę tych, co przeszli przez Warsztaty, wahać się ona będzie między 200—400 tysiącami. Jako minimum należy ustalić 1/4 miliona ludzi. Nasilenie liczbowe było zmienne, czasem więcej, czasem mniej osób od razu. Od samego początku RGO wystąpiło z czynną pomocą dla wygnańców zarówno w obozie samym jak i poza obozem we własnych ośrodkach RGO. Wszyscy, którzy zgłosili się do pomocy, pracowali ofiarnie i chętnie, starając się jak najbardziej ulżyć doli nieszczęśliwych. Obywatelstwo miasta Pruszkowa wystąpiło spontanicznie i powszechnie, pragnąc jak najskuteczniej przyjść z pomocą nieszczęśliwym. Zaraz w pierwszych dniach dostarczono 5.000 talerzy, ponieważ nie było na czym podawać strawy. Również przynoszono butelki i kubki, gdyż zdarzało się, że wygnańcy w czasie transportu musieli sobie kupować naczynia za wygórowaną cenę, np. 50 zł za butelkę. Pragnienie bardzo im dokuczało, a nie było w czym napić się wody. Na widok przybyłych w wagonach dzieci, mieszkańcy Pruszkowa zasypywali wprost obóz bułkami i białym pieczywem mimo jego wysokiej ceny; kupowano mleko, choć o nie trudno tu na miejscu, naznoszono koszami owoców, obdarzając nimi warszawian. Równocześnie ofiarowano chętnie darmowe noclegi i schroniska obcym ludziom, karmiąc ich, a nieraz i przyodziewając.

Sprawa aprowizacji Warsztatów znormalizowała się od samego początku w ten sposób, że chleba wygnańcom dostarczali mieszkańcy pół kilo na osobę dziennie, a ciepłą strawę dawało RGO. Delegaci RGO zwrócili się o pomoc aprowizacyjną do wiosek okolicznych. Zaraz też zaczęły się bezinteresowne dostawy, zaczęły nadciągać szeregi furmanek, dowożąc warzywo i ziemniaki. Nawet

z Radomska, Łowicza i Piotrkowa ciągnęły wozy z chlebem dla Warsztatów. Miejscowi piekarze odstępowali niejednokrotnie całodzienny swój wypiek. RGO, mając zapewnione dostawy, mogło w pewnym stopniu pokryć zapotrzebowanie aprowizacyjne. Przeciętna ilość dziennych porcyj zup po pół litra na osobę wahała się od 2—25 tys., a dochodziło nawet do 30 tysięcy porcyj. Początkowo zupy te były bez tłuszczu; obecnie są na mięsie gotowane i okraszone: krupniki, kartoflanki, barszcze, zupy pomidorowe itp. Dzieci otrzymują zupy mleczne. Był przecież wypadek, że niemowlę z głodu konało, ponieważ matka, wypędzona z Woli, przez 3 dni sama nie miała nic w ustach.

Prócz opieki nad samym obozem, RGO zajęło się znajdującymi się już poza obozem osobami. Utrzymuje więc w tej chwili schronisko dla niedołężnych starców w świetlicy dawnego kina. Jest ich przeszło 100, a wymagają starannej opieki. W miejscowej szkole znalazło się 30 osieroconych chłopców, którymi się zaopiekowało RGO, a koszt ich utrzymania przejęła fabryka ołówków Majewskiego. Każdy z pogorzelców warszawskich, który uda się pod opiekę RGO, otrzymuje całodzienne wyżywienie, przejściowo nocleg w miarę potrzeby, oraz skierowanie do innych spokojniejszych miejscowości. Osobom pozbawionym zupełnie środków do życia udziela się jednorazowej pomocy w wysokości 60—120 zł na drogę. Niestety, odzieży ani obuwia dać nie można, bo go RGO nie posiada. Obecnie przybyła pomoc z zagranicy, a mianowicie 15. IX mleko skondensowane w puszkach i w proszku oraz zupy w kostkach. Było tego dwa wagony ze Szwajcarii. Wyborową tę żywność otrzymują przede wszystkim dzieci — dalej starcy i osoby bardzo ciężko chore. Nadeszło także 240 sztuk kombinezonów dziecięcych, które zostały rozdzielone. W chwili obecnej Pruszków przeprowadza akcję dożywiania 5 szpitali warszawskich: Wolski, Maltański, Św. Stanisława, Dzieciątka Jezus etc. Przede wszystkim chodzi o 100 ciężko rannych, którym za glejtem i z narażeniem życia dostarcza się stale żywność.

Jeżeli mowa o stosunkach w obozie, to przedstawicielstwo RGO oraz PCK cieszy się uznaniem i wdzięcznością wygnańców. Siostry zachowują się bardzo poprawnie. Bolączką naszą są tzw. „białe hieny", których niestety usunąć nie możemy. Kobiety te samozwańczo przyodziały strój sanitarny, często nie wiadomo, kim

są i jakie mają zadanie. Często wykorzystują osobiście nędzę warszawian. Wygnańcy między sobą zachowują się na ogół zgodnie, choć warunki skrajnego prymitywizmu, w jakich przebywają, wywołują niekiedy pewną psychozę. Objawia się ona w stołówce, gdzie wygłodniali od kilku dni ludzie nie mogą zrozumieć, że jedzenie starczy dla wszystkich i nie należy odpychać słabszych.

Stosunek Niemców do obozu jest prosty: mają przed sobą towar ludzki, więc obojętnie przeprowadzają jego selekcję dla robót. Szereg pociągów odchodzi stale do obozów pracy do Rzeszy. Obóz zwiedzał generał Sendel, sprowadzono staruszka biskupa Szlagowskiego.

100 proc. mieszkańców Pruszkowa stanowią obecnie przybysze z Warszawy. Było ich 40.000, jest jeszcze w tej chwili 25.000 do 30.000. Jest to duże obciążenie dla miasta, w którym warunki aprowizacyjne są w ogóle bardzo trudne".

(146) Protokół nr 106:

świadek i protokołujący nieznanego nazwiska.

„...Jest wieczór jednego z pierwszych dni sierpniowych. Na rampę kolejową w Pruszkowie zajeżdżają jeden za drugim pociągi elektryczne. Wysuwają się z nich mężczyźni, kobiety, dzieci z Warszawy. Stłoczoną gromadę ludzką żołnierze naganiają przez wielką bramę żelazną do hali fabrycznej. Wewnątrz panuje już jedna ciemność, której nie wolno rozświetlić nawet małym blaskiem ręcznej lampki. W nozdrza uderza zapach straszliwy. Co to takiego? Oba przeładowane i nie oczyszczone ustępy wylewają swą zawartość aż daleko na środek hali. Człowiek potyka się o porzucone dla przejścia deski i cegły. W innym miejscu hali płynie znów strugami woda, stoi w bajorkach, tak że stopy, często obute tylko w nocne pantofle, w trepki, lgną i mokną. Jeden bowiem jest tylko kran dla wszystkich, niczym nie ubezpieczony. A każdy chce się napić i umyć. Ludzi jest tu w tej chwili może 10, a może 11 tysięcy, stłoczonych jak bydło. Nie ma łóżek, nie ma ławy, nie ma żadnego stołka, nawet źdźbła słomy nie podrzucono. A nie brak przecież i kobiet ciężarnych, i niemowląt, i chorych, i starców. Kto posiada jakiś tłumoczek lub walizkę, siada na nim skulony w kuczki. Nóg

nie można wyprostować z powodu ciężkiej ciżby. Kto zmęczony jest już śmiertelnie kalwarią kilkugodzinną poprzedzającego marszu przez płonące miasto, ten pada niemocny i podnieść się nie może. Ale miejsce, w które legnął, nie jest podłogą. To gęsta, brudna maź z gliny, olejów i smarów, usiana gwoździami, szczątkami rozmontowanych poprzednio i wywiezionych maszyn fabrycznych. A wszyscy są wycieńczeni głodem. Nikt im do ust nic nie podał. W jakimś kącie matka tuli niemowlę. To kobieta z Woli, od trzech dni nic w ustach nie miała. Dziecko kwili cicho, przed świtem z głodu umiera. A noc koszmarna zdaje się nie mieć końca.

Wciąż zajeżdżają nowe pociągi, wciąż tłok w hali wzrasta, ludzie nawołują wciąż w ciemności: „Ulica Grójecka, Plac Narutowicza, Filtrowa, Jerozolimskie". Rodziny, znajomi, przyjaciele poszukują się wzajemnie, ale najczęściej bezskutecznie. Upływa wolno godzina za godziną. Tak przedstawia się pierwszy etap owego rzekomego wyzwolenia. Co przyniesie ranek?

Bo cierpienia wygnańców warszawskich są różnorodne: fizyczne i psychiczne, a wciąż nie mają końca. Dwa są widma, od których serce z przestrachu zamiera, a ręce splatają się rozpacznie: segregacja i wywożenie. Bo jeśli przeżycia w płonącym mieście były straszne i jeśli widok trupów i zgliszcz dotąd przed oczyma majaczy, jeśli się wie, że utraciło się wszystko, dom i najmilsze sercu pamiątki, jedna przecież została niejednemu pociecha: uratował się wraz z rodziną, są przy nim dzieci, żona, rodzice. A teraz nadchodzi to najgorsze: rozstanie z ukochanymi. Do baraku wpadają żandarmi i na oko, według własnego uznania dokonują selekcji. W odrębne grupy szereguje się mężczyzn, osobno kobiety i jeszcze specjalnie dzieci. Odprowadza się ich do poszczególnych baraków, otoczonych płotem z drutu kolczastego. Czasem tylko kaleki i bardzo chorzy mogą pozostać przy swoich. Czasem czyjeś zwłoki leżą w baraku nie pogrzebane przez całą dobę.

Teraz nadchodzi etap trzeci, najgorszy. Ponad ciżbą ludzką, która dziennie w obozie dochodzi nieraz do 40 tysięcy, wisi groza niewiadomego losu najbliższych godzin. Co się stanie przede wszystkim z ludźmi z „szóstki" — jest to izolowany specjalnie barak, w którym umieszczono młodych mężczyzn. Na co są przeznaczeni? Czy na rozstrzał, czy na wywiezienie? Może do Oświęcimia, do Mauthausen albo nawet pod Gdańsk do Stutthofu? W sąsied-

nich barakach drżą o nich matki, żony. W sąsiednim baraku dziewczęta i chłopcy oczekują na wyjazd na robotę do Niemiec.

Obóz w Pruszkowie jest przejściowy. Pozostaje się w nim dzień, dwa lub trzy. Niespodziewanie wpadają znów do baraku żołnierze. W przeciągu 15 minut trzeba być gotowym do drogi. Pociągi nadjeżdżają z Warszawy i pociągi odjeżdżają w niewiadome. Towarzyszy im płacz i lament rozpaczy. Towarzyszy im serdeczne współczucie mieszkańców maleńkiego, cichego miasteczka, które jak najserdeczniej pragnie przyjść z pomocą nieszczęśliwym. Pruszków niesie na „Warsztaty" wszystko, co tylko może zaofiarować, jest to przecież uboga osada robotnicza. Więc talerze, łyżki, kubki do wody, więc chleb od ust odjęty, więc bułki dla dzieci i mleko za krwawy grosz zakupione, więc odzież i lekarstwa. Z pobliskich wiosek nadciągają furmanki z warzywem i ziemniakami. Wygnańcom warszawskim nie pozwoli się umrzeć z głodu i nędzy.

Niektórych wypuszczono na teren Generalnej Guberni: chorych, gdyż biegunka i dyzenteria szerzy się straszliwie, starych i niedołężnych, bo niezdatni już są do przymusowej pracy, kobiety z drobnymi dziećmi, aby nie stanowiły ciężaru. Niektórych wyłapuje się z powrotem z kolejki, z okolicznych miejscowości, sadza za drutem i nowej poddaje segregacji. Raz jeszcze oderwie się ich od rodzin i powiezie daleko, nie wiadomo gdzie.

Przez Pruszków w przeciągu tych dwu miesięcy przewinęło się około 400 tysięcy ludzi.

Kto policzy łzy, jakie w tym obozie wyleli?"

BIBLIOTEKA NARODOWA

aku dziew-
ec.
nim dzień,
żołnierze.
. Pociągi
dome. To-
serdeczne
zka, które
częśliwym.
że zaofia-
rze, łyżki,
dla dzieci
wa. Z po-
mniakami.
u i nędzy.
chorych,
ych i nie-
, kobiety
ych wyła-
ści, sadza
ie się ich

vinęło się

ZDJĘCIA DOKUMENTARNE

(ANEKS)

VIII

Jako aneks do wydawnictwa „Zbrodnia niemiecka w Warszawie“ dołączamy oryginalne zdjęcia sporządzone przez członka „Sprengkommando“ Alfreda Mensebacha.

Obok zamieszczony protokół wyjaśnia pochodzenie tych zdjęć. Przy publikacji dokonaliśmy koniecznego wyboru materiału.

Wydawcy składają na tym miejscu podziękowanie Zarządowi Miejskiemu w Lesznie za udostępnienie im kartoteki zdjęć Mensebacha.



P r o t o k ó ł

Miejski technik budowlany Franciszek Pluta z Leszna, w wykonaniu swych obowiązków zgłasza znalezienie kartoteki fotografii z okresu niszczenia Warszawy i zeznaje, co następuje:

Dnia 21 marca 1945 udałem się z polecenia Zarządu Miejskiego do mieszkania architekta Alfreda Mensebacha w nieruchomości miejskiej w Lesznie, przy ul. Leszczyńskich 32 celem zabezpieczenia w pracowni jego spraw miejskich i.t.p.

Podczas przeglądania tejże pracowni natrafiłem na kartotekę fotograficzną zawierającą 137 fotografii. W przeważnej części były to zdjęcia dokonane w czasie niszczenia Warszawy oraz fotografie osób biorących udział w tej akcji w okresie od września do października 1944r. Wykonawcą tych fotografii, jak wynika z kartoteki, jest dypl. architekt, niemiec Alfred Mensebach - " Mitglied der Reichskammer der bildenden Künste A.2480" Kartoteka powyższa zawiera również zdjęcia z zaprzysiężenia " Volkssturmu" w Lesznie.

Kartotekę z wszystkimi zdjęciami zamiosłem natychmiast do Zarządu Miejskiego przekazując je wiceburmistrzowi m. Leszna ob. Jakubowskiemu Arturowi do depozytu.

L e s z n o, dnia 21 marca 1945 r.

Przejmujący:
/Jakubowski Artur/
Wiceburmistrz

ZARZĄD MIEJSKI W LESZNIE

Zdający:
/Pluta Franciszek/
Technik budowlany

Spisał:
/Bartkowiak Albin/
naczelny sekretarz miejski

Świadek:
/Andrzejewski Alfons/
kier. działu fin. gosp.

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

BILDKARTEI
DIPLOM-ARCHITEKT
ALFRED MENSEBACH
LISSA (WARTHELAND)

KLASSE:	XII	IV
ABTLG.:	Ar	C L
GRUPPE:		

POSITIV NR.: 3387
NEGATIV NR.: 194/16
DIAPOSITIV NR.:

FOTOGRAF

NAME:
ORT:
STRASSE:
DATUM: 3.IX.44

ERHALTEN VON:

NAME:
ORT:
STRASSE:
DATUM:

BEARBEITER: Diplom-Architekt Alfred Mensebach

LAND: ~~Deutsch~~ Polen
GAU:
ORT: Warschau
T.N. Mann Mensebach



Buchdr. Thiel, Lissa 32660

II.

Fotografia kartki z kartoteki.

III.



LAND:
GAU:
ORT:

Fotografia kartki z kartoteki.

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau Erschossene Partisanen



II.

III. „Rozstrzelani partyzanci".

BEARBEITER: Diplom-Archivar Rafael Marchlewski
Buchdr. Thiel, Lissa 32669

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
	ein Banditenoffizier wird abgeführt



IV. „Oficer-bandyta zostaje odprowadzony".

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

LAND:	
GAU:	
ORT:	
	Rei



V.

LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Reste der Banditen aus Zoliborz



V. „Resztki bandytów z Żoliborza".

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
	Auftragserteilung an ein Sprengkommando

v. Major Sarnow



VI. „Wydawanie rozkazu jednostce wysadzającej".



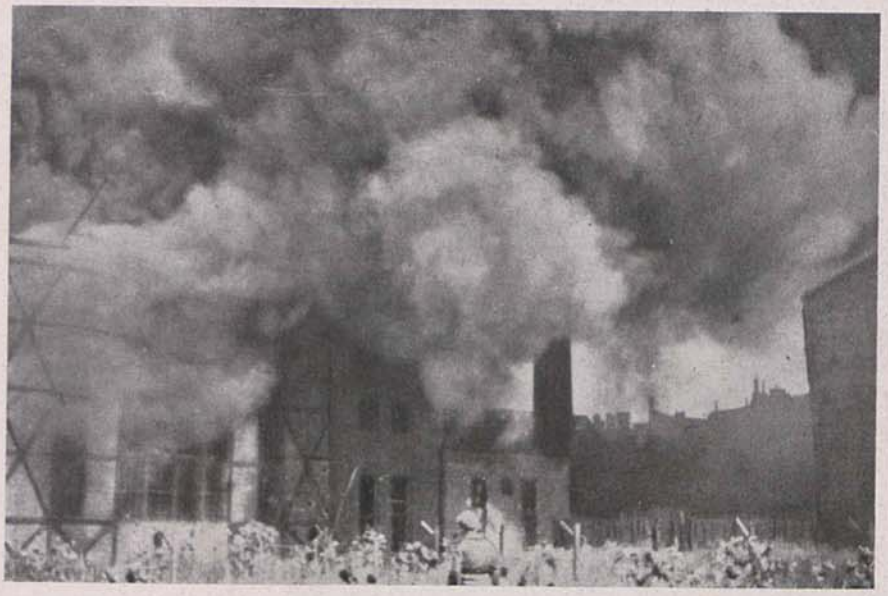
„Wysadza
b. Zamku



„Wysadzanie
b. Zamku Królewskiego nad Wisłą".

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
Vorbereitung der Sprengung der ehem. Königsschloss a.d. Weichsel	

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
	Brand an der Plocka



VIII. „Pożar przy ul. Płockiej".

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA



„Sprengme



„Sprengmeister Krause".

LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Sprengmstr. Krause

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA



„Wysadzanie hal targowych (mirowskich)".

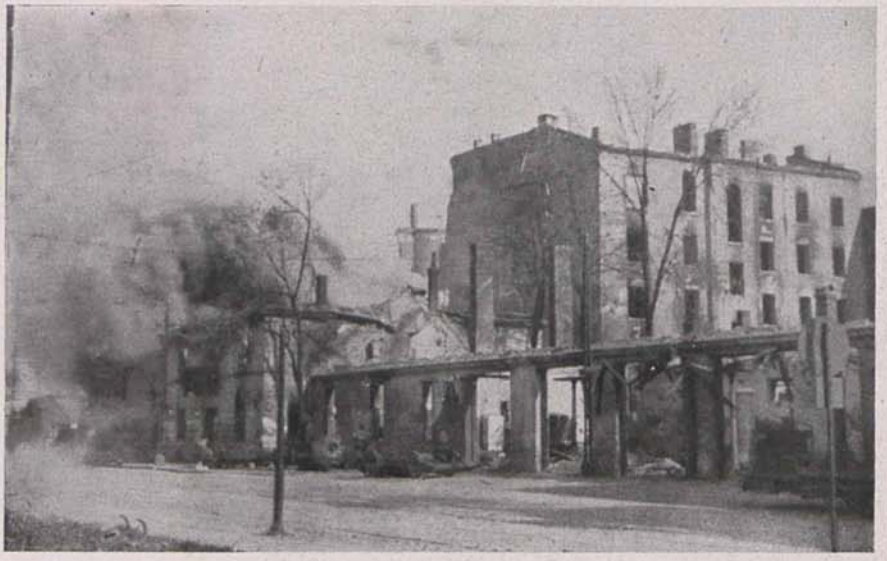
LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Sprengung an der Markthalle



„T. N. Mann Hartmann".

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
T.N. Mann Hartmann	

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
	Sprengung am Feuerwehrturm



XII. „Wysadzanie wieży gmachu Straży Pożarnej".

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA



„Oberzugf



„Oberzugführer Baumer".

LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Ob.Zugführer Bäumer

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
	Sprengung an der Markthalle



XIV. „Wysadzanie hal targowych (mirowskich)".



„Sprengmei



„Sprengmeister Sedlag z Kościana".

LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Sprengmeister Sedlag
aus Kosten

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
	Ordensverleihung



INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

odznaczeń".

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau

Brand nach der Explosion von Werfergranaten



XVII. „Pożar po eksplozji granatów".

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau
	Flüchtlinge



XVIII. „Uciekinierzy". XIX.

LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Flüchtlinge



LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Flüchtlinge auf der Litzmannstädter Straße



XX. „Uciekinierzy na ul. Wolskiej". XXI.

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

Wolskiej".

LAND:	Polen
GAU:	Warschau
ORT:	
	Flüchtlinge



XXI.

„Uciekinierzy".

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

LAND:	Polen
GAU:	Warschau
ORT:	Flüchtlinge a.d. Kirche d. Litauischen Straße



XXII. „Uciekinierzy obok Kościoła (św. Stanisława) przy ul. Wolskiej".

XXIII.

anisława)

LAND:	Polen
GAU:	
ORT:	Warschau Flüchtlingslager a.d. Wola



XXIII. „Obóz uciekinierów na Woli".

LAND: POLEN ORT: WARSCHAU



SCHEITERHAUFEN

INSTYTUT ZACHODNI BIBLIOTEKA

IAU

N

LAND: Polen

GAU:

ORT: Warschau

Scheiterhaufen

SPIS TABLIC

I. Protokół.

II. Fotografia kartki z kartoteki.

III. „Rozstrzelani partyzanci".

IV. „Oficer - bandyta zostaje odprowadzony".

V. „Resztki bandytów z Żoliborza".

VI. „Wydawanie rozkazu jednostce wysadzającej".

VII. „Wysadzanie b. Zamku królewskiego nad Wisłą".

VIII. „Pożar przy ul. Płockiej".

IX. „Sprengmeister Krause".

X. „Wysadzanie hal targowych (mirowskich)".

XI. „T. N. Mann Hartmann".

XII. „Wysadzanie wieży gmachu Straży Pożarnej".

XIII. „Oberzugführer Baumer".

XIV. „Wysadzanie hal targowych (mirowskich)".

XV. „Sprengmeister Sedlag z Kościana".

XVI. „Nadawanie odznaczeń".

XVII. „Pożar po eksplozji granatów".

XVIII. „Uciekinierzy".

XIX. „Uciekinierzy".

XX. „Uciekinierzy na ul. Wolskiej".

XXI. „Uciekinierzy".

XXII. „Uciekinierzy obok Kościoła (św. Stanisława) przy ul. Wolskiej".

XXIII. „Obóz uciekinierów na Woli".

XXIV. „Scheiterhaufen".

BIBLIOTEKA INSTYTUTU
ZACHODNIEGO W POZNANIU
III 1200/2
BP 95072